Cena Zł 50.—

NAUKA I SZTUKA

MIESIĘCZNIK

ROK II | WRZESIEŃ 1946 | Nr 9 (12)

Zawiera:

WARSZAWA — WROCŁAW — JELENIA GÓRA

Wobec zmian, jakie zaszły w składzie wydawnictwa i redakcji, „Nauka i Sztuka" będzie wychodziła w r. 1947 w odmiennej objętości — jako kwartalnik.

Pozostałe komplety „Nauki i Sztuki" za rok 1945 i za rok 1946 są jeszcze do nabycia w administracji „Nauki i Sztuki", *Jelenia Góra, Norwida 9* i mogą być wysyłane po uprzednim wpłaceniu pieniędzy na konto „Nauki i Sztuki". Wrocław VIII—348.

Wydano z zasiłku Ministerstwa Kultury i Sztuki, Ministerstwa Oświaty oraz Wojewódzkiego Urzędu we Wrocławiu.

Wydawca: Zespół „Nauka i Sztuka"

Redaktorzy: Julian Krzyżanowski i Stefan Kuczyński

Redakcja: Warszawa, Krak. Przedmieście 26, Uniwersytet

Wydawnictwo: Jelenia Góra, Norwida 9

Skład główny w księgarni Sp. Wyd. „Czytelnik", Wrocław, Krupnicza 13.

NAUKA i SZTUKA

MIESIĘCZNIK

TOM IV WRZESIEŃ 1946 NR 9 (12)

Kazimierz Lepszy

DOMINIUM MARIS BALTICI ZYGMUNTA AUGUSTA

Tyle się dziś mówi o morzu i Pomorzu. Sprawa zasiedlenia Szczecina i Kołobrzegu, Elbląga i Olsztyna, odbudowa portów, przyszłość rozwoju marynarki handlowej i wojennej, — wszystko to są sprawy, które należą do najżywotniejszych zagadnień odbudowywującej się państwowości. I dlatego nic w tym dziwnego, że teraźniejszość często nawiązuje do przeszłości i z tamtych odległych czasów czerpie argumenty historyczne, które mają pomóc w rozwiązywaniu zagadnień współczesnych. Teraźniejszość radzi się historii. Jednym z takich okresów, do których z chęcią zwraca się myśl współczesnych są czasy „złotego wieku", kiedy to „dominium maris Baltici" stanowiło aktualne zagadnienie polityczne i ekonomiczne. Jak świadczą o tym rachunki celne i notatki kupieckie, korespondencja dyplomatyczna i publicystyka polityczna, sprawa władania morzem była częściej na ustach ludzi czasów zygmuntowskich, niżbyśmy nieraz sądzić mogli. Mówili o handlu bałtyckim dworscy statyści, mówili kupcy i szlachta— ziemianie. „Dominium maris Baltici" to hasło polskie które w pewnych okresach czasu budzi postrach Hanzy, zaniepokojenie Danii, zainteresowanie Francji, Anglii i Holandii.

„Dominium maris" to stale powtarzający się termin historyczny. W naszej literaturze naukowej nieraz omawiano jego doniosłe znaczenie i zdawać by się mogło, że uzgodniliśmy dawno już między sobą, co przez ten termin rozumieć należy. Należałoby przypuszczać, że odwołując się do tego terminu powszechnie używanego, mówimy o jednym i tym samym o czym mówili ludzie czasów ostatniego Jagiellona.

Tymczasem tak nie jest. Nie tylko w starszej literaturze historycznej pojawiają się dwie różne interpretacje terminu „dominium maris Baltici", ale i najlepsi, dzisiejsi znawcy przedmiotu nie uzgodnili w tej sprawie swych stanowisk.

Dzielą się na dwie grupy. Jedni są zwolennikami ograniczenia interpretacji tego terminu do władania samym wybrzeżem Bałtyku, i co najwyżej wodami terytorialnymi, — drudzy widzą w nim nie tylko aspiracje do panowania nad częścią obszaru wodnego morza bałtyckiego, ale nawet w pewnych krótkich chwilach zauważają że aspiracje te zmieniły się w faktyczne rządy na morzu.

Spór o interpretacje terminu „dominium maris Baltici" zapoczątkował rosyjski historyk Forsten (Bałtiskij wopros, Petersburg 1893—4), który był zdania, że Polska objawiała aspiracje do władania na samym morzu, ale ostatecznie realnych zdobyczy na tym polu nie osiągnęła.

Ze strony polskiej wznowił to zagadnienie w r. 1927 znakomity autor „Polski i Szwecji" prof. Wł. Konopczyński w swym szkicu „Polska polityka bałtycka". Autorstwo programu „dominium maris" przypisał niesłusznie biskupowi kujawskiemu Stanisławowi Karnkowskiemu, zamiast samemu Zygmuntowi Augustowi, a samo „władanie morzem" tak scharakteryzował (strona 3): „Hasło dźwięczne i dumne, treść nad wyraz skromna ... Korona Polska rozumiała swoje dominium jedynie jako gospodarowanie na własnym brzegu i na okolicznych wodach od Żarnowca do Braniewa, tudzież zwierzchnictwo nad lennym brzegiem książęco-pruskim do Kłajpedy, oraz kurlandzko-inflanckim po Rygę. Byle mieć swoje porty i okręty, byle używać na własnym brzegu tych ważnych prerogatyw, które miał książę holsztyński, meklemburski, pomorski — o żadnym innym dominium z ujmą dla cudzej swobody Rzplita nie myślała. Obok minimalnego i obronnego programu morskiego przebłyskiwał czasem maksymalny program ekspansji: państwo posiadające średni bieg Warty, całą Wisłę, górny i średni bieg Niemna, górny i średni Dźwiny, potrzebowało dla towarów, które tymi arteriami spławiało, wolnych portów od Szczecina do Rygi włącznie. Trzy ćwierci ludności Rzplitej, 19/20 części mieszczaństwa było zainteresowane wykonaniem tego programu, chociażby kosztem pewnych ofiar na południo-wschodzie, ofiar dotkliwych tylko dla kół magnacko-ziemiańskich" ...

Pogląd ten, mimo siły sformułowania, był w odniesieniu do interesującego nas w tej chwili zagadnienia, zacieśniającym. „Dominium maris Baltici" kończy się wedle prof. Konopczyńskiego, tylko na wybrzeżach. Inna rzecz, że przypomnienie tego poglądu w tej chwili, w odniesieniu do wspomnianej w nim linii brzegowej Szczecin-Ryga, i wska-

zanie, już przed 19 laty, że jedyną wewnętrzną zaporą na drodze do urzeczywistnienia tego programu były tylko koła magnacko-ziemiańskie, brzmi nie tylko arcywspółcześnie, ale dowodzi, że dzisiejsze sformułowanie historyczne dotyczące Pomorza szczecińskiego nie ma cech koniunkturalnych, lecz jest wynikiem głębokich prawd tkwiących w naszej przeszłości i przez naszą historiografię dawno należycie ocenionych.

Ale wracajmy do tematu. Przeciwko wąskiej interpretacji „dominium maris" sformułowanej przez prof. Konopczyńskiego podniósł się niebawem głos sprzeciwu. Dyr. Stanisław Bodniak w swej archiwalnej rozprawie pt. „Kongres szczeciński" (Kraków 1929) scharakteryzował odmiennie cele bałtyckiej polityki Zygmunta Augusta. W sprawie „dominium maris" napisał tam (str. 67): „Nie krył się (Jagiellończyk) z tym (w liście z r. 1569 do ks. Adolfa meklemburskiego) ... „że morze, które oblewa jego państwo podlega jego władzy i jurysdykcji. Z tego założenia wysnuwał dla siebie prawo obrony morza, posiadania na nim floty i — ograniczania lub zezwalania na żeglugę, według swej woli innym państwom. Taka koncepcja nie powstała oczywiście nagle — ciągnie dalej Bodniak — w umyśle króla; prawdopodobnie nawet nie istniała do początków konfliktu inflanckiego ... W r. 1557 otrzymała ramowe zarysy i pierwszy etap rozwoju przez ustanowienie kaprów, w toku zmagań ze Szwecją i Moskwą dojrzała i skrystalizowała się w trwałe dążenia, realizowane z uporem, właściwym Zygmuntowi Augustowi. Z różnych jego wypowiedzeń i z ujęcia zagadnienia przez osobistości bliżej wtajemniczone w sprawy polityczne, a także z faktu skupienia działalności kaprów na przestrzeni od Prus Królewskich do Finlandii wynikałoby, że dzielił Bałtyk na obszary duński, szwedzki i własny. O rozmiarach przynależnego obszaru decydowałaby rozciągłość linii wybrzeży ..."

Ten jasno sformułowany pogląd rozszerzający termin „dominium maris" spotkał się niebawem ze sprzeciwem prof. Konopczyńskiego, który w rozprawie, wydanej przez Instytut Bałtycki pt. „Kwestia bałtycka jako zagadnienie międzynarodowe w czasach nowożytnych" (Toruń 1933) sprecyzował jeszcze lapidarniej swój sąd w tej sprawie (str. 12): „Mimo to Polska nigdy nie kusiła się o dominium maris Baltici ... Polska ostatnia zakłada flotę wojenną i nie posiada żadnej floty kupieckiej, ale nie zrzeka się oczywiście na swoich wybrzeżach prostego dominium maris, tj. prawa, które sobie przyznawali wszyscy władcy europejscy do otwierania lub

zamykania żeglugi we własnych portach, zajmowania (embargo) i zbrojenia cudzych statków na swoje potrzeby, żądania salutów powitalnych od obcych statków, kontrolowania kontrabandy i pobierania ceł. Takiego to skromnego „dominium — konkluduje prof. Konopczyński — odmawiały jej Rzesza Niemiecka, miasto Gdańsk i ze szczególną zazdrością — Dania."

W rok po tej wypowiedzi autora „Polski a Szwecji" pozwoliłem sobie w rozprawie „Strażnicy morza Stefana Batorego" (Gdańsk 1934) wmieszać się do tego sporu i dodać (str. 7) kilka argumentów popierających tezę dyr. Bodniaka. Widać wszakże, że nie przekonało to prof. Konopczyńskiego, gdyż w opublikowanej później syntezie Wielkiej Historii Powszechnej Trzaski, Everta i Michalskiego, p. t. „Czasy absolutyzmu 1648—1788" (s. 251) nie tylko nie zmienił swego zdania lecz jeszcze silniej zaakcentował swój pogląd: „Jeżeli rozumieć przez ten termin opanowanie całego morza jako zamkniętego jeziora, to w tym szerokim sensie usiłowały zapanować nad Bałtykiem po Hanzie, aż do XVII w. tylko dwa państwa północne, Dania i Szwecja. Ich rywalki, Polska, Moskwa i Brandenburgia, mogły sobie pozwolić tylko na skromniejsze dominium — takie właśnie, jakie Zygmunt August stwierdzał był w Gdańsku piórem Karnkowskiego, a więc obejmujące budowę portów, zakładanie stacji żeglarskich, otwieranie i zamykanie na swoim brzegu żeglugi, pobieranie ceł, zarządzenia wojenne, sądownictwo morskie, połów ryb i prawo kaduka względem rozbitych statków, wyrzuconych na brzeg (ius albinagii)."

W swoich dziejach „Polski Nowożytnej" prof. Konopczyński kwestii tej nie doknął, aczkolwiek Zygmuntowi Augustowi i jego „jasnemu — jak się wyraził — arcyeuropejskiemu poglądowi na sprawę bałtycką" poświęcił sporo, niezwykle trafnych uwag. Nawet w ustępach końcowych książki, gdzie prof. Konopczyński omówił tzw. kwestie sporne, nie poświęcono „dominium maris Baltici" najmniejszej wzmianki. Wynikałoby z tego, że spór o szersze czy węższe pojmowanie tego terminu historycznego, rozstrzyga prof. Konopczyński po linii swej tezy.

Czy słusznie? Spróbujmy raz jeszcze wznowić to zagadnienie i skonfrontować go z materiałem źródłowym. Zanim to uczynimy przypomnieć wypada podłoże teoretyczne zagadnienia.

Zasada wolności korzystania z pełnego morza jest, jak wiadomo, pochodzenia nowożytnego. Prawo obywatelskie zyskała ona sobie dopiero w w. XVIII i XIX. W średniowieczu uwa-

żano morze za terytorium zamknięte (mare clausum), które podobnie jak ziemia podlega czyjejś władzy suwerennej. Władza ta spoczywała w ręku jednego suwerena, lub też obszary morskie były dzielone pomiędzy państwa nadmorskie w miarę siły politycznej, jaką te państwa, faktycznie na danym morzu wykonywały[1]). Słynnym jest wyrok papieża Aleksandra VI z 3 i 4 maja 1493, w którym przyznał Hiszpanji władanie lądami, wyspami i morzem, poczynając od linii przebiegającej południkowo wzdłuż Oceanu Atlantyckiego 100 mil na zachód od ostatniej wyspy azorskiej, wyrok, który na skutek reklamacji Portugalczyków, mających sprawować władzę na wschód od tej linii, został zmieniony 7. czerwca 1494 traktatem w Tordesillas, w tym duchu, że linia demarkacyjna została przełożona o 170 mil na zachód[2]). Inny przykład: W sto lat później w r. 1580 skarżył się poseł hiszpański Mendoza królowej angielskiej Elżbiecie, że pewien Anglik w celach odkrywczych podróżował bez zezwolenia Filipa II po tej części Pacyfiku, którą Hiszpania uważa za wyłącznie podległą jej władzy[3])

Wiele światła na zagadnienie podziału terytorium morskiego rzucają spory pomiędzy Danią a Szwecją, które się ciągną bez przerwy w ciągu XVI i XVII wieku aż do pokoju w Brömsebro. Poświęcił im specjalną książkę historyk amerykański Charles E. Hill[4]). Badania Hilla, jak również wielu historyków niemieckich, szwedzkich, duńskich i polskich dowiodły, iż panowanie na morzu bałtyckim było wykładnikiem realnych sił politycznych państw tutaj współzawodniczących. Uprzywilejowane stanowisko, ze względu na posiadanie Sundu, zajmowała Dania, i ona to początkowo dzierżyła w niepodzielnym władaniu terytorium Bałtyku. Już jednakże w czasie wojny siedmioletniej (1563—1570) nie tylko hegemonia Danii faktycznie się skończyła, ale nawet została ona zagrożona w swym władztwie nawet na wodach bezspornie duńskich. Flota szwedzka odnosiła zwycięstwa, ale Dania przy współudziale Lubeki, jeszcze tym razem potrafiła w traktacie szczecińskim z 1570 r. utrzymać przewagę na Bałtyku, co zadecydowało

[1]) Szelągowski Adam, Walka o Bałtyk s. 30—1.

[2]) Hauser Henri et A. Renaudet, Les Debuts de l'age moderne. Peuples et civilisations Paris 1929 s. 56.

[3]) Sarna Zygmunt, Międzynarodowe publiczne prawo morskie w czasie pokoju i wojny, Kraków 1932, s. 56.

[4]) The danish Sound dues and the command of the Baltic.

o praktycznym podziale sfery wpływów pomiędzy Szwecją, Danią i Polską. W praktyce sfera szwedzka była bardzo wąska, lecz niebawem przez usunięcie Moskwy z zatoki fińskiej w r. 1583, Szwecja zyskiwała coraz to większe obszary morskie we wschodnich połaciach Bałtyku. W zasadzie stan przewagi duńskiej przetrwał czasy Karola IX i Gustawa Adolfa aż do pokoju w Brömsebro w r. 1645. W r. 1622 (6. VII) duńska Rada Państwa sprecyzowała prawa korony duńskiej nad Bałtykiem, wzdłuż linii demarkacyjnej, która obejmowała Sund, następnie biegła poprzez Bornholm, Gotlandię do Ozylii i Kurlandii. Linia ta w istocie rozdzielała Bałtyk na część duńską i szwedzką i na tej to właśnie podstawie wyrysował amerykanin Hill podział basenu bałtyckiego pomiędzy oba te państwa w pierwszym ćwierćwieczu XVII stulecia[5]).

Władanie morzem nie miało oczywiście w owych czasach znaczenia papierowego. Było ono realnym wykonywaniem władzy suwerennej. Na czym ona polegała? Składa się na tę władzę nad morzem kilka charakterystycznych atrybutów, które zwykły świadczyć o tym, czy dane państwo w istocie jest suwerenem na całości lub części odnośnego obszaru morskiego. Najważniejsze te atrybuty postaram się tutaj przypomnieć.

Pierwszym i najważniejszym znamieniem władzy nad morzem było zamykanie i otwieranie żeglugi, nie tylko w portach, ale także na pełnym morzu. Klasycznym tego przykładem jest zamykanie i otwieranie portów szwedzkich dla handlu z Moskwą, po zajęciu przez nią Narwy w r. 1557, poparte równoczesnymi zakazami żeglugi do Narwy na pełnym morzu. Jak to zamykanie i otwieranie żeglugi do Narwy w praktyce wyglądało nie trzeba tu przypominać. Niema nieomal źródła historycznego odnoszącego się do Bałtyku, któreby w XVI w. nie wspominało o owej sławnej „navigatio Narvica".

Następnym znamieniem wykonywania władzy na morzu było rozporządzanie się żeglugą obcych, zezwalanie na nią, lub jej zakazywanie. Np. w r. 1593 Szwedzi, powołując się na swoje prawo na morzu Bałtyckim, uważali za nieodpowiednie, by Zygmunt III zjawiał się w Sztokholmie z flotą

[5]) Hill Charles E., The danish Sound dues and the command of the Baltic, s 92—3 Por. Schäfer Dietrich, Der Kampf um die Ostsee im 16. u. 17. Jahrh. Hist. Zeitschr. 1899. t. 83. s. 436.

polską i woleli posłać po niego flotę szwedzką[6]). Innym przykładem regulowania żeglugi na terytorium suwerennym będą stosunki duńsko-szwedzkie po pokoju szczecińskim w r. 1570. Aczkolwiek traktat ten nie rozgraniczył jurysdykcji morskiej Szwecji i Danii, to jednak na zasadzie starej praktyki mogły okręty szwedzkie przybywać na wody duńskie, ale natomiast nie było określone zwyczajem, czy okręty duńskie mogą przebywać na wodach szwedzkich. Stąd Szwecja nie wahała się, wówczas gdy czuła się silniejsza, także wobec Danii wykonywać swe prawo regulacji żeglugi i pobierała od okrętów duńskich przepływających przez jej wody w kierunku Narwy, przez pewien czas, taksy celne[7]).

Aby w praktyce przeprowadzić zakazy żeglugi, państwo, które czuło się suwerenem na morzu prowadziło z reguły kontrolę żeglugi, nie tylko w portach i na redach, ale także na pełnym morzu, przy pomocy swojej floty wojennej. Przysługiwało więc mu prawo embarga, tj. zatrzymywania okrętów cudzoziemskich, choćby przy użyciu siły, przeprowadzania kontroli papierów, rewizji towarów i konfiskowania, w razie nieprzestrzegania zakazów, przewożonych towarów, względnie nawet całych statków. Skonfiskowane statki albo oddawano po pewnym czasie właścicielom, albo przysądzano zwycięskim kapitanom, albo sprzedawano, lub też wreszcie przerabiano na okręty wojenne. Prawo embarga wykonywały na Bałtyku w ciągu całego w. XVI nie tylko Dania i Szwecja na swoich suwerennych obszarach morskich, ale w pewnych krótkich okresach czasu, jak zobaczymy, także i Polska.

Ważną oznaką zwierzchnictwa było prawo salutu, dalekie w owych czasach od formalnego ceremoniału, czy grzeczności. Statek obcego państwa napotkany na terytorium suwerennym drugiego państwa przez jego statek wojenny, a nawet często

[6]) Schäfer, j. w str. 435. Gdy w roku 1594 Zygmunt III nie czuł się pewny w Szwecji zażądał z Polski przysłania paru okrętów z wojskiem. Posiłki takie istotnie nadeszły. Szwedzi i Karol sudermański zgodnym głosem potępiali sprowadzenie żołnierzy i okrętów. Karol w liście do Zygmunta III pisał, że jeśli te okręty przybyły dla towarzyszenia królowi w drodze powrotnej do Polski, to zdaje się wyjdzie to więcej na despekt niż sławę króla, gdy z dziedzicznego królestwa obce okręty i obce wojsko go odprowadza, jakby Szwecja nie miała dość żołnierzy i okrętów. Najciekawszym jednakże argumentem jest następujący: „hoc magna infamia huic regno nasceretur, eo quod juris dictionem, quam in orientale mari regnum Svetiae semper ab antiquo habuit abdicasse videretur, quando intelligerent Mtem Vran externorum militum et navium opera uti".

[7]) Hill, j. w. s. 68.

handlowy, musiał go pozdrawiać przez opuszczenie żagli, lub później tylko bandery. Skutkiem opuszczenia żagli statek zatrzymywał się na morzu i z konieczności poddawał się kontroli, jeżeliby ją załoga okrętu wojennego państwa wykonywującego prawo zwierzchnie na morzu chciała wykonać. W r. 1580 Szwecja i Dania zgodziły się na wzajemne pozdrawianie okrętów, w siedem zaś lat później Fryderyk II duński kazał wszystkim okrętom pozdrawiać w Sundzie Kromborg i statki duńskie na całym Bałtyku, oraz na morzu Północnym, między Danią, Islandią a Norwegią. Znaczy to, że te obszary morskie uważał wówczas za podległe swej władzy[8]).

Prawo zwierzchnictwa morskiego objawiało się też przez konwojowanie obcych statków handlowych. Np. kiedy Lubeczanie w r. 1608, niepewni o losy swej floty handlowej, dodali dla jej ochrony 4 okręty wojenne, Duńczycy w te pędy przysłali swe okręty wojenne i na znak zwierzchnictwa konwojowali po swoich wodach flotę lubecką[9]). Innym znamieniem zwierzchnictwa była ochrona morza, przede wszystkim walka z korsarstwem, która należało do obowiązków „pana morza". Wreszcie z tytułu zwierzchnictwa nieraz jedno państwo nie pozwalało drugiemu trzymać floty wojennej i bez wypowiedzenia wojny tępiło i chwytało okręty. Tak np. postąpiła Dania wobec Polski w r. 1569, mimo, iż między oboma państwami panował pokój, a nawet formalne przymierze[10]). Wreszcie posiadacz morza, a zwłaszcza jego cieśnin starał się narzucić innym państwom cła morskie, i to nie tylko cła noszące charakter kontrybucyjny, jak np. cła szwedzkie w Piławie i Rydze, nałożone przez Gustawa Adolfa ale cła o charakterze pokojowym i stałym. Jak wiadomo Anglia uważała cieśninę La Manche za wewnętrzne morze angielskie i z tego powodu dochodziło do częstych sporów pomiędzy Anglią a Hiszpanią, Stanami Holenderskimi i Hanzą. Podobnie Dania trzymając w swym ręku klucz do Bałtyku, cieśninę sundzką, rościła sobie pretensje do wód całego tego morza. Na tej właśnie zasadzie wprowadziła dowolną politykę celną i nakładała na przepływające statki handlowe wysokie cła. Z tego samego tytułu otwierała i zamykała nieraz żeglugę. Dopiero traktat w Spirze w r. 1544 wprowadził pierwsze poskromienie samowoli duńskiej. W obronie handlu swych pro-

[8]) Hill, j. w. s. 80.
[9]) Schäfer, j. w. s. 436.
[10]) Szelągowski, j. w. s. 31—4.

NAUKA i SZTUKA
MIESIĘCZNIK
TOM IV WRZESIEŃ 1946 NR 9 (12)

Kazimierz Lepszy

DOMINIUM MARIS BALTICI ZYGMUNTA AUGUSTA

Tyle się dziś mówi o morzu i Pomorzu. Sprawa zasiedlenia Szczecina i Kołobrzegu, Elbląga i Olsztyna, odbudowa portów, przyszłość rozwoju marynarki handlowej i wojennej, — wszystko to są sprawy, które należą do najżywotniejszych zagadnień odbudowywującej się państwowości. I dlatego nic w tym dziwnego, że teraźniejszość często nawiązuje do przeszłości i z tamtych odległych czasów czerpie argumenty historyczne, które mają pomóc w rozwiązywaniu zagadnień współczesnych. Teraźniejszość radzi się historii. Jednym z takich okresów, do których z chęcią zwraca się myśl współczesnych są czasy „złotego wieku", kiedy to „dominium maris Baltici" stanowiło aktualne zagadnienie polityczne i ekonomiczne. Jak świadczą o tym rachunki celne i notatki kupieckie, korespondencja dyplomatyczna i publicystyka polityczna, sprawa władania morzem była częściej na ustach ludzi czasów zygmuntowskich, niżbyśmy nieraz sądzić mogli. Mówili o handlu bałtyckim dworscy statyści, mówili kupcy i szlachta—ziemianie. „Dominium maris Baltici" to hasło polskie które w pewnych okresach czasu budzi postrach Hanzy, zaniepokojenie Danii, zainteresowanie Francji, Anglii i Holandii.

„Dominium maris" to stale powtarzający się termin historyczny. W naszej literaturze naukowej nieraz omawiano jego doniosłe znaczenie i zdawać by się mogło, że uzgodniliśmy dawno już między sobą, co przez ten termin rozumieć należy. Należałoby przypuszczać, że odwołując się do tego terminu powszechnie używanego, mówimy o jednym i tym samym o czym mówili ludzie czasów ostatniego Jagiellona.

Tymczasem tak nie jest. Nie tylko w starszej literaturze historycznej pojawiają się dwie różne interpretacje terminu „dominium maris Baltici", ale i najlepsi, dzisiejsi znawcy przedmiotu nie uzgodnili w tej sprawie swych stanowisk.

Dzielą się na dwie grupy. Jedni są zwolennikami ograniczenia interpretacji tego terminu do władania samym wybrzeżem Bałtyku, i co najwyżej wodami terytorialnymi, — drudzy widzą w nim nie tylko aspiracje do panowania nad częścią obszaru wodnego morza bałtyckiego, ale nawet w pewnych krótkich chwilach zauważają że aspiracje te zmieniły się w faktyczne rządy na morzu.

Spór o interpretacje terminu „dominium maris Baltici" zapoczątkował rosyjski historyk Forsten (Bałtiskij wopros, Petersburg 1893—4), który był zdania, że Polska objawiała aspiracje do władania na samym morzu, ale ostatecznie realnych zdobyczy na tym polu nie osiągnęła.

Ze strony polskiej wznowił to zagadnienie w r. 1927 znakomity autor „Polski i Szwecji" prof. Wł. Konopczyński w swym szkicu „Polska polityka bałtycka". Autorstwo programu „dominium maris" przypisał niesłusznie biskupowi kujawskiemu Stanisławowi Karnkowskiemu, zamiast samemu Zygmuntowi Augustowi, a samo „władanie morzem" tak scharakteryzował (strona 3): „Hasło dźwięczne i dumne, treść nad wyraz skromna ... Korona Polska rozumiała swoje dominium jedynie jako gospodarowanie na własnym brzegu i na okolicznych wodach od Żarnowca do Braniewa, tudzież zwierzchnictwo nad lennym brzegiem książęco-pruskim do Kłajpedy, oraz kurlandzko-inflanckim po Rygę. Byle mieć swoje porty i okręty, byle używać na własnym brzegu tych ważnych prerogatyw, które miał książę holsztyński, meklemburski, pomorski — o żadnym innym dominium z ujmą dla cudzej swobody Rzplita nie myślała. Obok minimalnego i obronnego programu morskiego przebłyskiwał czasem maksymalny program ekspansji: państwo posiadające średni bieg Warty, całą Wisłę, górny i średni bieg Niemna, górny i średni Dźwiny, potrzebowało dla towarów, które tymi arteriami spławiało, wolnych portów od Szczecina do Rygi włącznie. Trzy ćwierci ludności Rzplitej, 19/20 części mieszczaństwa było zainteresowane wykonaniem tego programu, chociażby kosztem pewnych ofiar na południo-wschodzie, ofiar dotkliwych tylko dla kół magnacko-ziemiańskich" ...

Pogląd ten, mimo siły sformułowania, był w odniesieniu do interesującego nas w tej chwili zagadnienia, zacieśniającym. „*Dominium maris Baltici*" kończy się wedle prof. Konopczyńskiego, tylko na wybrzeżach. Inna rzecz, że przypomnienie tego poglądu w tej chwili, w odniesieniu do wspomnianej w nim linii brzegowej Szczecin-Ryga, i wska-

zanie, już przed 19 laty, że jedyną wewnętrzną zaporą na drodze do urzeczywistnienia tego programu były tylko koła magnacko-ziemiańskie, brzmi nie tylko arcywspółcześnie, ale dowodzi, że dzisiejsze sformułowanie historyczne dotyczące Pomorza szczecińskiego nie ma cech koniunkturalnych, lecz jest wynikiem głębokich prawd tkwiących w naszej przeszłości i przez naszą historiografię dawno należycie ocenionych.

Ale wracajmy do tematu. Przeciwko wąskiej interpretacji „dominium maris" sformułowanej przez prof. Konopczyńskiego podniósł się niebawem głos sprzeciwu. Dyr. Stanisław Bodniak w swej archiwalnej rozprawie pt. „Kongres szczeciński" (Kraków 1929) scharakteryzował odmiennie cele bałtyckiej polityki Zygmunta Augusta. W sprawie „dominium maris" napisał tam (str. 67): „Nie krył się (Jagiellończyk) z tym (w liście z r. 1569 do ks. Adolfa meklemburskiego) ... „że morze, które oblewa jego państwo podlega jego władzy i jurysdykcji. Z tego założenia wysnuwał dla siebie prawo obrony morza, posiadania na nim floty i — ograniczania lub zezwalania na żeglugę, według swej woli innym państwom. Taka koncepcja nie powstała oczywiście nagle — ciągnie dalej Bodniak — w umyśle króla; prawdopodobnie nawet nie istniała do początków konfliktu inflanckiego ... W r. 1557 otrzymała ramowe zarysy i pierwszy etap rozwoju przez ustanowienie kaprów, w toku zmagań ze Szwecją i Moskwą dojrzała i skrystalizowała się w trwałe dążenia, realizowane z uporem, właściwym Zygmuntowi Augustowi. Z różnych jego wypowiedzeń i z ujęcia zagadnienia przez osobistości bliżej wtajemniczone w sprawy polityczne, a także z faktu skupienia działalności kaprów na przestrzeni od Prus Królewskich do Finlandii wynikałoby, że dzielił Bałtyk na obszary duński, szwedzki i w ł a s n y. O rozmiarach przynależnego obszaru decydowałaby rozciągłość linii wybrzeży ..."

Ten jasno sformułowany pogląd rozszerzający termin „dominium maris" spotkał się niebawem ze sprzeciwem prof. Konopczyńskiego, który w rozprawie, wydanej przez Instytut Bałtycki pt. „Kwestia bałtycka jako zagadnienie międzynarodowe w czasach nowożytnych" (Toruń 1933) sprecyzował jeszcze lapidarniej swój sąd w tej sprawie (str. 12): „Mimo to Polska nigdy nie kusiła się o dominium maris Baltici ... Polska ostatnia zakłada flotę wojenną i nie posiada żadnej floty kupieckiej, ale nie zrzeka się oczywiście na s w o i c h w y b r z e ż a c h prostego dominium maris, tj. prawa, które sobie przyznawali wszyscy władcy europejscy do otwierania lub

zamykania żeglugi we własnych portach, zajmowania (embargo) i zbrojenia cudzych statków na swoje potrzeby, żądania salutów powitalnych od obcych statków, kontrolowania kontrabandy i pobierania ceł. Takiego to skromnego „dominium — konkluduje prof. Konopczyński — odmawiały jej Rzesza Niemiecka, miasto Gdańsk i ze szczególną zazdrością — Dania."

W rok po tej wypowiedzi autora „Polski a Szwecji" pozwoliłem sobie w rozprawie „Strażnicy morza Stefana Batorego" (Gdańsk 1934) wmieszać się do tego sporu i dodać (str. 7) kilka argumentów popierających tezę dyr. Bodniaką. Widać wszakże, że nie przekonało to prof. Konopczyńskiego, gdyż w opublikowanej później syntezie Wielkiej Historii Powszechnej Trzaski, Everta i Michalskiego, p. t. „Czasy absolutyzmu 1648—1788" (s. 251) nie tylko nie zmienił swego zdania lecz jeszcze silniej zaakcentował swój pogląd: „Jeżeli rozumieć przez ten termin opanowanie całego morza jako zamkniętego jeziora, to w tym szerokim sensie usiłowały zapanować nad Bałtykiem po Hanzie, aż do XVII w. tylko dwa państwa północne, Dania i Szwecja. Ich rywalki, Polska, Moskwa i Brandenburgia, mogły sobie pozwolić tylko na skromniejsze dominium — takie właśnie, jakie Zygmunt August stwierdzał był w Gdańsku piórem Karnkowskiego, a więc obejmujące budowę portów, zakładanie stacji żeglarskich, otwieranie i zamykanie na swoim brzegu żeglugi, pobieranie ceł, zarządzenia wojenne, sądownictwo morskie, połów ryb i prawo kaduka względem rozbitych statków, wyrzuconych na brzeg (ius albinagii)."

W swoich dziejach „Polski Nowożytnej" prof. Konopczyński kwestii tej nie doknął, aczkolwiek Zygmuntowi Augustowi i jego „jasnemu — jak się wyraził — arcyeuropejskiemu poglądowi na sprawę bałtycką" poświęcił sporo, niezwykle trafnych uwag. Nawet w ustępach końcowych książki, gdzie prof. Konopczyński omówił tzw. kwestie sporne, nie poświęcono „dominium maris Baltici" najmniejszej wzmianki. Wynikałoby z tego, że spór o szersze czy węższe pojmowanie tego terminu historycznego, rozstrzyga prof. Konopczyński po linii swej tezy.

Czy słusznie? Spróbujmy raz jeszcze wznowić to zagadnienie i skonfrontować go z materiałem źródłowym. Zanim to uczynimy przypomnieć wypada podłoże teoretyczne zagadnienia.

Zasada wolności korzystania z pełnego morza jest, jak wiadomo, pochodzenia nowożytnego. Prawo obywatelskie zyskała ona sobie dopiero w w. XVIII i XIX. W średniowieczu uwa-

żano morze za terytorium zamknięte (mare clausum), które podobnie jak ziemia podlega czyjejś władzy suwerennej. Władza ta spoczywała w ręku jednego suwerena, lub też obszary morskie były dzielone pomiędzy państwa nadmorskie w miarę siły politycznej, jaką te państwa, faktycznie na danym morzu wykonywały[1]). Słynnym jest wyrok papieża Aleksandra VI z 3 i 4 maja 1493, w którym przyznał Hiszpanji władanie lądami, wyspami i morzem, poczynając od linii przebiegającej południkowo wzdłuż Oceanu Atlantyckiego 100 mil na zachód od ostatniej wyspy azorskiej, wyrok, który na skutek reklamacji Portugalczyków, mających sprawować władzę na wschód od tej linii, został zmieniony 7. czerwca 1494 traktatem w Tordesillas, w tym duchu, że linia demarkacyjna została przełożona o 170 mil na zachód[2]). Inny przykład: W sto lat później w r. 1580 skarżył się poseł hiszpański Mendoza królowej angielskiej Elżbiecie, że pewien Anglik w celach odkrywczych podróżował bez zezwolenia Filipa II po tej części Pacyfiku, którą Hiszpania uważa za wyłącznie podległą jej władzy[3])

Wiele światła na zagadnienie podziału terytorium morskiego rzucają spory pomiędzy Danią a Szwecją, które się ciągną bez przerwy w ciągu XVI i XVII wieku aż do pokoju w Brömsebro. Poświęcił im specjalną książkę historyk amerykański Charles E. Hill[4]). Badania Hilla, jak również wielu historyków niemieckich, szwedzkich, duńskich i polskich dowiodły, iż panowanie na morzu bałtyckim było wykładnikiem realnych sił politycznych państw tutaj współzawodniczących. Uprzywilejowane stanowisko, ze względu na posiadanie Sundu, zajmowała Dania, i ona to początkowo dzierżyła w niepodzielnym władaniu terytorium Bałtyku. Już jednakże w czasie wojny siedmioletniej (1563—1570) nie tylko hegemonia Danii faktycznie się skończyła, ale nawet została ona zagrożona w swym władztwie nawet na wodach bezspornie duńskich. Flota szwedzka odnosiła zwycięstwa, ale Dania przy współudziale Lubeki, jeszcze tym razem potrafiła w traktacie szczecińskim z 1570 r. utrzymać przewagę na Bałtyku, co zadecydowało

[1]) Szelągowski Adam, Walka o Bałtyk s. 30—1.

[2]) Hauser Henri et A. Renaudet, Les Debuts de l'age moderne. Peuples et civilisations Paris 1929 s. 56.

[3]) Sarna Zygmunt, Międzynarodowe publiczne prawo morskie w czasie pokoju i wojny, Kraków 1932, s. 56.

[4]) The danish Sound dues and the command of the Baltic.

o praktycznym podziale sfery wpływów pomiędzy Szwecją, Danią i Polską. W praktyce sfera szwedzka była bardzo wąska, lecz niebawem przez usunięcie Moskwy z zatoki fińskiej w r. 1583, Szwecja zyskiwała coraz to większe obszary morskie we wschodnich połaciach Bałtyku. W zasadzie stan przewagi duńskiej przetrwał czasy Karola IX i Gustawa Adolfa aż do pokoju w Brömsebro w r. 1645. W r. 1622 (6. VII) duńska Rada Państwa sprecyzowała prawa korony duńskiej nad Bałtykiem wzdłuż linii demarkacyjnej, która obejmowała Sund, następnie biegła poprzez Bornholm, Gotlandię do Ozylii i Kurlandii. Linia ta w istocie rozdzielała Bałtyk na część duńską i szwedzką i na tej to właśnie podstawie wyrysował amerykanin Hill podział basenu bałtyckiego pomiędzy oba te państwa w pierwszym ćwierćwieczu XVII stulecia[5]).

Władanie morzem nie miało oczywiście w owych czasach znaczenia papierowego. Było ono realnym wykonywaniem władzy suwerennej. Na czym ona polegała? Składa się na tę władzę nad morzem kilka charakterystycznych atrybutów, które zwykły świadczyć o tym, czy dane państwo w istocie jest suwerenem na całości lub części odnośnego obszaru morskiego. Najważniejsze te atrybuty postaram się tutaj przypomnieć.

Pierwszym i najważniejszym znamieniem władzy nad morzem było zamykanie i otwieranie żeglugi, nie tylko w portach, ale także na pełnym morzu. Klasycznym tego przykładem jest zamykanie i otwieranie portów szwedzkich dla handlu z Moskwą, po zajęciu przez nią Narwy w r. 1557, poparte równoczesnymi zakazami żeglugi do Narwy na pełnym morzu. Jak to zamykanie i otwieranie żeglugi do Narwy w praktyce wyglądało nie trzeba tu przypominać. Niema nieomal źródła historycznego odnoszącego się do Bałtyku, któreby w XVI w. nie wspominało o owej sławnej „navigatio Narvica".

Następnym znamieniem wykonywania władzy na morzu było rozporządzanie się żeglugą obcych, zezwalanie na nią, lub jej zakazywanie. Np. w r. 1593 Szwedzi, powołując się na swoje prawo na morzu Bałtyckim, uważali za nieodpowiednie, by Zygmunt III zjawiał się w Sztokholmie z flotą

[5]) Hill Charles E., The danish Sound dues and the command of the Baltic, s. 92—3 Por. Schäfer Dietrich, Der Kampf um die Ostsee im 16. u. 17. Jahrh. Hist. Zeitschr. 1899. t. 83. s. 436.

polską i woleli posłać po niego flotę szwedzką[6]). Innym przykładem regulowania żeglugi na terytorium suwerennym będą stosunki duńsko-szwedzkie po pokoju szczecińskim w r. 1570. Aczkolwiek traktat ten nie rozgraniczył jurysdykcji morskiej Szwecji i Danii, to jednak na zasadzie starej praktyki mogły okręty szwedzkie przybywać na wody duńskie, ale natomiast nie było określone zwyczajem, czy okręty duńskie mogą przebywać na wodach szwedzkich. Stąd Szwecja nie wahała się, wówczas gdy czuła się silniejsza, także wobec Danii wykonywać swe prawo regulacji żeglugi i pobierała od okrętów duńskich przepływających przez jej wody w kierunku Narwy, przez pewien czas, taksy celne[7]).

Aby w praktyce przeprowadzić zakazy żeglugi, państwo, które czuło się suwerenem na morzu prowadziło z reguły kontrolę żeglugi, nie tylko w portach i na redach, ale także na pełnym morzu, przy pomocy swojej floty wojennej. Przysługiwało więc mu prawo embarga, tj. zatrzymywania okrętów cudzoziemskich, choćby przy użyciu siły, przeprowadzania kontroli papierów, rewizji towarów i konfiskowania, w razie nieprzestrzegania zakazów, przewożonych towarów względnie nawet całych statków. Skonfiskowane statki albo oddawano po pewnym czasie właścicielom, albo przysądzano zwycięskim kapitanom, albo sprzedawano, lub też wreszcie przerabiano na okręty wojenne. Prawo embarga wykonywały na Bałtyku w ciągu całego w. XVI nie tylko Dania i Szwecja na swoich suwerennych obszarach morskich, ale w pewnych krótkich okresach czasu, jak zobaczymy, także i Polska.

Ważną oznaką zwierzchnictwa było prawo salutu, dalekie w owych czasach od formalnego ceremoniału, czy grzeczności. Statek obcego państwa napotkany na terytorium suwerennym drugiego państwa przez jego statek wojenny, a nawet często

[6]) Schäfer, j. w str. 435. Gdy w roku 1594 Zygmunt III nie czuł się pewny w Szwecji zażądał z Polski przysłania paru okrętów z wojskiem. Posiłki takie istotnie nadeszły. Szwedzi i Karol sudermański zgodnym głosem potępiali sprowadzenie żołnierzy i okrętów. Karol w liście do Zygmunta III pisał, że jeśli te okręty przybyły dla towarzyszenia królowi w drodze powrotnej do Polski, to zdaje się wyjdzie to więcej na despekt niż sławę króla, gdy z dziedzicznego królestwa obce okręty i obce wojsko go odprowadza, jakby Szwecja nie miała dość żołnierzy i okrętów. Najciekawszym jednakże argumentem jest następujący: „hoc magna infamia huic regno nasceretur, eo quod juris dictionem, quam in orientale mari regnum Svetiae semper ab antiquo habuit abdicasse videretur, quando intelligerent Mtem Vran externorum militum et navium opera uti".

[7]) Hill, j. w. s. 68.

handlowy, musiał go pozdrawiać przez opuszczenie żagli, lub później tylko bandery. Skutkiem opuszczenia żagli statek zatrzymywał się na morzu i z konieczności poddawał się kontroli, jeżeliby ją załoga okrętu wojennego państwa wykonywującego prawo zwierzchnie na morzu chciała wykonać. W r. 1580 Szwecja i Dania zgodziły się na wzajemne pozdrawianie okrętów, w siedem zaś lat później Fryderyk II duński kazał wszystkim okrętom pozdrawiać w Sundzie Kromborg i statki duńskie na całym Bałtyku, oraz na morzu Północnym, między Danią, Islandią a Norwegią. Znaczy to, że te obszary morskie uważał wówczas za podległe swej władzy[8]).

Prawo zwierzchnictwa morskiego objawiało się też przez konwojowanie obcych statków handlowych. Np. kiedy Lubeczanie w r. 1608, niepewni o losy swej floty handlowej, dodali dla jej ochrony 4 okręty wojenne, Duńczycy w te pędy przysłali swe okręty wojenne i na znak zwierzchnictwa konwojowali po swoich wodach flotę lubecką[9]). Innym znamieniem zwierzchnictwa była ochrona morza, przede wszystkim walka z korsarstwem, która należało do obowiązków „pana morza". Wreszcie z tytułu zwierzchnictwa nieraz jedno państwo nie pozwalało drugiemu trzymać floty wojennej i bez wypowiedzenia wojny tępiło i chwytało okręty. Tak np. postąpiła Dania wobec Polski w r. 1569, mimo, iż między oboma państwami panował pokój, a nawet formalne przymierze[10]). Wreszcie posiadacz morza, a zwłaszcza jego cieśnin starał się narzucić innym państwom cła morskie, i to nie tylko cła noszące charakter kontrybucyjny, jak np. cła szwedzkie w Piławie i Rydze, nałożone przez Gustawa Adolfa ale cła o charakterze pokojowym i stałym. Jak wiadomo Anglia uważała cieśninę La Manche za wewnętrzne morze angielskie i z tego powodu dochodziło do częstych sporów pomiędzy Anglią a Hiszpanią, Stanami Holenderskimi i Hanzą. Podobnie Dania trzymając w swym ręku klucz do Bałtyku, cieśninę sundzką, rościła sobie pretensje do wód całego tego morza. Na tej właśnie zasadzie wprowadziła dowolną politykę celną i nakładała na przepływające statki handlowe wysokie cła. Z tego samego tytułu otwierała i zamykała nieraz żeglugę. Dopiero traktat w Spirze w r. 1544 wprowadził pierwsze poskromienie samowoli duńskiej. W obronie handlu swych pro-

[8]) Hill, j. w. s. 80.
[9]) Schäfer, j. w. s. 436.
[10]) Szelągowski, j. w. s. 31—4.

wincji niderlandzkich wymusił wówczas Karol V na Danii otwarcie Sundu dla statków holenderskich za opłatą tylko cła zwyczajnego. Od tej chwili powoli, ale systematycznie również i inne państwa zaczęły wywierać nacisk na Duńczyków. Wiele traktatów handlowych pomiędzy Danią a Szwecją, Holandią, Anglią i Hanzą regulowało zagadnienie wysokości cła sundzkiego.

Teoria o „mare clausum" przetrwała do połowy XVII w., a w praktyce jeśli chodzi o stosunki bałtyckie, obowiązywała tu w ciągu całego XVII stulecia. Jak wiadomo przeciw tym zasadom prawa międzynarodowego powstała w początkach XVII wieku reakcja, w centrum ówczesnego świata: nad Kanałem. Wywołali ją Anglicy i Holendrzy, którym ze względów politycznych i handlowych, było za ciasno na morzach zamkniętych. W r. 1609 występuje Hugo Grotius w głośnym dziele „Mare liberum" z tezą nie nową, ale poraz pierwszy tak silnie sprecyzowaną, — wolności mórz. Jeszcze wszakże trzeba było czekać przeszło wiek zanim zasada Grotiusa ugruntowana przez innego Holendra Korneliusza van Bynkershoek znalazła powszechne uznanie, zanim wolność mórz, a co zatem idzie wolność żeglugi i rybołóstwa stała się jedną z największych zdobyczy cywilizacji nowożytnej. Wraz z zwycięstwem tej zasady zniknęło również pojęcie „dominium maris" w tym sensie, w jakim pojmowano go w w. XVI. Na miejsce tego terminu prawa międzynarodowego pojawiają się inne terminy jak „prymat na morzach", „hegemonia morska", „imperializm morski".

Przypomnieliśmy w najogólniejszej formie jak pojmowano w w. XVI władztwo mórz i jak w praktyce przeprowadzano teoretyczne zasady. Nie wspominaliśmy do tej pory o Polsce, aby zagadnień spornych nie mieszać z bezspornymi. Z kolei wypadnie nam teraz skonfrontować owe zasady panowania nad terytorium morskim z poglądami jakie w tej dziedzinie rozwijał Zygmunt August oraz z życiową praktyką, za pomocą której zagadnienia te rozwiązywał.

Jak to już przed zgóry 40 laty podniósł historyk niemiecki Dietrich Schäfer wyrażenie „dominium maris Baltici", nie jest wynalazkiem ani duńskim, ani szwedzkim, czy niemieckim, — ale polskim[11]). Użył go poraz pierwszy Zygmunt August 8. kwietnia 1563 w listach do Gdańska, Lubeki, książąt po-

[11]) Schäfer, j. w. s. 435.

morskich, Brandenburgii, Meklemburgii, Brunszwiku i Albrechta, księcia pruskiego, w których skarżył się na Eryka XIV, że chce opanować Bałtyk[12]). Ukuty przez ostatniego Jagiellończyka termin polityczny stał się niebawem codziennym rekwizytem języka dyplomatycznego i literackiego wszystkich państw bałtyckich.

Co przez to „dominium maris" rozumiano? Jaką treść sam król i jego najbliższe otoczenie temu wyrażeniu nadawał? Na pytanie to nie możemy znaleźć odpowiedzi bezpośredniej — natomiast wyczerpujące rozwiązanie odnajdujemy w analizie źródeł współczesnych, i w rozpatrzeniu zamierzeń i osiągnięć Zygmunta Augusta w dziedzinie polityki północnej.

Przede wszystkim — „dominium maris Baltici", tak, jak wiele terminów politycznych, nie miało stale tego samego znaczenia, lecz przechodziło ewolucję treściową. Od początkowego znaczenia koncentrującego się na zagadnieniach naszego wybrzeża i terytorium pomorskiego, przeszło ewolucję i oznaczało aspiracje w sferze polityki bałtyckiej i władania morzem, następnie nabrało cech programowych w tej dziedzinie, aż w pewnych, wprawdzie krótkich, ale niezwykle znamiennych okresach nabrał termin „dominium maris Baltici" znaczenia faktycznego wykonywania władzy suwerennej, nie tylko nad portami i wodami przybrzeżnymi, ale i nad samym morzem.

Program północny Zygmunta Augusta ograniczał się początkowo do trzech kompleksów zagadnień politycznych. Były to: 1) kwestia prawno-politycznego stosunku Prus Królewskich z Polską, 2) łącząca się z tym kwestia Gdańska i 3) kwestia lenna pruskiego. To były te trzy sprawy, które stanowiły istotę trudności Polski na północy. Kwestia Prus Królewskich, która weszła, jak się zdaje głównie przez wzgląd na potrzeby gospodarcze szlachcica—ziemianina do programu stronnictwa egzekucyjnego, od tej strony doznała silnego poparcia. Coraz jaśniej krystalizuje się program unifikacji prawnej, administracyjnej, gospodarczej i narodowościowej, jak to najogólniej zarysowali w swych pracach W. Sobieski, Z. Mocarski i St. Bodniak. Program ten z biegiem lat, szczególnie, gdy na terenie sejmowym król stanął na gruncie współpracy ze stronnictwem egzekucyjnym, stał się częścią składową programu „dominium maris", bo od silniejszego powiązania Prus Kró-

[12]) Bodniak, Kongres szczeciński, Kraków 1929, s. 67 i 72.

lewskich z Polską zależał swobodny dostęp handlowy i polityczny Polski do morza, zależała aktywność dyplomatyczna państwa w dziedzinie jego polityki bałtyckiej. Jest rzeczą jasną, że gdyby droga wodna Wisłą była wolna od wszelkich trudności czynionych w Gdańsku, gdyby Polska miała swobodę decyzji militarnych w Elblągu i na Helu, otwarłoby to o wiele większe możliwości dla czynnej polityki wobec państw bałtyckich. Sciśle z Prusami Królewskimi łączyło się, jak wiadomo, zagadnienie gdańskie, sprawa gospodarowania w porcie gdańskim oraz odrębnej i niezgodnej z interesami Rzeczypospolitej polityki zagranicznej, jaką Gdańsk nieraz prowadził. Całe panowanie Zygmunta Augusta wypełnia ten problem gdański, daje się we znaki już w latach pięćdziesiątych, nabrzmiewa w latach sześćdziesiątych, wybucha z całą gwałtownością w latach 1568—70 i wysuwa się wówczas nieomal na czoło polityki północnej ostatniego Jagiellończyka. Od samego początku stanowi on jeden zasadniczy punkt programu „dominium maris" — oczywiście w węższym znaczeniu tego terminu.

Wreszcie sprawa Prus Książęcych, związania polityki zagranicznej lennika z polityką zagraniczną suwerena, skierowania jej mieszkańców drogą apelacji od wyroków sądów miejscowych do Polski, uzależnienia administracji lennej od administracji polskiej, rozbudzenia ambicji stanowych drogą przeszczepienia polskich haseł wolności szlacheckiej na terytorium lenne, to był trzeci zasadniczy człon składowy początkowego pojmowania „dominium maris Baltici". W interesie zarówno handlu polskiego, jak i polityki zagranicznej Rzeczypospolitej występował Zygmunt August niejednokrotnie wobec lennika pruskiego z żądaniami, których celem istotnym było swobodne korzystanie przez Polskę z portów, wybrzeży i wód pruskich.

Ta zasadnicza podstawa zainteresowań się północą przez Zygmunta Augusta, ten początkowy program „dominium maris Baltici" uległ znacznemu rozszerzeniu w latach 1557—61. Skutkiem upadku państwa Zakonu Kawalerów Mieczowych w Inflantach trzeba było, celem zabezpieczenia Litwy, a także Prus, zająć w tej sprawie aktywną postawę. Polska polityka bałtycka nabierała niezwykłej aktywności. Wszędzie, w Sztokholmie, Kopenhadze, Mitawie, Rydze, Gdańsku, Królewcu, Szczecinie i Narwie czuć rękę Jagiellona. Rozwija on coraz szersze plany, myśl jego ogarnia coraz rozleglejsze hory-

zonty[13]). W efekcie Zygmunt August wygrywa dla Polski Inflanty i lenno kurlandzkie, zyskuje 300 mil wybrzeży, porty ryski i parnawski, skupia w swym ręku wschodnią część południowych wybrzeży Bałtyku, ale za to wszystko zmuszony jest zapłacić rozszerzeniem konfliktu z Rosją, z Danią i Szwecją i musi zająć aktywną pozycję w międzynarodowej rywalizacji o Bałtyk. Gospodarczy spór z Moskwą o żeglugę do Narwy zamienia się w spór wielkiej doniosłości. Zainteresowanymi stronami w jego rozwiązaniu są nie tylko bez wyjątku wszystkie państwa bałtyckie, ale duża część Europy, cesarz, Hiszpańskie Niderlandy, Francja i Anglia. Wobec tych wszystkich partnerów zmuszony jest Zygmunt August od r. 1557, aż po swój zgon bronić swego stanowiska, a wobec tego, że język dyplomatyczny jest za słabą bronią, chwyta się oręża. Udział w wojnie północnej po stronie Danii i Lubeki przeciw Szwecji jest pierwszym aktywnym wmieszaniem się państwa polskiego w sprawy bałtyckie, celem zabezpieczenia interesów własnych na morzu. W trakcie tej wojny wysuwa się Zygmunt August coraz śmielej na Bałtyk. Tworzy i rozbudowywuje polską marynarkę wojenną. Rosną zadania, wyłaniają się nowe cele i w ogniu wzmagań krystalizuje się cały program polityczny. Do „dominium maris Baltici" polegającym na wszechstronnym użytkowaniu własnych wybrzeży i portów dołączają się nowe elementy, które przynosi rozwój wypadków w miarę postępu wojny siedmioletniej. Są to wszystko narazie aspiracje, które składają się na jasno uświadomiony sobie program. Do faktycznego wykonania jeszcze jest uciążliwa droga[14]).

Już owe listy z 8. kwietnia 1563, w których król poraz pierwszy użył terminu „dominium maris Baltici" dowodzą a contrario, że Zygmunt August oskarżając Eryka XIV o chęć opanowania Bałtyku, tym samym pewien współudział we władztwie nad morzem dla Polski pragnął zatrzymać. Wskazuje na to jego polityka obejmująca całokształt spraw związanych z Bałtykiem. Linii wybrzeży, które uzyskał w Inflantach, bronił w czasie całych swoich rządów wytrwale, niechcąc się dzielić z nikim, ani z Danią, ani z Szwecją, ani z Moskwą; nie tylko krajem, ale i portami, czy to będzie Ryga, czy Parnawa, czy Rewel. Dawną politykę jagiellońską, która tkwiła korzeniami w południowym wschodzie zarzucił

[13]) Sobieski W., Kampf um die Ostsee s. 120.

[14]) Lepszy, Dzieje polskiej floty wojennej (w druku).

na rzecz polityki północnej. Tam na Węgrzech, Siedmiogrodzie i księstwach naddunajskich zostawiał pole Habsburgom. Ale tu na północy chciał ląd i morze poddać pod swoją kontrolę. Z Gdańska, z Pucka, z Rygi i Parnawy obejmował za pomocą marynarki wojennej kontrolę nad „żeglugą narewską". Nie wahał się w ostatnim dziesiątku swego panowania nawet porty Pomorza szczecińskiego, a w szczególności Kołobrzeg wciągnąć w swoje plany morskie[15]).

Powoli aspiracje do „dominium maris Baltici" próbuje Zygmunt August w latach sześćdziesiątych w czyn wcielić. Pierwszym ze znanych nam świadectw takiej czynnej polityki na morzu jest wysuwane przez Polskę żądanie, aby statki innych państw oddawały salut okrętom królewskim przez spuszczenie żagli. Jak już wiemy, wedle powszechnie ówcześnie przestrzeganych obyczaji morskich był to dowód wykonywania władzy nad samym morzem. Dnia 20. kwietnia 1566 wydał mianowicie Zygmunt August uniwersał do statków żeglujących po Bałtyku, aby pod grozą uznania ich za nieprzyjacielskie, bez oporu oddawały salut przez opuszczenie żagli. Przy tej sposobności mają się one wytłumaczyć dokąd podróżują. Jest to już nie tylko formalne, ale faktyczne wykonywanie zwierzchnictwa na morzu. Polska w tym uniwersale wychodzi poza aspiracje i dąży do zapewnienia sobie, na zasadzie rónorzędności z Danią i Szwecją, prawa do kontroli na Bałtyku[16]).

Uniwersał, uniwersałem. W tym tkwi jednakże sedno rzeczy czy był on w praktyce przestrzegany. Przypuszczamy, że o jakimś konsekwentnym i stałym jego wykonywaniu trudno mówić, jeśli się zważy jak w gruncie rzeczy słaba była polska flota wojenna. Ale są na to dowody, że w pewnych wypadkach Polska wykonywała przepisy tego uniwersału, nie tylko wobec państw małych, ale nawet wielkich, z którymi zatarg mógł łatwo spowodować ryzykowny konflikt. Przykładem na to jest Francja. W r. 1567 kaprzy polscy zabrali na pełnym morzu flotę kupiecką z Dieppe zmierzającą do Narwy, a i w roku następnym ponieśli kupcy z Dieppe, skutkiem działalności floty polskiej i zatrzymania ich statków

[15]) Bodniak, Kongres szczeciński s. 67.

[16]) Wiadomość o tym uniwersale podał Bodniak, Przyczynki do dziejów marynarki w Polsce w XVI w. I. Kiedy powstała dawna bandera polska? „Rocznik gdański" t. IX i X s. 224.

przez Danię w Sundzie, straty sięgające 100.000 talarów[17]). Nie pomogły protesty Karola IX, Katarzyny Medycejskiej i posła francuskiego w Kopenhadze Karola Dançaya[18]). Gdy kupcy francuscy w dalszym ciągu nie trzymali się przepisów polskich, flota Zygmunta Augusta znów pochwyciła — w r. 1571 kilka okrętów kupieckich płynących do Narwy. Zygmunt August pouczał wówczas Karola IX, że kupcy francuscy sami sobie są winni, gdyż „wbrew naszym tylokrotnie ogłaszanym edyktom żeglowali do kraju nieprzyjacielskiego i na naszym morzu zostali schwytani"[19]). Skoro kupcy ci płynęli z Narwy do domu, to oczywiście omijali wody ryskie i gdańskie i pomykali ogólnie używanym szlakiem, biegnącym pełnym morzem z Narwy ku brzegom szwedzkim, a następnie wzdłuż nich do Sundu. Kontrola polska odbyła się zatem najoczywiściej na pełnym morzu, a w każdym razie nie na wodach terytorialnych. Kontrolę tę przeprowadza ustanowiona w r. 1568 Komisja Morska, urząd morski, a zarazem admiralicja, przy pomocy podległej sobie floty. Dowodzi to, że aspiracje Zygmunta Augusta w dziedzinie „dominium maris Baltici" zmieniły się na realne wykonywanie władzy na pełnym morzu. Jak jeszcze raz podkreślam, kontrola morska nie musiała być dostatecznie silna i stała, ale w każdym razie co pewien czas i w sprzyjających warunkach była wykonywana.

W r. 1569 Zygmunt August w licznych wypowiedziach zgłaszał wyraźnie pretensje do władania na terytorium morskim. W liście do ks. Adolfa meklemburskiego pisze Jagiellończyk, że „morze, które oblewa jego państwo podlega jego władzy i jurysdykcji"[20]). Podobnie broni wobec Fryderyka II działalności swych kaprów, gdy 23. VII. 1569 pisze z oburzeniem: „Cur nobis de securitate Regni et Dominiis nostris praestanda, periculisque avertendis cogitare liberum esse in mari nostro non debeat, non videamus"[21]). A w parę mie-

[17]) Richard Alfred, Charles de Danzay ambassadeur de France en Danemarck, Poitiers 1910, s. 84; Sobieski W., Henryk IV wobec Polski i Szwecji s. 15—16, Hauser, Un Français dans la Baltique au XVI siecle Charles de Danzay. La Pologne et la Baltique. Paris 1931 s. 25 i 26.

[18]) Collection documents inedits sur l'histoire de France publiė par ordre du roi et par les soins du ministre de l'instruction publique nr. 45 Lettres de Catherine de Medicis, 10 vol. 1880—1905.

[19]) Czołowski, Historia marynarki w Polsce, Lwów 1922 s. 76—7.

[20]) Bodniak, Kongres szczeciński, s. 72.

[21]) Rkp. Czart. 1569 s. 222—8.

sięcy później 17. X. 1569 znów pisze Zygmunt August, że go nie wzruszają argumenty duńskie za wolnością żeglugi, gdyż „licere nobis, nostro in mari id facere quod omnibus licet, ut videlicet commercium impediamus"[22]). Odtąd mnożą się z roku na rok te zwroty „mare nostrum", „in mari nostro" itd., które stanowią codzienny nieomal rekwizyt korespondencji politycznej Zygmunta Augusta.

Powołane wyżej wypowiedzi Jagiellończyka nie rozstrzygają bezwzględnie czy miał on na myśli wody terytorialne polskie w ich szerokim tego słowa znaczeniu, czy też również dalekie obszary morskie. Kaprzy polscy najwięcej uwijali się wzdłuż brzegu, ale także krążyli po pełnym morzu. Z tego może łatwo wynikać, że wypowiedzi powyższe odnoszą się także do obszaru pełnego morza. W każdym razie wynika z nich że Zygmunt August uważa część wód Bałtyku za podlegające jego suwerennej władzy i pogląd ten usiłuje narzucić także innym państwom, a szczególnie Danii. Gdy w maju w r. 1570 król po wielokroć kołatał o uwolnienie statków i żeglarzy pochwyconych przez Danię koło Rewla, wyraźnie zaznaczał, że zostali oni pochwyceni „in mari nostro Livonico", lub jak napisał w liście do Katarzyny Jagiellonki „na morzu naszym", aczkolwiek Duńczycy zagarnęli wówczas statki w zatoce fińskiej. Rzuca to pewne światło na zasięg aspiracji królewskich, skoro wody zatoki fińskiej, a nie tylko zatoki inflanckiej należały w jego mniemaniu do terenów na których wykonywał jurysdykcję królewską[23]).

Ciekawe są poglądy Zygmunta Augusta, jakim dał wyraz w czasie obrad kongresu pokojowego w Szczecinie. Polska starała się wówczas czynnie pokierować uregulowaniem spraw bałtyckich. Jej zamiarem było włączyć do traktatu pokojowego ogólny zakaz „żeglugi narewskiej", ale z wyjątkiem Szwecji, nikt z obecnych na kongresie nie poparł jego żądań. Przeciwnie, tezą oponentów, a przede wszystkim Danii, była wolność żeglugi, przez którą Duńczycy rozumieli swoje panowanie na Bałtyku. Tezę tę popierały ze względu na handel morski Lubeka i Francja. Francja była właśnie głosicielką zasady wolności Bałtyku, a poseł francuski, wspomniany Karol Dançay użył poraz pierwszy odnośnie do

[22]) Rkp. Czart. 1569 s. 247—55.

[23]) Zygmunt August do Fryderyka II 12. V. 1570 rkp. Czart. 300 s. 247—8; Bodniak, Kongres szczeciński, s. 20.

Bałtyku terminu „la mer libre"[24]). W gruncie rzeczy za wolnością Bałtyku opowiadała się też Szwecja, ale rozumiała przez to wolność żeglugi przez cieśninę sundzką, którą miała zresztą już dawniej sobie przez Danię przyznaną.

Stanowisko Polski było podobne do szwedzkiego. Tak jak Szwecja pragnęła wolności cieśniny sundzkiej i dążyła do uznania w traktacie części Bałtyku jako sfery jej interesów, tak i podział wód bałtyckich pomiędzy kontraktujące strony był dążeniem Polski. Świadczy o tym raport delegacji polskiej w Szczecinie z 22. XI. 1570 w którym posłowie polscy pisali: „De dominio maris huius, które sobie snadź król duński samemu przywłaszcza, oponujemy się, ile możemy, a nie będzie — li mogło być inaczej, niechaj czyni co chce na swym morzu, tylko, aby na morzu WKM-ci i książąt pomorskich jurysdyciej swej nie rozciągał. Co on będzie forytował na swym morzu, tego WKM z inszymi książęty bronić będziesz raczył na swym"[25]).

W raporcie tym występuje najwyraźniej podział morza bałtyckiego na ten obszar nad którym bezspornie włada Dania i ten obszar do którego podnosi pretensje Polska. Wygląda na to, że przez morze własne rozumieją tutaj dyplomaci polscy szeroko pojęty pas morski przybrzeżny. Nie chodzi tu wyłącznie o wody terytorialne, za które uważała Polska zatokę gdańską i inflancką, ale o coś znacznie więcej. Wiele mówiącą jest wzmianka o morzu książąt pomorskich. Po pierwsze przekreśla ona supozycję, że może tu chodzić wyłącznie o terytorialne wody gdańskie, a powtóre wskazuje ona na niezwykle ciekawą tendencję polityczną Zygmunta Augusta, który w swoich staraniach o gospodarcze, strategiczne i polityczne związanie Pomorza Szczecińskiego z Polską brał wody oblewające Pomorze Szczecińskie pod swoją opiekę.

Jeśliby jednak miał ktoś wątpliwości, czy we wspomnianym raporcie ze Szczecina nie mieli komisarze polscy na myśli bezpieczeństwa samej tylko zatoki gdańskiej, należy wyjaśnić, że ustęp powyższy ich raportu jest integralnie związany z walką o włączenie do traktatu zakazu żeglugi narewskiej, która — jak wiadomo — szła w swym głównym szlaku z Sun-

[24]) Hauser, Un Français dans la Baltique, s. 27.

[25]) Bodniak, Kongres szczeciński, s. 56.

du pełnym morzem do Narwy i nie przebiegała nigdzie przez wody przybrzeżne Gdańskie.

Jest rzeczą chyba bezsporną, że zatem przez zwrot „dominium maris Baltici" wyrażały się już nie tylko aspiracje, ale i rzeczywistość polityki morskiej Zygmunta Augusta w odniesieniu do szeroko pojętych wód terytorialnych.

Jest rzeczą znamienną, że poglądy królewskie przyswoili sobie także współpracownicy Zygmunta Augusta. Jan Dymitr Solikowski i Stefan Loytz chyba podzielali w pełni poglądy króla, gdy pisali: „de dominio maris WKM-ci był sam poswarek bez nas między cesarskimi a kurfirstowymi (saskimi) posły. Jeden z nich mówił: chce się rozciągnąć król polski na morzu i wendykuje sobie dominium maris, ale musi Rzesza w to wejrzeć, a porozumiawszy się z tymi królmi (króla szwedzkiego a duńskiego rozumiejąc) nie dać się mu rozciągnąć. Na co jeden z cesarskich odpowiedział: a co też rzeczecie, kiedy król polski z Moskwicinem się zjedna, a wszystkie was z nim z tego morza wypędzi. Jakoż będziecie — li go tak długo drażnić, iż do tego przyjdzie"[26]). Cóż za pyszny argument za porozumieniem się państw bałtyckich przeciw germańskim, a zarazem dowód, że jeśli na konferencji pokojowej takie argumenty padają, to widać, że to „dominium maris" nie jest tylko pobożnym życzeniem, ale faktem z którym zaczynają się współzawodnicy Polski realnie liczyć.

Jest rzeczą uderzającą, jak Fryderyk II duński, tak dbały o swe interesa morskie, w trakcie wojny ze Szwecją, łamie raz za razem przymierze z Polską i od r. 1568 staje się faktycznie jej wrogiem. Mimo formalnego przymierza od r. 1568 toczy się pomiędzy Danią a Polską wojna na morzu. Rzecz znamienna, że ta Dania, której konflikt ze Szwecją, ani na chwilę się nie łagodzi, która doznaje licznych niepowodzeń militarnych, która od bitwy gotlandzkiej w r. 1566 oddaje przewagę morską Szwecji, w takiej chwili ryzykuje stratę poważnego sprzymierzeńca. Czy tylko przez wzgląd na rewolucję w Szwecji i objęcie tam tronu przez szwagra Zygmunta Augusta? Czy może obok tego nie gra największej roli obawa aby „dominium maris Baltici" w rękach polskich zanadto się nie rozrosło? W r. 1568, 1569 i 1571 Dania systematycznie niszczy polską flotę wojenną w zatoce gdańskiej i na wodach

[26]) Bodniak, Kongres szczeciński, s. 57.

dalekiego Rewla. Nie darują kaprom Duńczycy nawet wówczas gdy w r. 1573 wiozą posłów francuskich i polskich do Francji. W r. 1576/77 sama myśl, że Stefan Batory może odbudować marynarkę wojenną sprowadza na niego ataki floty duńskiej[27]). Jest w tej systematycznej zaciekłości coś zastanawiającego, co dowodzi, że flota polska, jako strażniczka morza, kontrolująca ruch handlowy na Bałtyku okazała się dla Danii szczególnie niebezpieczna. Aż tak niebezpieczna, że warto dla tej sprawy poświęcić dobre sąsiedzkie stosunki. Miały po parę statków miasta nadmorskie na całym wybrzeżu Bałtyku, nie były one jednak solą w oku Duńczyków. Tą solą była natomiast flota polska, bo za nią kryło się coś istotnego — „dominium maris Baltici".

Zwycięstwo tezy duńskiej w pokoju szczecińskim z 13. grudnia 1570 uznanie wolności żeglugi na Bałtyku — także do Narwy — było dotkliwym ciosem dla Zygmunta Augusta. Mimo to i po kongresie szczecińskim z programu swego król nie rezygnuje. Przeciwnie, ofiarowuje teraz cesarzowi, jako temu, w którego ręku, w myśl układów szczecińskich sprawa inflancka i żegluga narewska spoczęły, flotę swą, aby przy jej pomocy przeprowadzić zakaz żeglugi narewskiej. Nie były to żadne przechwałki; gdy zaszła potrzeba umiała flota polska, w sprzyjających okolicznościach, przeprowadzić skutecznie działania morskie. Np. odcięła w r. 1570 komunikacje morzem dla ks. Magnusa duńskiego. „Nawigacja też morska teraz nie idzie tamtędy przez Lubekę i z Roztoku, i z innych miast żeglować z nimi nie mogą" — donosił administrator Inflant, Jan Chodkiewicz[28]). Dowodem zaufania (i szczypty humanistycznej przesady) do floty polskiej było gdy Zygmunt pisał na dwór cesarski, że „ostatek sami frejbiterowie nasi, które na morzu mamy odprawią, a tę nawigację bez pohyby zahamują". Czynił to Zygmunt August nie tylko po to, aby zwierzchnictwo swoje nad morzem wobec cesarza akcentować, ale w obawie aby Rzesza Niemiecka nie sprowadziła na Bałtyk floty swojej, celem rozstrzygnięcia konfliktu pomiędzy państwami bałtyckimi[29]).

[27]) Lepszy, Strażnicy morza Stefana Batorego, Gdańsk 1934.

[28]) Do Zygmunta, 30. XII 1570 Scr. r. pol. I. s. 151.

[29]) Zygmunt August do posłów na dworze cesarskim A. Konarskiego i Ł. Podoskiego 21 III. 1571. Akta podkanclerskie Fr. Krasińskiego t. II s. 338—9; Zygmunt August do Podoskiego 4. IX. 1571 tamże t. III nr 133; Forsten, Akty i pisma nr 59.

Pod koniec rządów, po kongresie szczecińskim, Zygmunt August jeszcze bardziej jest zdania, że na morzu należy polegać na własnych siłach i że system kaperski w zestawieniu z siłami Danii i Szwecji jest niewystarczający. Z tego powodu rozpoczyna król budowę regularnej floty (galeona) a w instrukcji na sejmiki 1572 woła o „stateczną armadę", o stałą flotę bojową na wzór szwedzkiej, duńskiej lub angielskiej. Czy po to, by tylko strzegła portów i wybrzeży, czy raczej po to, by wygrała dla Polski walkę o szlaki morskie, by odwróciła niebezpieczeństwo porozumienia Danii ze Szwecją i wspólnego opanowania przez te państwa „dominium maris króla Jego M-ci[30]).

Realizację ostateczną tych zamierzeń przecięła śmierć ostatniego Jagiellona. W wirach bezkrólewia utonęła myśl o „dominium maris", przywalona przez wyrastający ponad głowy polskich statystów problem budowy Rzeczpospolitej szlacheckiej. Mimo to, zarówno publicystyka pierwszego bezkrólewia, jak i fakt obioru Zygmunta III dowodziły jak głęboko utkwiła w umysłach polskich idea „dominium maris" rzucona przez Zygmunta Augusta. Z pośród ludzi jego szkoły przeważają głosy pozytywne. Stanisław Karnkowski Jan Dymitr Solikowski, Piotr Kłoczewski, Mikołaj Firlej z Dąbrowicy wyraźnie opowiadają się za „dominium maris Baltici" w interpretacji Zygmunta Augusta. Ich wypowiedzi rzucają sporo światła na zagadnienie jak ostatni Jagiellończyk termin ten rozumiał. Szczególnie ważkim jest tu głos Stanisława Karnbowskiego w jego dziele „De iure provinciali terrarum, maiorumque civitatum Prussiae" (Kraków u Scharffenberga 1574), który dowodzi, jak daleko sięgały aspiracje polskie. Oto wyjątki z tego dzieła w literackim, lecz wiernym, jeśli chodzi o myśl, tłumaczeniu: „Panowanie na morzu na bezpośrednim władaniu na nim się zasadza, którego najpierwszym warunkiem jest władza swobodnego kierowania nawigacją. Kto więc może, zważywszy na okoliczności pokoju lub wojny, na sposobność czasu i miejsca, jak każą względy na państwa, ludzi i towary, o które rzecz idzie, wysyłać okręty i przyzwalać na żeglugę, lub jeśliby ona miała jakową szkodę królestwu temu i jego prowincjom czynić, jej zabraniać, ten ma prawdziwe dominium maris. Spytajcie co za pożytki ma ono na oku? Aby od większych i skuteczniejszych spraw zacząć, niesie to

[30]) Akta podkanclerskie Fr. Krasińskiego t. III. nr 448.

panowanie na morzu pomyślność kupcowi, obfitość i niską cenę wszelakich towarów z za morza do Rzeczpospolitej przywożonych, wzrost bogactw z wyprzedaży płodów ziemnych naszej polskiej i litewskiej ziemi, cóż mówić o skutecznej i porządnej obronie naszej miłej ojczyzny i zgnębieniu nieprzyjaciela?

Wszakoż jeśli ujmiemy w dłonie władanie nad morzem bałtyckim, owóż i nowe porty zakładać będziem mogli i twierdze warowne w portach, na brzegach morskich, a w ujściach rzek będziem budować, składy towarów morskich albo emporia stanowić, cła nakładać i ekspedycje wojenne na morze wyprawiać. Owóż ślepy tylko nie dojrzy, ile z tego panowania dostojności Rzeczpospolitej urośnie, ile sławy i potęgi dla całego królestwa i jego prowincji przybędzie. Owo i o dochodach mówić trzeba, które w wielkiej liczbie nie tylko ubogi skarb publiczny, ale i pospolitego człowieka nawiedzać będą ... Gdy morzem władać będziemy wówczas i o sprawiedliwość, pokój i obronę brzegów, portów i prowincji, którymi najważniejsze narody stoją i do góry się podnoszą łacniej postarać się będziem mogli."

Widać bezwątpienia dużą różnicę pomiędzy sprecyzowaniem panowania na morzu w Statutach Karnkowskiego dla Gdańska, a w tym głosie biskupa kujawskiego. Statuty dotyczyły jedynie zagadnienia władzy królewskiej na wodach gdańskich, bo odnosiły się tylko do sporu z Gdańskiem. Zagadnienia władania na pełnym morzu nie mogły poruszać. Natomiast w dziele swym „De iure provinciali terrarum maiorumque civitatum Prussiae" bez wątpienia nie chodziło Karnkowskiemu tylko o porty, wybrzeża i najbliższe wody terytorialne, ale także o morze przylegające szerokim pasem do Rzeczpospolitej. Szczególnie wskazuje na to drugi ustęp cytowanego tekstu, w którym Karnkowski mówi o korzyściach jakie będą płynąć z wzięcia w swe własne władanie morza bałtyckiego. Zakładanie portów i twierdz warownych, składów morskich i emporiów, nakładanie ceł i organizowanie wypraw wojennych na morze uzależnia Karnkowski od panowania nad morzem bałtyckim. Swobodne kierowanie żeglugą zależy wedle Karnkowskiego od bezpośredniego władania morzem, i oczywiście nie wystarcza mu tylko posiadanie portów, ale także kontrola pełnego morza. Korzyści jakie płyną dla państwa w dziedzinie polityki i handlu oraz dla poszczególnych obywateli w sferze gospodarczej dowodzą jak

głęboko Karnkowski rozumiał interesy, które wiążą Polskę z jej wybrzeżami i z morzem bałtyckim.

Jeszcze może ciekawsza od słów Karnkowskiego jest wypowiedź drugiego bliskiego współpracownika Zygmunta Augusta, Jana Dymitra Solikowskiego. W swym literackim utworze „In funere Sigismundi Augusti ... oratio" (Kraków 1574), gdy Solikowski omawia zmagania z Danią o „morze sarmackie" z całą mocą podkreśla, że należy ono tylko do Polski (cuius proprietas, ad neminem profecto alium, quam ad nos pertinet" (k. A4) a Dania, z tytułu posiadania Sundu, najniesłuszniej aroguje sobie prawo do panowania nad całym morzem („totius maris dominatum sibi vendicat") podczas gdy faktycznie władza jej kończy się na brzegach i wyspach duńskich („quod ipsius littoribus et insulis terminatur"). Jest to może najdalej idący pogląd, tym znamienniejszy, że wypowiedział go człowiek, który doskonale znał arkana polityki Zygmuntowej. Sądy te i wyobrażenia przenikały nawet do literatury pięknej, jeszcze bowiem w r. 1603 chwalił Stanisław Grochowski działalność morską Zygmunta Augusta w słowach:

„Było i na oceanie
Znaczne jego panowanie
Bo i tam chciał być ogromnym
Nieprzyjaciołom koronnym"[31]).

Oczywiście obok entuzjastów panowania na Bałtyku znachodzimy w otoczeniu Zygmunta Augusta także i pesymistów. Jest ich niewiele, napewno mniej niż Karnkowskich i Solikowskich. Jednym z takich był Marcin Kromer, który krytycznie odnosił się do władzy polskiej na morzu. Do podkanclerzego Krasińskiego napisał wręcz w r. 1569 słowa pełne niewiary: „nobis vix somniandum est maris imperium"[32]). W korespondencji politycznej i w wypowiedziach współczesnych więcej jest głosów pozytywnych. Opinia publiczna jest pozyskana dla „dominium maris". Znamiennym świadectwem nastrojów jest ważny akt prawny, a mianowicie tekst paktów konwentów dla Henryka Walezego. Flota, do której wystawienia zobowiązywał się Walezy miała wedle brzmienia paktów konwentów bronić: „portus et dominium maris, ditionis Regni et Provinciarum adiacentium, quatenus se porrigit

[31]) Bibliotheka polska Turowskiego, zeszyt 26—7 s. 89.

[32]) Bodniak, Kongres szczeciński, s. 74.

omnis ille tractus Polonicae ditionis". Jeśli byśmy nawet przez zwrot „ille tractus Polonicae ditionis" rozumieli wody morskie okalające brzegi polskie, to w każdym razie nie będą to wody terytorialne ani w ówczesnym pojęciu prawa międzynarodowego, na odległość strzału armatniego od brzegu, ani w dzisiejszym tego słowa znaczeniu 10 km od wybrzeży. Będzie to obszar znacznie większy, szerokim pasem obejmujący Rzeczpospolitą[33]).

Pozostaje do rozstrzygnięcia ważne pytanie. Skoro Zygmunt August w swoich wypowiedziach dzieli Bałtyk na obszary duński, szwedzki i polski, to gdzie w jego pojęciu leżał ten obszar polski, podległy jurysdykcji królewskiej? Bardzo cenny materiał dają nam tu wiadomości o zapuszczaniu się floty polskiej na pełne morze, zwłaszcza, gdy od chwili powstania Komisji Morskiej w r. 1568 marszruty okrętów nie były przypadkowe, lecz zależały w dużej mierze od jej dyspozycji. Jeśli pominiemy wiadomości o pojawianych się pojedynczych statkach polskich, które mogły wyłamać się z dyscypliny i działać na własną rękę, lub też być zagnane na pełne morze przez burzę, to działanie grupowe floty nie może uchodzić za przypadkowe. Wówczas działa bezwątpienia rozkaz. A gdy znachodzimy flotylę na jej działalności kontrolnej wobec statków państw neutralnych, gdy następnie w wyniku tej działalności dochodzi do sporu o skonfiskowane statki i towary, a strona polska wysuwa argument, że wypadek miał miejsce „in mari nostro" — wówczas na tej podstawie możemy przypuszczać, że dany odcinek morza był przez Zygmunta Augusta uważany za podlegający jego jurysdykcji. Zachowując takie ostrożności możemy napotkać kaprów w latach 1568—1571, tzn. w okresie największego ożywienia ich działalności, pod Kołobrzegiem, na pełnym morzu pomiędzy Gotlandią a zatoką gdańską, w zatoce fińskiej, przy brzegach estońskich. W tych granicach zatem musiał zamykać się obszar wód, które Zygmunt August za swoje uważał[34]). Oczywista, że ścisłość określenia tego obszaru jest tylko przybliżona. To rzecz pewna, że obszar ten wybiegał znacznie poza ściśle pojęte wody terytorialne. To również zdaje się z wszystkich danych wynikać, że aspiracje Zygmunta Augusta sięgały daleko, i że w każdym razie główny szlak morski z Sundu

[33]) Lepszy, Strażnicy morza s. 7, przypisek 12.

[34]) Katarzyna Jagiellonka do Zygmunta Augusta, Wadstena 12. X 1569. Rkp. Czart. 300 s. 80—1.

do Narwy poczynając od południka Kołobrzega, po zatokę fińską, chciał Jagiellończyk poddać pod kontrolę polską. Faktyczna prawda leżała pośrodku. Jurysdykcją polską objęty był duży obszar wód przybrzeżnych rozciągający się od Kołobrzega wzdłuż brzegów pruskich, kurlandzkich i inflanckich aż do Rewla w Estonii.

W drugiej połowie r. 1571 Zygmunt August wypowiedział się dwukrotnie w sprawie swego władania nad morzem, w taki sposób, że zdawał się rezygnować z dotychczasowego swojego programu. We wrześniu pisał do Fryderyka II duńskiego, że jego marynarze zwalczając żeglugę narewską „custodiam maris nostri ita tuentur, ut transitum . . . prohibeant . . . intra littora nostra"[35]). W depeszy zaś przeznaczonej dla posłów polskich na dworze cesarskim, powiada król, że zwalcza żeglugę narewską „na tym morzu gdzie się brzegi nasze ściągają"[36]). Wygląda to na to, że król ogranicza się tylko do mórz terytorialnych, szeroko pojętych, położonych „pomiędzy naszymi wybrzeżami", tzn. ograniczonymi linią Parnawa-Rozewie. Chodzi tu raczej o pozory. Pod wpływem klęsk poniesionych od Fryderyka II na morzu, Zygmunt August unika zadrażnień, szuka porozumienia z Danią, — wszystko po to, aby zyskać trochę na czasie. Instrukcje na sejmiki brzmią inaczej. Chodzi więc tylko o niedrażnienie nieprzyjaciela[37]).

We wstępnych uwagach wyliczyłem, że realne wykonywanie władzy suwerennej na terytorium morskim polegało w w. XVI na zamykaniu i otwieraniu żeglugi w portach i na pełnym morzu, na prawie embarga, prawie salutu, na konwojowaniu obcych statków handlowych, na walce z korsarstwem i na zakazie posiadania floty przez państwo morzem niewładające. Z wyjątkiem walki z korsarstwem, o której nic nie wiemy, we wszystkich powyższych punktach Polska zajęła aktywne stanowisko. Poza faktami już wymienionymi dodajmy, że flota kaperska konwojowała okręty handlowe szwedzkie z Gdańska i portów Pomorza Szczecińskiego do Szwecji w latach 1568 i 1569, a gdy w r. 1570 Moskwa wypuściła pierwsze swe okręty wojenne na Bałtyk, Polska, mimo

[35]) 28. IX 1571 akta podkanclerskie Fr. Krasińskiego t. II, s. 198—9.

[36]) 28. IX 1571 akta podkanclerskie Fr. Krasińskiego t. II, s. 195—6.

[37]) Rozróżniał jeszcze Zygmunt August tzw. „dobrowolne morze" inaczej wolne morze, nikomu nie podległe. W danym wypadku miał na myśli wody między Sundem a Gdańskiem. Zygmunt August do Ł. Podoskiego 13. IX 1570 akta podkanclerskie Fr. Krasińskiego, t. II, s. 201—2.

zawartego rozejmu, zwalczała je zawzięcie, w obronie swej jurysdykcji nad częścią wód bałtyckich.

„Dominium maris Baltici" Zygmunta Augusta jest więc terminem znacznie wybiegającym poza wody terytorialne, nie sięga jednakże w praktyce aż tak daleko, jak to czasami zwykło się pisać. Naszym zdaniem prawda leży pośrodku, pomiędzy dwoma skrajnymi poglądami prof. Konopczyńskiego i Stanisława Bodniaka. Nie zgadzamy się ze zdaniem prof. Konopczyńskiego że „dominium maris" Zygmunta Augusta obejmowało „budowę portów, zakładanie stacji żeglarskich, otwieranie i zamykanie na swoim brzegu żeglugi, pobieranie ceł, zarządzenia wojenne, sądownictwo morskie, połów ryb i prawo kaduka względem rozbitych statków". Dominium to nie polega tylko na gospodarowaniu na własnym brzegu i na okolicznych wodach od Żarnowca do Braniewa oraz na zwierzchnictwie nad lennym brzegiem pruskim i kurlandzkim, oraz brzegiem inflanckim, ale sięga w głąb morza. Dyr. Bodniak wielkości obszaru morskiego polskiego nie określał, stwierdzał tylko, że Bałtyk dzielił Zygmunt August na obszary duński, szwedzki i własny. Rozmiary obszaru polskiego miarkował Bodniak wedle linii wybrzeży, ale zagadnienia nie sprecyzował. Jeśliby ktoś ze słów Bodniaka chciał wyciągać przesadny wniosek, że da się podzielić Bałtyk, na trzy mniej więcej równe części szwedzką, duńską i polską będzie niewątpliwie w błędzie. Część polska w latach 1566—1571 jest znacznie skromniejsza od tamtych dwóch, ale to rzecz pewna, że faktycznie istnieje, że Polska wyszła z brzegów swoich na morze, że nie chodzi tu tylko o program, ale o jego realizację. Od początkowego pojmowania „dominium maris" w tym sensie jak to wyłożył prof. Konopczyński przyszło z biegiem czasu szczególnie od r. 1561, kiedy Polska rozpoczęła aktywną politykę bałtycką, do realnej wykładni władztwa na morzu. Zygmunt August, aż do katastrofy floty polskiej, rozbitej przez Danię, wykonuje faktyczne prawo zwierzchnie nad południowo-wschodnią częścią Bałtyku. Władza ta upada gdy brakło orężnego ramienia do jej wykonywania. Wtedy „dominium maris" stało się znów tylko hasłem programowym, które jednakże, raz rzucone przez Zygmunta Augusta, długo przewija się w dziejach naszej myśli politycznej.

BAKTERIE, ROŚLINY, CZŁOWIEK

I.

Twierdzenie, że człowiek to najwyższy twór na ziemi nie jest uzasadnione.

Naukowa nazwa człowieka brzmi „homo sapiens" — człowiek mądry. — Człowiek uważa siebie za najwyżej stojącą istotę na ziemi, nieomal za pana stworzenia.

Powstaje interesujące pytanie, czy tak jest w istocie, czy tego rodzaju mniemanie jest uzasadnione.

Człowiek dotychczas tak mało zna świat otaczający, świat zwierząt, roślin i bakterii. — I tak mało zna siebie. — „Człowiek — istota nieznana" — mówi Carrel.

Człowiek poznał dość dokładnie zewnętrzne kształty zwierząt, roślin i bakterii. — Już znacznie mniej dokładnie wewnętrzną budowę istot żywych. — Po wynalezieniu mikroskopu człowiek zaczyna wnikać w szczegóły budowy istot żyjących, poznawać ich strukturę komórkową. — Ale to wszystko dotyczy jedynie morfologii, czyli zewnętrznych kształtów. — Co się zaś tyczy funkcjonowania poszczególnych narządów, poszczególnych gatunków żyjących na ziemi, czyli ich fizjologii (co jest znacznie ważniejsze i istotniejsze niż morfologja), to nauka ta jest dopiero zapoczątkowana.

Nie było czasu, ludzi i środków na zbadanie wszystkiego.

Jaskrawym przykładem tej „niewiedzy" człowieka o tym, co dzieje się na ziemi, jest sprawa bakterii. — Człowiek dopiero 80 lat temu dowiedział się w ogóle o istnieniu bakterii, których rola na ziemi jest niezmiernie ważna. — Czyż można twierdzić, że jest się Panem stworzenia, skoro nie wie się w ogóle o jego istnieniu. — A czy ziemia nie kryje jeszcze więcej tego rodzaju tajemnic.

Jednym słowem nie tylko „człowiek jest istotą nieznaną", ale i ziemia i świat istot żyjących na ziemi jest dla człowieka rzeczą nieznaną.

Jeżeli człowiek poznaje częściowo jakieś nowe dziedziny, to równocześnie przekonywa się, ile jeszcze jest do poznania.

— Dotychczas gmach tego, co jest zbadane, rośnie znacznie wolniej, niż gmach z napisem — „to jeszcze jest do zbadania". — Otrzymuje się paradoksalne zjawisko: im człowiek głębiej bada świat otaczający go, tym bardziej przekonywa się, jak mało wie o nim. — Im więcej wie, tym staje się skromniejszym.

Człowiekowi pierwotnemu wydaje się, że wszystko wie. — Poprostu nie wolno mu niczego nie wiedzieć. — A jeżeli czegoś nie wie, nie rozumie, to stwarza sobie bogów, którzy wszystko wiedzą.

Idea Kopernika, że ziemia jest drobnym pyłkiem we wszechświecie, potrzebowała kilka stuleci zanim uzyskała prawo obywatelstwa, pomimo, że była naukowo i logicznie uzasadniona.

Człowiek przestał już uważać ziemię za centrum wszechświata, ale siebie uważa jeszcze za osobę centralną na ziemi.

Pod tym względem bardzo ciekawą jest historia walki człowieka z bakteriami chorobotwórczymi. — Gdy odkryto bakterie chorobotwórcze, poznano szereg środków tzw. dezynfekcyjnych, za pomocą których można zniszczyć bakterie chorobotwórcze. — Wydawało się, że sprawa bakterii chorobotwórczych jest przesądzona. — Wystarczy zadziałać na nie środkami dezynfekcyjnymi, żeby je zabić. — Ale okazało się, że człowiek wprawdzie może zniszczyć niekiedy bakterie chorobotwórcze, np. w wypróżnieniach chorych, na bieliźnie, trudniej już w mieszkaniu. — Ale jak zniszczyć bakterie tyfusu lub czerwonki w rzece zakażonej tymi bakteriami, albo jak zniszczyć bakterie w chorym człowieku, albo jak zniszczyć je w zdrowym nosicielu bakterii chorobotwórczych. — Człowieka spotkał srogi zawód.

Człowiek w znacznej mierze zostawił w spokoju bakterie chorobotwórcze, natomiast zaczął uodparniać czynnie człowieka za pomocą szczepionek zapobiegawczych, — tak żeby człowiek uodporniony zawczasu nie mógł zachorować nawet wówczas, gdy zarazek chorobotwórczy wtargnie do jego ustroju. — Albowiem człowiek stawał się odpornym pod wpływem szczepienia na daną chorobę.

Trzeba przyznać, że na tym polu osiągnięto niejednokrotnie piękne wyniki. — Zniknęła prawie zupełnie ospa po zastosowaniu powszechnych i obowiązkowych szczepień. — Ospa, która dziesiątkowała człowieka. — Podobnie inne choroby, jak tyfus brzuszny, dyfteryt, mogłyby zniknąć, gdyby

przeprowadzano systematycznie szczepienia ochronne przeciwko nim.

Od kilkunastu lat prowadzi się niezmiernie ciekawy eksperyment. — Na wyniki tego eksperymentu czekają z zapartym oddechem rzesze lekarzy i uświadomiona publiczność.—Mam na myśli eksperymenty ze szczepionką przeciwgruźliczą zwaną BCG. — Gruźlica jest najgroźniejszą z chorób zakaźnych, sama jedna zabiera więcej ofiar, niż wszystkie choroby zakaźne razem wzięte, a człowiek dotychczas nie ma na nią żadnego skutecznego sposobu. — Szczepionką BCG uodparnia się osobniki jeszcze nie zakażone gruźlicą (później szczepienie jest bezcelowe). — Dlatego szczepi się niemowlęta zaraz po urodzeniu, zanim zdążą się ewentualnie zakazić. — Ale cóż — na wyniki trzeba będzie jeszcze zaczekać, dopóki niemowlęta szczepione BCG nie dorosną i nie umrą, nie chorując na gruźlicę. — Dotychczasowe wyniki są zachęcające; poza tym szczepionka jest nieszkodliwa — to jest pewne.

Wracając do „znaczenia człowieka na ziemi" trzeba stwierdzić, że jeżeli mniemanie, że człowiek jest najwyższym tworem na ziemi jest nieuzasadnione, ponieważ jego wiadomości o życiu na ziemi są bardzo niedokładne, to z tych samych powodów twierdzenie negatywne, że człowiek nie jest najwyższym tworem na ziemi, na razie musi być otwarte.

II.

Próba zmierzenia wyższości, względnie niższości poszczególnych gatunków na ziemi.

Czy jednak na podstawie najnowszych wiadomości o świecie istot żywych nie możnaby pokusić się o wyciągnięcie pewnych wniosków w tej sprawie już dzisiaj. — Ażeby racjonalnie podejść do tego zagadnienia, trzeba zastanowić się jakie przyjąć kryteria, celem możności „mierzenia" wyższości, względnie niższości istot żyjących na ziemi, a więc człowieka, zwierząt, roślin i bakterii. — Gdzie szukać właściwej miary?

Zastanawiając się nad tą sprawą, przyjąłem jako miarę dwie rzeczy, dwa kryteria:

1. Dysponowanie przez dany gatunek istot żyjących umiejętnościami, ważnymi dla życia na ziemi.
2. Stopień samowystarczalności, czyli brak zależności danego gatunku istot żywych od innych.

Weźmy przykłady z życia bakterii. — Są wśród bakterii gatunki znamienne tym, że posiadają bardzo cenne umiejętności i dla swego rozwoju nie potrzebują nic od innych gatunków żyjących. — Mało tego, inne istoty żyjące mogą z nich korzystać.

Są również gatunki bakterii znamienne tym, że nie posiadają cennych umiejętności i są niesamodzielne.

Niedawno odkryto w grupie bakterii siarkowych gatunek, który z siarkowodoru — H_2S i dwutlenku węgla CO_2 syntetyzuje cukier. Jest to synteza analogiczna do znanej syntezy cukru z wody — H_2O i dwutlenku węgla — CO_2 w obecności energii słonecznej. — W tej syntezie wodę — H_2O — zastępuje siarkowodór — H_2S. — Obok cukru, jako produkt uboczny, powstaje dwutlenek siarki, który wykorzystuje inny gatunek bakterii i zamienia go na siarczan wapna czyli gips. — Złoża gipsu, znajdujące się na ziemi są produktem przemiany materii tych właśnie gatunków bakterii.

Ale nie tylko złoża gipsu są świadkami gospodarki bakterii na ziemi. — W ostatnich czasach geologowie francuscy stwierdzili, przy fotografowaniu kryształów, że fosforany kopalne zawierają dużo bakterii, i wyrazili pogląd, że fosforany te powstać musiały naskutek działalności bakterii.

Trzeba trafu, że od szeregu lat zajmowałem się badaniem kryształów, które powstają w hodowlach bakteryjnych. — Po zbadaniu tych kryształów pod względem mineralogicznym, chemicznym i za pomocą prześwietlenia promieniami Roentgena okazało się, że kryształy są fosforanami amonowo-magnezowymi. — W ten sposób badania geologów i bakteriologów uzupełniły się.

Ale najciekawsze jest to, że z tych kryształów udaje się niekiedy wyhodować bakterie, — podobne do wyjściowych bakterii, ale rzadko zupełnie identyczne. — Prawdopodobnie bakterie dają impuls do powstawania kryształów — są ośrodkiem krystalizacyjnym. — Bakterie siedzą w tych szklanych domach, — w tych pięknych kryształowych pałacach. — Kryształy chronią je przed szkodliwymi wpływami zewnętrznymi, służą im za pożywienie, gdy bakterie, chcąc uwolnić się, rozpuszczają kryształy. — Są to bowiem kryształy fosforanu amonowo-magnezowego, zawierającego liczne wrostki, czyli inkluzje organiczne, a zatem zawierają wszystkie prawie składniki potrzebne do rozwoju bakterii.

Jest bardzo znamienne, że każdy gatunek bakterii daje impuls do powstawania kryształów o odmiennej budowie. —

Owe kryształowe pałace mają odmienny styl, w zależności od gatunku bakterii. — Już oddawna było wiadomym, że jest bardzo wiele postaci morfologicznych kryształów fosforanu amonowo-magnezowego, ale nie wiadomo było, co jest tego przyczyną.

Gdyby więc różne gatunki bakterii były przyczyną tej różnorodności, to byłoby bardzo ciekawe i związałoby bakteriologię z krystalografią.

Dalej stwierdzono, że w węglu kamiennym kopalnym jest mnóstwo bakterii, oczywiście martwych (pokłady te leżą już miliony lat), i nasuwa się myśl, że i pokłady węgla kamiennego powstały nie bez udziału bakterii. — Szczątki roślin zostały rozłożone przez bakterie i najwidoczniej w tych warunkach, w jakich ten proces wówczas odbywał się, powstał węgiel kamienny jako produkt uboczny.

Przed laty, w okolicach Alaski zatonął statek załadowany rybami. — Traf zrządził, że mniej więcej po stu latach wydobyto go. — Zawartość statku przypominała ropę naftową, względnie jej pochodne. Jasnym jest, że przemiana nastąpiła pod wpływem bakterii.

Widzimy więc już na tych przykładach, że bakterie odgrywały i odgrywają niezmiernie doniosłą rolę na ziemi. — Wróćmy jednak do bakterii siarkowych, syntetyzujących cukier z siarkowodoru.

A więc cukier otrzymuje się z siarkowodoru. — Dla wielkich miast, mających w ściekach miejskich dużo siarkowodoru ,tego rodzaju cukrownia byłaby interesująca.

Gdybyśmy teraz chcieli ocenić gatunek bakterii siarkowych, jego wyższość, względnie niższość, to przykładając wyżej wymienione miary, sklasyfikowalibyśmy ten gatunek bakterii jako wybitnie dodatni: posiada cenną umiejętność—syntezę cukru, poza tym jest samowystarczalny. — Dla swego rozwoju nie potrzebuje pomocy innych gatunków bakterii. — Ten gatunek może spokojnie patrzeć w przyszłość. — Dopóki będzie na ziemi siarkowodór i dwutlenek węgla, dopóki będzie świecić słońce, gatunek ten będzie mógł żyć i rozwijać się.

A teraz inny gatunek bakterii: — gonokoki — zgoła odmienny. — Gonokoki są to bakterie chorobotwórcze, powodujące zapalenia cewki moczowej i inne komplikacje u ludzi. — Hodowla tego zarazka poza organizmem ludzkim na pożywkach sztucznych udaje się, ale jest kłopotliwa, ponieważ ten gatunek bakterii nie rozwija się na podłożach sztucznych bez

dodatku krwi, względnie surowicy i to koniecznie ludzkiej. — Co więcej — trzeba stworzyć te warunki cieplarniane, 33—35°, albowiem w temperaturze pokojowej nie tylko nie rozwija się, ale ginie dość szybko. —

Ten gatunek bakterii chciałbym sklasyfikować jako „niższy" ponieważ nie posiada umiejętności ważnych dla życia na ziemi, natomiast korzysta z pracy innych istot żyjących (człowieka).—Prowadzi życie wygodne, ale bardzo niepewne.

Niedawno wynaleziono środki lecznicze (sulfamidy — penicilinę), które są w stanie wyleczyć gonokokowe zapalenie cewki moczowej w ciągu kilku dni, na co dawniej trzeba było tygodni i miesięcy. — A więc gonokokom grozi zagłada. Ten gatunek bakterii byłby więc skazany na wymarcie.

Niestety, sprawa nie jest tak prosta. Z bakteriami tak łatwo nie idzie. — Jak sygnalizują specjaliści, zaczynają się one przyzwyczajać do sulfamidów a ostatnio i do peniciliny. — Co to znaczy przyzwyczajać się. — To znaczy, że zaczynają wytwarzać substancje chemiczne, które zobojętniają sulfamidy i penicilinę. — A zatem należy się spodziewać, że gonokoki po jakimś czasie poradzą sobie z sulfamidami ,poradzą sobie z peniciliną. — I rzeczywiście, obecnie spotyka się coraz więcej szczepów gonokokowych, sulfamidoodpornych, oraz zaczynają pojawiać się szczepy odporne na penicilinę. — Stoimy w obliczu faktu: sulfamidy i penicilina przestają działać. — Jest to stara piosenka w lecznictwie, — że środki lekarskie, świetne zrazu, z czasem przestają działać i muszą iść do lamusa, a inne muszą je zastąpić. — Fakt ten dotychczas nie znajdował wytłumaczenia; staje się on zupełnie prosty i zrozumiały, jeżeli przyjąć zasadę „wyrozumowanego działania" bakterii.
Po prostu bakterie uczą się, jak zobojętnić dany preparat. — Toczy się więc walka pomiędzy „inteligencją" człowieka, a „inteligencją" bakterii. — Sposoby i środki zwalczania bakterii trzeba ciągle zmieniać.

Przypomina to zupełnie walkę człowieka ze szczurami. — Szczury oprócz tego, że przynoszą duże straty ekonomiczne — przenoszą straszną zarazę — dżumę, — a może i tyfus plamisty. — Z tego powodu niszczenie szczurów w portach i na statkach jest rzeczą szczególnie ważną. — Otóż oddawna już wiadomo, że wszelkie środki, stosowane przeciwko szczurom, po jakimś czasie zawodzą, że trzeba uciekać się do innych.— Że właściwie tak zwane „odszczurzanie" to walka inteligencji człowieka z inteligencją szczura.

Jest jeszcze drugi kłopot. — Okazuje się że chorzy wyleczeni sulfamidami względnie peniciliną, stają się nosicielami — to znaczy wydzielają w dalszym ciągu w niewielkiej liczbie gonokoki. — Sami nie chorują, ale mogą zarażać innych.

Jak to się dzieje, w jaki sposób to zjawisko nosicielstwa tak pospolite i przy innych chorobach zakaźnych znajduje wytłumaczenie.

Sprawa jest prosta. — Następuje przystosowanie się zarazków do danego organizmu, albo organizmu do zarazków. — Zarazek przestaje wydzielać substancję szkodliwą dla organizmu — mówimy wówczas, że zarazek traci swoją zjadliwość, — albo też organizm atakowany wyucza się zwalczać, paraliżować trujące toksyny danego zarazka. — Wytwarza się możliwość względnie zgodnego pożycia. — Ale jest jedno „ale" i to bardzo poważne.

Osobnik taki wydzielający zarazki, taki zdrowy nosiciel, może zakażać innych. — Szczególnie jest to przykre przy rzeżączce — (infekcji gonokokówej), — gdzie istnieje możliwość bezpośredniego przeniesienia się zarazka. — Medycyna ma świeży kłopot, bo naprawdę niewiadomo co jest lepsze, czy zaleczenie gonokoków sulfamidami, czy peniciliną, przyczem chory „cudownie" poprostu wyleczony w ciągu kilku dni, staje się nosicielem zarazków chorobotwórczych i może zakażać innych. — Czyż nie lepsze jest dawne leczenie, trwające tygodniami i miesiącami, gdy chorzy, czując się chorymi, wystrzegają się i nie zakażają innych.

Opierając się na kryteriach przyjętych przeze mnie, oceniłbym bakterie z gatunku siarkowych, posiadające:

1° — umiejętność ważną dla życia — syntezę cukru,

2° — samowystarczalne,

jako wyżej stojące od bakterii gonokokowych, nie posiadających umiejętności i zależnych od żywiciela.

III.

Najważniejsze umiejętności dla życia na ziemi.

Jednym z najważniejszych tworów na ziemi są bakterie nitryfikacyjne, posiadające zadziwiające zdolności asymilowania azotu z powietrza i przetwarzania go na związki azotowe, które już rośliny mogą asymilować, czyli przyswajać. — Tego rodzaju bakterie żyją bardzo często w symbiozie (współżyciu) z roślinami. — Najbardziej znane z tego są rośliny motylkowe (łubin, groch, koniczyna, lucerna). — Na ko-

rzeniach tych roślin są charakterystyczne zgrubienia, w których tkwią bakterie nitryfikacyjne, przy czym każdy gatunek współżyje z nieco odmiennym gatunkiem bakterii nitryfikacyjnych. — Zdarza się niekiedy, że gleba w danym miejscu jest uboga w bakterie nitryfikacyjne, i chcąc mieć dobre urodzaje roślin motylkowych, zaszczepia się do ziemi dany gatunek bakterii, wyhodowany sztucznie w laboratorium. — Tego rodzaju szczepienia ziemi odpowiednimi bakteriami są coraz częściej stosowane.

Wiadomo obecnie, że drzewa naszych lasów, np. sosna, brzoza, dąb, współżyją z bakteriami nitryfikacyjnymi. — W korzeniach tych drzew znajdujemy liczne bakterie, a właściwie grzybki, które asymilują azot z powietrza i dostarczają drzewom proste związki azotowe. — Otrzymują wzamian od roślin cukier.

W ten sposób rośliny i grzybki współpracują zgodnie z sobą.

Jest rzeczą ciekawą, że gdy następuje podział komórek roślinnych w korzeniach ,zawierających grzybki, to komórki starają się w taki sposób podzielić się, żeby przynajmniej jedna bakteria była w każdej komórce ,powstałej z podziału komórki macierzystej. — W ten sposób komórki roślinne w korzeniach zaopatrują się w bakterie nitryfikacyjne, w których obecność jest konieczna dla rozwoju drzewa.

Istnieje pewna choroba kartofli, zwana rakiem ziemniaczanym. — Choroba ta powodowana jest przez bakterie, które z zewnątrz wrastają do komórek roślinnych, niszcząc je. — Otóż roślina broni się przed bakteriami w ten sposób, że komórka, dzieląc się na dwie komórki, pozostawia umyślnie wszystkie bakterie w jednej komórce, ażeby druga była zupełnie wolna od bakterii. — Roślina poświęca jedną komórkę w nadziei, że druga będzie wolna od bakterii chorobotwórczych i będzie się mogła dalej normalnie rozwijać. — Niestety, bakterie raka ziemniaczanego są także nie w ciemię bite, i wrastają z zewnątrz do zdrowych komórek. — Odbywa się więc wyścig między komórkami a bakteriami, kto ten wyścig wygrywa ,ten zwycięża.

Musimy podziwiać nadzwyczaj inteligentne i zgoła odmienne zachowanie się komórek roślinnych wobec bakterii: w wypadku bakterii nitryfikacyjnych (dla roślin pożytecznych) komórki dzielą się tak, ażeby bakterie były w każdej komórce. — W wypadku bakterii powodujących raka, ko-

mórki dzielą się tak, żeby jedna komórka była wolna od bakterii i mogła dalej normalnie rozwijać się.

Wróćmy jednak do asymilowania azotu. — Umiejętność asymilowania azotu atmosferycznego i przetwarzania go w związki azotowe przez bakterie nitryfikacyjne jest niezmiernie ważna, ponieważ ani rośliny ani zwierzęta nie mogą asymilować azotu z powietrza i przetwarzać go na proste związki azotowe, z których już drogą syntezy żywe istoty na ziemi wytwarzają najważniejszy składnik istot żywych — ciała białkowe. — Umiejętność asymilowania azotu z atmosfery jest może najważniejszą umiejętnością jaką rozporządzają istoty żywe na ziemi; gdyby bakterie nitryfikacyjne przestały pracować, rośliny i zwierzęta wyginęłyby niebawem.

A zatem bakterie nitryfikacyjne posiadają niezmiernie ważną umiejętność dla życia na ziemi i wskutek tego gatunek ten musimy odpowiednio honorować.

Trzeba zaznaczyć, że człowiek w ostatnich czasach nauczył się przetwarzać azot z atmosfery na proste związki azotowe.

Istnieje kilka metod otrzymywania związków azotowych z azotu atmosferycznego. — Obecnie najczęściej używaną jest metoda Habera i Boscha. — Jeżeli azot z wodorem ogrzać do 500° przy 200 atmosferach ciśnienia, to powstaje amoniak według wzoru:

$$\frac{1}{2} N_2 + \frac{3}{2} H_2 = NH_3 + 11{,}05 \text{ cal.}$$

Przy wytwarzaniu amoniaku powstaje dużo ciepła. Z amoniaku otrzymuje się już łatwo inne związki azotowe.

Musimy zaznaczyć, że w czasie wyładowań elektrycznych podczas burzy (błyskawice i grzmoty) powstaje w atmosferze pewna ilość prostych związków azotowych, które z deszczem dostają się na ziemię i mogą być przez rośliny wykorzystywane. — Jest to dodatnia strona wyładowań elektrycznych.

Co się tyczy związków azotowych, otrzymywanych z azotu atmosferycznego przez człowieka, to człowiek sam nie może ich wykorzystać. Odżywiać się nimi nie może, ale może je dać do spożycia roślinom w postaci nawozów sztucznych i w ten sposób pośrednio wykorzystać dla siebie. — Jest jednak nadzieja, że człowiek z czasem potrafi z prostych związków azotowych z powietrza otrzymać syntetycznie aminokwasy, którymi już będzie mógł odżywiać się. A więc nie jest wykluczone, że człowiek żyć będzie po prostu z powietrza, podobnie jak bakterie.

Otrzymanie prostych związków azotowych z powietrza jest odkryciem o niezmiernie wielkiej doniosłości. — Odkrycie te, moim zdaniem dołychczas niedoceniane, jest może największym wynalazkiem, jakiego człowiek w ogóle dokonał w czasie swego istnienia na ziemi. — Zdobywa on jedną z najważniejszych umiejętności dla życia na ziemi. — Jeżeli w dalszym ciągu udoskonali i wykorzysta tę umiejętność, to może zrobić znaczny krok naprzód do zdobycia samodzielności na ziemi.

Drugą umiejętnością ważną dla życia jest rozkład martwych ciał białkowych na prostsze związki azotowe, czyli denitryfikacja. — A więc przeciwieństwo do syntezy związków azotowych, czyli nitryfikacji. — Rośliny i zwierzęta są śmiertelne. To znaczy, że po jakimś czasie obumierają. — Pozostają ich zwłoki. — Gdyby zwłoki nie ulegały rozkładowi, po pewnym czasie cały świat byłby nimi pokryty, nie byłoby miejsca na żywe twory.

Ciała zwierząt i roślin biorą pod swoją opiekę bakterie i grzyby z grupy denitryfikacyjnych i rozkładają je na proste związki azotowe. — Jest to po prostu gnicie. — Gnój czyli obornik jest także produktem działalności bakterii denitryfikacyjnych.

Przy tym bakterie nie tylko usuwają martwe ciała zwierząt i roślin, ale powodują powstanie prostych związków azotowych, które mogą przyswajać sobie czyli asymilować żyjące rośliny i częściowo zwierzęta. — W ten sposób w przyrodzie nic nie ginie — związki azotowe wracają z powrotem do obiegu życia na ziemi.

Trzecią umiejętnością, ważną dla życia na ziemi jest synteza cukru. — Synteza cukru jest domeną roślin zielonych zawierających chlorofil. — Z dwutlenku węgla CO_2 i wody H_2O w obecności promieni słonecznych powstaje cukier (glukoza) i tlen.

Ciekawe, że chlorofil, barwnik zielony roślin, ma tę samą budowę chemiczną co hemoglobina, barwnik czerwony krwi zwierząt i ludzi. — Różnica polega na tym, że drobina chlorofilu zawiera magnez jako metal, a hemoglobina — żelazo. — Poza tym są to prawie identyczne związki chemiczne.

Na tym przykładzie widzimy, jak bliskie jest pokrewieństwo ze sobą. — Pomimo wielkich różnic zewnętrznych świat wszystkich istot żyjących zbudowany jest wg jednych zasad w swych najbardziej podstawowych czynnościach.

Jako przykład z tej dziedziny pragnę przytoczyć moje ba-

dania doświadczalne nad bakteriami. — Badania dotyczyły sprawy odczynu, a więc stopnia kwaśności, względnie zasadowości i środowiska w którym żyją bakterie. — (Stopień kwaśności oznacza się symbolem ph). Sprawa reakcji środowiska a więc jego ph, w którym żyją wszelkie żywe istoty, jest bardzo ważna, ponieważ od reakcji środowiska, od jego ph, zależy działanie wszystkich fermentów. — Jeżeli zmienia się ph środowiska, w którym żyją istoty żywe, to fermenty, te najważniejsze motory życia, przestają działać, a to prowadzi szybko i nieuchronnie do śmierci.

Dlatego ustroje żywe starają się wszelkimi sposobami utrzymać stopień kwaśności (ph) swoich soków i płynów ustrojowych na stałym poziomie. — Ph ich tkanek jest wielkością niezmienną dopóki życia starczy.

Moje badania wykazały, że bakterie również muszą mieć stały stopień kwaśności, swoje ph, i że umieją je regulować. — Ale najważniejsze — sposób tej regulacji jest taki sam u bakterii, co u większości istot żywych, co u zwierząt i u człowieka. — Regulacja ta odbywa się za pomocą zatrzymywania, względnie wydalania CO_2 — dwutlenku węgla.

Jeżeli organizmom grozi zakwaszenie—wydziela się dwutlenek węgla. — Jeżeli grozi alkalizacja — to CO_2 jest zatrzymywane.

Regulacja ph, czyli stopnia kwaśności odbywa się na zasadzie prawa fizyko-chemicznego, jest automatyczna i niezawodna. — Polega mianowicie na tym, że CO_2 — dwutlenek węgla jest mało rozpuszczalny w płynach kwaśnych, natomiast rozpuszcza się w płynach zasadowych. Więc przy zakwaszeniu tkanek wydziela się natychmiast automatycznie pewna ilość CO_2 zawartego w płynach ustrojowych — stopień kwaśności się zmniejsza. — Oczywiście CO_2 wydziela się dopóki go starczy, gdy zabraknie, następuje naruszenie stopnia kwaśności i szybka śmierć. — Odwrotnie rzecz się ma przy alkalizacji środowiska, CO_2 jest automatycznie zatrzymywany — środowisko automatycznie ulega zakwaszeniu.

Jest to po prostu cudowne urządzenie, zadziwiające w swojej prostocie. — Wszystkie istoty żyjące, od bakterii aż do zwierząt i człowieka, posługują się tym urządzeniem.

Dwutlenku węgla CO_2 organizmy żyjące mają pod dostatkiem, jest to bowiem produkt przemiany materii żyjących, a więc produkują go same.

Jeżeli regulacja kwaśności soków ustrojowych czyli ich ph jest automatyczna (opiera się bowiem na ścisłym prawie

fizyko-chemicznym) to nasuwa się pytanie, jaka jest rola istot żyjących. Otóż ich tkanki w większości wypadków mają stopień kwaśności (mają swe ph) leżące w pobliżu punktu obojętnego, a w tym właśnie ph — CO_2 dwutlenek węgla — najsprawniej działa jako regulator. Gdyby odczyny soków tkankowych były kwaśne, to CO_2 nie mógłby być regulatorem kwaśności. — Czyli, że kwaśność soków tkankowych ustrojów żywych przystosowana jest do tego, by CO_2 najsprawniej regulowało ich ph. — W ten sposób mamy równocześnie „fizjologiczne" wytłumaczenie i uzasadnienie punktu obojętnego. Jest to zatem punkt, przy którym CO_2 spełnia najsprawniej swoją rolę regulatora ph soków tkankowych.

Drugą rzeczą, drugą zasługą istot żyjących jest to, że mają zawsze do dyspozycji na wszelki wypadek w tkankach pewną ilość dwutlenku węgla gdy zajdzie potrzeba regulacji. — Jest to tak zwana „rezerwa alkaliczna" krwi i innych soków tkankowych, którą można zmierzyć i ewentualnie stwierdzić, czy ta rezerwa nie wyczerpuje się.

A zatem człowiek, ze wszystkimi żyjącymi na ziemi istotami, stanowi jedną wielką rodzinę, zbudowaną według jednakowych zasad w swych najbardziej podstawowych przejawach.

Wracając do syntezy cukru trzeba zaznaczyć, że oprócz roślin zielonych mogą dokonywać syntezy cukru pewne gatunki bakterii. Przy tym bakterie mogą dokonywać tej syntezy w bardzo różnorodny sposób. — Przede wszystkim w ten sam sposób co rośliny — bakterie tego rodzaju mają chlorofil względnie inny barwik, posiadający podobne własności.

Wspomnieliśmy już o bakteriach z grupy siarkowej, które z siarkowodoru i dwutlenku węgla syntetyzują cukier przy pomocy energii słonecznej.

Umiejętność otrzymania cukru jest bodajże drugą co do ważności umiejętnością dla życia na ziemi. — Rośliny z cukru otrzymują wielocukry — błonnik (celulozę), który jest głównym budulcem u roślin. — Następnie z cukru rośliny wytwarzają skrobię, która stanowi rezerwę odżywczą dla roślin i dla zwierząt (zboża, ziemniaki itp.).

Węglowodany są głównym paliwem (obok tłuszczów) dla przemiany materii u wszystkich istot żyjących.

Umiejętność syntezy cukru posiadają bakterie (kilka różnych sposobów) oraz rośliny zielone. — Zwierzęta umiejętności tej nie posiadają, muszą korzystać z roślin i bakterii. — Człowiek wprawdzie potrafi zrobić w laboratorium nieco

cukru (synteza prostych cukrów jest znana, natomiast synteza cukru trzcinowego jeszcze nie jest zrobiona), ale jest to metoda bardzo nieekonomiczna. Gdyby człowiek zmuszony był żyć z tego cukru, bardzo szybko umarłby z głodu. — Na razie człowiek wyciska cukier z roślin (buraki i trzcina cukrowa).

Jest jeszcze jedna umiejętność ważna dla życia na ziemi — jest nią trawienie celulozy czyli błonnika. — Błonnik jest to pochodna cukru ,należy do tzw. wielocukrów. — Rośliny zbudowane są w znacznej mierze z błonnika (obok drzewnika czyli ligniny) i to zarówno liście, pędy, jak i pień. — Błonnik, którego w przyrodzie jest pod dostatkiem, stanowi główne źródło pożywienia dla wielu gatunków zwierząt, otrzymujących zeń cukry. — Jednakże zwierzęta nie posiadają fermentów trawiennych rozkładających błonnik (za wyjątkiem niektórych gatunków ślimaków). — Natomiast fermenty te wytwarzają bakterie. — Zwierzęta współżyją z bakteriami, ułatwiającymi im trawienie celulozy. — Tego rodzaju współżycie może być dwojakiego rodzaju. — Jedne zwierzęta mają bakterie rozkładające celulozę w swym przewodzie pokarmowym, drugie, jak mrówki, zasiewają części roślin, np. liście, odpowiednimi bakteriami, względnie grzybkami. — W odpowiednich warunkach następuje fermentacja czyli rozkład celulozy na związki, które mrówki mogą już strawić.

W tym celu mrówki zbierają liście i zasiewają je odpowiednim gatunkiem grzybka. — Ten gatunek grzybka, fermentujący celulozę, znajduje się wyłącznie w mrowiskach. — Poza mrowiskami niema go. — Mrówki skrzętnie go przechowują. — Gdy królowa mrówek szykuje się do lotu godowego, i do założenia nowego mrowiska, to bierze ze sobą przezornie cząstkę grzybka, jako zaszczepkę w przyszłym, nowym mrowisku.

Co do pierwszego sposobu trawienia celulozy wewnątrz przewodu pokarmowego, to przeżuwacze, np. krowy, mają pierwszy dodatkowy żołądek, gdzie jak w termostacie odbywa się fermentacja celulozy przez odpowiednie gatunki bakterii.

U koni proces fermentacji celulozy odbywa się w ślepej kiszce (w wyrostku robaczkowym), który dochodzi u koni do wielkich rozmiarów. — U krów pokarm zalega do 3—4 dni. — Tyle czasu trzeba na strawienie celulozy.

Najlepsze urządzenia, mające na celu trawienie celulozy, mają termity, białe mrówki krajów południowych. — W ich przewodzie pokarmowym mamy czystą hodowlę kilku gatun-

ków bakterii i pierwotniaków, które wzajemnie uzupełniając, fermentują dla termitów celulozę.

U ludzi w przewodzie pokarmowym nie mamy trawienia celulozy, pomimo, że jest tam bardzo dużo różnych gatunków bakterii. Dotychczas nie wiadomo właściwie, jakie znaczenie mają te masy bakterii w przewodzie pokarmowym. — Niedawno zostało stwierdzone, że bakterie, będące w przewodzie pokarmowym u ludzi produkują witaminę K, witaminę przeciwkrwotoczną. — Brak witaminy K sprawia, że powstają krwawienia wewnętrzne, groźne dla życia. — Ze zjawiskiem tym spotykamy się u noworodków.—Zaraz po urodzeniu niema oczywiście w przewodzie pokarmowym żadnych bakterii, powoduje to brak witaminy K, wskutek tego u niemowląt często powstają krwawienia wewnętrzne. — Podanie witaminy K usuwa natychmiast niedomaganie.

Człowiek nie umie wyzyskać celulozy jako pożywienia dla siebie. — Jest to wielki minus, ponieważ celulozy w przyrodzie jest pod dostatkiem. — (Trawa, liście, pędy drzew, słoma). — Człowiek umie wykorzystać jako źródło cukrów (węglowodanów) jedynie skrobię, zawartą w ziarnie zbóż, w ziemniakach itp., której jest w ogóle mało w przyrodzie. Ażeby uzyskać skrobię w dostatecznej ilości dla swego wyżywienia, człowiek musi hodować specjalne gatunki zbóż, ziemniaki itp. Człowiek miałby o wiele łatwiejsze życie na ziemi ,gdyby nauczył się wykorzystywać celulozę bezpośrednio dla siebie.

Następnie chcę wymienić jeszcze jedną umiejętność, cenną dla życia na ziemi — produkcję tlenu.

Stosunkowo niedawno zrobiono odkrycie ,że tlen znajdujący się w powietrzu jest pochodzenia roślinnego, że po prostu wytworzony został przez rośliny ,oraz częściowo również przez bakterie. Wspominałem już przy syntezie cukru przez zielone rośliny, że z dwutlenku węgla, będącego w atmosferze i wody przy pomocy energii słonecznej powstaje cukier i tlen O_2. — Tlen gromadził się przez miliony lat, powstał jego duży zapas w atmosferze. — Oprócz roślin pewne gatunki bakterii wytwarzają tlen przy swych procesach życiowych. — Zwierzęta, człowiek oraz wyższe rośliny nie mogą istnieć bez tlenu atmosferycznego, natomiast wiele gatunków bakterii może rozwijać się bez tlenu. — Tego rodzaju bakterie zwiemy beztlenowcami. — Bakterie te potrzebują również nieco tlenu dla swego rozwoju. — Różnica polega na tym, że bakterie

beztlenowe czerpią tlen nie z atmosfery ,lecz z rozkładu połączeń organicznych.

Wiele gatunków bakterii, powodujących rozkład żywej materii organicznej należy do beztlenowców. — Nic dziwnego, bo wewnątrz ciał zwierzęcych, albo też wewnątrz pni drzewnych tlenu atmosferycznego nie ma, jasnym jest, że tu mogą działać tylko beztlenowce.

Wobec tego, że tlen powstał jako wytwór świata roślinnego i bakteryjnego, musimy przyjąć, że w zamierzchłych czasach, w bardzo dawnych epokach geologicznych nie było tlenu w atmosferze ziemskiej. A zatem możliwe było jedynie i wyłącznie życie beztlenowe. — Zwierzęta i wyższe rośliny (z małymi wyjątkami) nie mogły istnieć, natomiast bakterie beztlenowe mogły świetnie prosperować. — Z tego wynika, że bakterie beztlenowe są bardzo starym tworem, żyjącym na ziemi.

IV.

Nieśmiertelność bakterii.

Jest jeszcze jedna umiejętność może nie tak ważna dla zycia ,co wymienione dotychczas ,ale interesująca.

Bakterie i proste zwierzęta jednokomórkowe, tak zwane „niższe" stworzenia na ziemi, mogą rozmnażać się albo przez „prosty" podział komórki macierzystej na dwie, albo też podział poprzedza koniugacja czyli zespolenie się dwóch komórek: męskiej i żeńskiej. — Po zespoleniu dopiero następuje podział na komórki potomne. — Czyli że w przyrodzie znane są dwa zasadnicze sposoby rozmnażania się: tak zwany „zwykły" podział i rozmnażanie się drogą koniugacji. — Bakterie oraz niższe rośliny i zwierzęta jednokomórkowe mogą rozmnażać się jednym i drugim sposobem.

W ostatniach czasach stwierdzono, że przy zwykłym podziale bakterii i prostych roślin i zwierząt, cechy nabyte za życia oraz cechy indywidualne nie giną.

Tego rodzaju badania wykonano między innymi na wiciowcach tworach jednokomórkowych, obdarzonych witkami, za pomocą których poruszają się. — Wiciowce te przyzwyczajano stopniowo do coraz to większych dawek arszeniku. — Po pewnym czasie otrzymano szczep, którego osobniki znosiły pięciokrotnie wyższą dawkę arszeniku niż osobniki wyjściowe. — Następnie badano ,czy osobniki potomne zachowują zwiększoną odporność na arszenik, czy nie. — Wiciowce mogą mnożyć się przez zwykły podział oraz drogą koniugacji.

Stwierdzono ponad wszelką wątpliwość fakt niezmiernej wagi — że przy zwykłym podziale wiciowce zachowują swą odporność na arszenik. — Stwierdzono, że jeszcze 500 pokolenie wiciowców, przyzwyczajonych do arszeniku, było bardziej odporne na arszenik, niż wiciowce zwykłe, nieprzyzwyczajone.

Ale jeden warunek musi być zachowany, a mianowicie ten, żeby rozmnażanie się wiciowców szło cały czas wyłącznie drogą podziału zwykłego, bez koniugacji. — Albowiem rozmnażanie się drogą koniugacji niszczy odporność na arszenik już w pierwszej generacji. — Czyli ,że przy zwykłym podziale cechy nabyte i indywidualne nie giną, natomiast przy rozmnażaniu się za pomocą koniugacji — giną bez śladu. — A więc przy zwykłym podziale własności indywidualne i nabyte za życia zostają zachowane, czyli właściwie dane indywiduum, dany osobnik żyje nadal, ulega jedynie odmłodzeniu. — Stąd wynika logiczny wniosek, że istoty żyjące mogące rozmnażać się drogą zwykłego podziału, nie giną śmiercią naturalną (ze starości), a więc mogą żyć wiecznie, czyli że w zasadzie są nieśmiertelne.

Oczywiście ginie ich wiele śmiercią przypadkową.

Do istot żywych, rozmnażających się przez zwykły podział, należą tak zwane niższe stworzenia na ziemi: przede wszystkim bakterie, wirusy, proste grzybki, proste rośliny i zwierzęta (pierwotniaki i wiciowce).

A zatem bakterie, dzielące się przez zwykły podział nie umierają śmiercią naturalną, czyli, że mogą żyć wiecznie. — Marzenie człowieka, żeby żyć wiecznie i odmładzać się co jakiś czas — jest zrealizowane u bakterii.

To, że bakterie mogą żyć wiecznie jest bardzo ważne, ponieważ jednostka, żyjąc długo, może osiągnąć wyższy stopień doskonałości, może się wyspecjalizować. — Nie zadziwi już nas fakt, że bakterie posiadają duże zdolności do przystosowywania się do zmienionych warunków, że posiadają łatwość wytwarzania ras, odpornych na różne czynniki szkodliwe, że są cudownymi chemikami: potrafią rozłożyć prawie każdy chemiczny związek organiczny z korzyścią dla siebie w sposób, który dla człowieka dotychczas jest zupełną tajemnicą. — Na ogół uważa się, że twory jednokomórkowe, wiciowce, pierwotniaki, grzybki, baterie i wirusy są znamienne tym, że mają prostą budowę. — Czy to nie są pozory które nas mylą.

Weźmy dla przykładu wiciowca — pantofelka. — Będąc tworem jednokomórkowym, pantofelek posiada otwór gębo-

wy, otoczony witkami, którymi zapędza pożywienie dla siebie (przeważnie bakterie), następnie pożywienie to trawi, przyczem podobnie jak u człowieka trawienie to odbywa się najpierw w reakcji kwaśnej, przez fermenty w rodzaju pepsyny, później w reakcji zasadowej, przez fermenty podobne do trypsyny, a więc pantofelek musi posiadać aparat trawienny. — Produkt trawienia przerabia na swe potrzeby codzienne i na budowę swego ciała — a więc ma aparat asymilacyjny. — Resztki pokarmowe niestrawione — wydziela, a więc aparat wydzielniczy. — Posiada szereg rzęsek, za pomocą których porusza się. — Rzęski muszą mieć coś w rodzaju mięśni, które je poruszają, i coś w rodzaju systemu nerwowego, który kieruje ruchami poszczególnych rzesek i całością — a więc aparat ruchowy i nerwowy. — Wiciowiec jest wrażliwy na światło, czyli, że musi mieć coś w rodzaju zmysłu wzroku, wrażliwy jest na różnego rodzaju bodźce chemiczne, np. tlen, dwutlenek węgla itp. — Umie przemyślnie wyszukiwać sobie pokarm, posiada aparat rozrodczy i to dwojaki, albowiem może rozmnażać się przez zwykły podział i przez zespolenie się dwóch osobników czyli koniugację. — Reasumując, wiciowiec, twór jednokomórkowy, posiada prawie wszystkie zasadnicze funkcje życiowe, co wyższe zwierzęta i człowiek. — A jeżeli te wszystkie funkcje mieszczą się w jednej komórce, to nie popełnimy błędu logicznego, jeżeli powiemy, że budowa tej jednej komórki, pełniącej tyle różnorodnych funkcjí nie może być prosta, ale musi być niezmiernie skomplikowana. — U zwierząt wyższych role te wypełniają tysiące komórek wyspecjalizowanych i zgromadzonych w specjalne tkanki.

To samo, cośmy mówili o wiciowcach jeszcze w większej mierze dotyczy bakterii, które są mniej więcej sto razy mniejsze niż wiciowce, — a które posiadają również te same zasadnicze funkcje. — O ile u wiciowców możemy wyróżnić pewne szczegóły morfologiczne, to w komórce bakteryjnej już nic, poza nieokreślonymi ziarenkami. — A cóż dopiero powiedzieć można o wirusach, które są znowu mniej wiecej 10 do 100 razy mniejsze od bakterii, którvch człowiek w ogóle nie widzi nawet przez mikroskop, a wirusy także wykonywują szereg czynności życiowych: pobieraią pokarm, wydzielają resztki niepotrzebne, romnażają się itd.

A zatem budowa istot żyjących jednokomórkowych, bakterii i wirusów musi być niezmiernie skomplikowana. — Człowiek na razie nie ma możności poznania tej skomplikowanej

budowy. — To, że człowiek nie może wyróżnić w bakteriach żadnych szczegółów, żadnej struktury, nie może być dowodem, że ich nie ma. — Człowiek po prostu tego nie potrafi, tak, jak 80 lat temu nie wiedział w ogóle o istnieniu bakterii. — Może wynaleziony przed wojną mikroskop elektronowy pozwoli wniknąć w budowę bakterii i wirusów. — Mikroskop elektronowy powiększa do 100.000 razy, zwykły, obecnie używany —do 2.000 razy.

To, że bakterie mają bardzo małe rozmiary, to nie szkodzi, to daje im poważne fory życiowe. — Jeżeli zginie jeden osobnik, czy kilka lub kilkaset, to wobec milionów niema żadnego znaczenia. — Kiedy są miliony osobników, łatwiej jest o wybitną indywidualność, o geniusza. Stwierdzono np. dla pewnego szczepu bakterii, że zdolności rozkładania cukru mlekowego posiada jedna bakteria na 10.000. — Jeżeli zatem pożywkę, zawierającą cukier mleczny zasiać małą ilością bakterii, np. 100 bakterii, to wśród nich nie znajdzie się prawdopodobnie ani jedna, która posiada zdolności rozkładania cukru mlecznego. — I taka hodowla nie rozwinie się. — Ale jeżeli posiejemy np. 1.000.000 bakterii, to wśród nich znajdzie się właściwy typ bakterii, rozkładający cukier mleczny. —Typ tén rozmnoży się — hodowla rozwinie się.

A zatem drobne rozmiary bakterii są raczej korzystne. — Nie wielkość rozstrzyga, ale jakość. — Olbrzymie zwierzęta — potwory które swego czasu żyły na ziemi (ichtiozaurus itp.) wyginęły już dawno, a bakterie jak żyły, tak żyją.

Następnie bakterie posiadą zdolność wytwarzania postaci odpornych, zwanych zarodnikami (komórka wówczas otacza się grubą błoną). — Zarodniki są bardziej wytrzymałe na szkodliwe czynniki zewnętrzne niż zwykłe postacie bakterii, niż tak zwane postacie wegetatywne. — Są zarodniki, które nie giną nawet po trzygodzinnym gotowaniu, zarodniki wąglika, powodujące u bydła i ludzi śmiertelne schorzenia (tak zwany karbunkuł) mogą w ziemi leżeć dwadzieścia kilka lat i są zdolne do rozwoju.

Bakterie w ogóle są bardzo wytrzymałe na niskie temperatury. — Temperaturę ciekłego powietrza minus 180^0 znoszą dobrze. — Wirusy np. najlepiej konserwują się w temperaturze —80^0. — Są bakterie, ktore rozwijają się w temperaturach dość wysokich przy 60^0 do 70^0, są to tak zwane bakterie termofilowe. — Są bakterie, które rozwijają się przede wszystkim w temperaturach niskich — będą to bakterie lubiące zimno — psychrofilowe.

Nic dziwnego, że bakterie przeżyły już niejedno zlodowacenie na ziemi i nie jeden okres nadmiernego gorąca.

Nie będzie nas dziwić, że bakterie były prawdopodobnie pierwszym rodzajem żyjącym, który pojawił się na ziemi, który przetrwał do naszych czasów i który ma największe szanse na jak najdłuższy żywot na ziemi.

W miarę tego jak poznajemy bakterię, wyrasta przed nami potęga, — przed którą musimy pochylić czoła.

Jest bardzo zastanawiające, że bakterie na ogół są bardzo wytrzymałe na niskie temperatury — na ziemi w ogóle niespotykane. — Natomiast są stosunkowo mało wytrzymałe na wyższe temperatury. — Większość bakterii ginie już przy 60 do 70° — najbardziej wytrzymałe giną przy 115—120°. — Bakterie są prawdopodobnie najstarszym tworem, żyjącym na ziemi. — Przeszłość ziemi była raczej gorąca, tymczasem bakterie są niewytrzymałe na gorąco. Coś tutaj nie zgadza się. — Ta niezgodność zasługuje na podkreślenie. — Bakterie dzięki swej wytrzymałości na zimno mogły przewędrować na ziemię przez przestrzenie międzyplanetarne. — Może nie tyle bakterie, które są stosunkowo ciężkie i niewytrzymałe na promienie ultra-fioletowe, ile wirusy, znacznie mniejsze od bakterii. — Ale dotychczas poznane wirusy potrzebują dla swego rozwoju żywych komórek, więc nie mogłyby się rozwinąć na ziemi.

Największe możliwości wędrówek przez przestrzenie międzyplanetarne miałyby tak zwane przesączalne postacie bakterii, bardzo drobne, których istnienie jednak do niedawna nie było jeszcze z całą pewnością dowiedzione.

W najnowszych czasach odkryto szereg ciemnych towarzyszy gwiazd, będących analogią do planet systemu słonecznego. — Z tych ciemnych gwiazd życie mogłoby przewędrować na ziemię. — A może przewędrowuje i obecnie.

Przytoczyliśmy może najważniejsze umiejętności, — najbardziej cenne dla życia na ziemi. — Widzimy, że pierwsze skrzypce w posiadaniu umiejętności ważnych dla życia mają bakterie. — Wytwarzają związki azotowe z azotu atmosferycznego, — drogą syntezy i wytwarzają związki azotowe z martwych ciał roślin i zwierząt drogą rozkładu — analizy. Wytwarzają cukry drogą syntezy i drogą rozkładu (z celulozy) wytwarzają tlen.

Drugie skrzypce w tym koncercie światowym trzymają rośliny. — Wytwarzają cukier i tlen. — Zwierzęta i człowiek w ogóle nie biorą udziału w tej orkiestrze.

Jeżeli zatem chodzi o umiejętności ważne dla życia, to bakterie stanowią klasę dla siebie, — drugie miejsce zajmują daleko w tyle rośliny, a zwierzęta i człowiek w ogóle są bez miejsca.

V.

Samowystarczalność.

Oprócz umiejętności cennych dla życia na ziemi, jako drugie kryterium dla oceny wyższości czy niższości gatunków na ziemi, chciałbym przyjąć mniejszą lub większą samowystarczalność danego gatunku.

Muszę od razu zaznaczyć, że gatunków zupełnie samowystarczalnych, to jest nie potrzebujących pomocy innych gatunków, jest bardzo mało na ziemi. — Gatunki te należą wyłącznie do bakterii. — Gatunków bakterii, zupełnie samowystarczalnych w stu procentach (zwanych autotrophami) jest cały szereg. — Wspominaliśmy już o bakteriach z grupy siarkowych, które syntetyzują cukier z siarkowodoru przy pomocy energii słonecznej. — Z grupy bakterii siarkowych są jeszcze inne gatunki samowystarczalne. — Jest cała grupa bakterii, tak zwanych żelazistych, które utleniając związki żelazawe na żelazowe, czerpią energię konieczną dla życia. — Są bakterie samowystarczalne (autotrophy), które żyją z tlenku węgla CO, utleniając go na dwutlenek węgla CO_2 — są to tak zwane bakterie tlenko-węglowe, są bakterie — autotrophy, które czerpią energię, spalając wodór na wodę (bakterie wodorowe). — A zatem bakterie samowystarczalne nie potrzebują dla swego rozwoju innych istot żyjących. — A więc mogły istnieć wówczas, gdy jeszcze nie było życia na ziemi. — Były one najprawdopodobniej pierwszymi tworami żyjącymi na ziemi, np. bakterie utleniające wodór, albo żelazo, albo siarkę.

Jeżeli od tej zamierzchłej pory rozmnażały się te bakterie wyłącznie drogą podziału „zwykłego", to zachowały swe własności indywidualne i nabyte za życia. — A więc mogą być wsród nich jednostki żyjące wiecznie, żyjące od tych zamierzchłych czasów ciągłym, nieprzerwanym życiem aż do naszych czasów. — Wiek ich byłby dość sędziwy — wynosiłby około 1 miliarda lat. — Gdybyśmy się tak mogli porozumieć z tymi sędziwymi osobnikami — naocznymi świadkami dziejów ziemi.

Wniosek nawet dla mnie dość nieoczekiwany, ale jest logiczny, a zatem bardzo prawdopodobny. — Oczywiście,

z tym zastrzeżeniem, że rozmnażanie się tych bakterii szło cały czas drogą podziału zwykłego, albowiem rozmnażanie się drogą koniugacji, drogą skrzyżowania, niszczy prawie zawsze cechy nabyte na życia. — Dalej z tym zastrzeżeniem, że tego rodzaju „zwykły" podział możliwy jest bez końca i nie prowadzi do degeneracji. — W każdym razie z tych rozważań wynikałoby, że tego rodzaju możliwość nie jest niemożliwa.

Bakterie w ogóle, (i to nie tylko autotrophy samowystarczalne) są świetnymi chemikami. — Wspomniałem już, że bakterie potrafią rozłożyć prawie każdy związek organiczny, przy tym z korzyścią dla siebie.

Człowiek na razie marzyć o tem nie może, — żeby móc im dorównać. — Od bakterii powinniśmy się uczyć chemii. — Właściwie mimowoli już obecnie robimy to.

Gdy chemik chce odkryć nowy związek organiczny, to sam się nie trudzi, ale bierze znany już związek i puszcza na niego odpowiednie bakterie. — (Najczęściej używany w tym celu jest grzybek aspergillus niger). — Grzybek po jakimś czasie rozkłada dany związek organiczny na inne. — Chemik bada jedynie, czy wśród otrzymanych związków chemicznych niema czegoś nowego. — Wówczas pisze rozprawę naukową i za nowe odkrycie naukowe otrzymuje doktorat. — Ale naprawdę — to doktorat należy się aspergillusowi.

Wspomniałem już, że bakterie mogą rozłożyć prawie każdy związek organiczny. — Człowiek tego nie potrafi, co więcej, nie wie jak one to robią. — Mówi się, że bakterie wytwarzają odpowiednie e n z y m y, ale ponieważ dotychczas nie wiemy co to są enzymy, więc to jest tłumaczenie jednego niewiadomego, drugim niewiadomym.

Otóż w ostatnich czasach Stephenson (Nature 1946) stwierdziła, że jeżeli bakterie trafią na jakiś substrat organiczny, którego nie potrafią rozłożyć, nie mając odpowiednich enzymów, to po jakimś czasie w y t w a r z a j ą odpowiednie enzymy, które są w stanie rozłożyć dany substrat. — Wytwarzanie nowych enzymów, potrzebnych w danym razie, to jest sztuka wyższego rzędu, — ani rośliny ani zwierzęta tego nie potrafią.

Po prostu ogarnia człowieka zdumienie, jakie „mózgi", jakie wspaniałe laboratoria, jaką umiejętność eksperymentowania mają te drobne istoty.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jedną z bardzo ważnych umiejętności jest korzystanie z pracy innych gatunków, żyjących na ziemi. — Umiejętność ta jednak jest bardzo

rozpowszechniona w przyrodzie. — Przeważająca większość gatunków żyjących potrzebuje pomocy innych względnie musi korzystać z innych. — To korzystanie z cudzej pracy może być połączone albo z korzyścią dla obu stron, mówimy wówczas o współżyciu — symbiozie, albo jeden gatunek wykorzystuje drugi, — mówimy o pasożytnictwie.

Piękny przykład współżycia czyli symbiozy różnych gatunków stanowi historia naturalna porostów na skałach. — Porosty w postaci czarnych, niepozornych nalotów, gnieżdżą się na skałach i kamieniach. — Przedstawiają one ze siebie symbiozę bakterii, zielonego glonu i grzybka. — Bakterie z gatunku nitryfikacyjnych asymilują azot z powietrza i przetwarzają go na związki azotowe, niezbędne dla bakterii i dla pozostałych partnerów. — Komórki zielonego glonu asymilują dwutlenek węgla i syntetyzują cukier dla całego towarzystwa. — Nitki grzybka utrzymują wilgoć z deszczu i pary wodnej, zawartej w powietrzu, a więc dostarczają wodę dla wszystkich. — Oprócz tego grzybek zaopatruje swych towarzyszy w sole mineralne, niezbędne dla życia. — Przy tym sole dostarcza w sposób czynny; wydziela żrące substancje, które rozpuszczają skały (w dosłownym tego słowa znaczeniu) i w ten sposób otrzymują niezbędne sole. — A więc bakterie mogą rozpuszczać skały.

Ta trójca żyjąca ze sobą w idealnej harmonii jest zupełnie samowystarczalna. — Kąpiąc się w słońcu na szczytach gór żyje właściwie z powietrza. — Los jej jest bardzo pewny, nic jej grozić nie może i będzie żyć, dopóki będzie słońce w przestworzach, dopóki będzie azot, dwutlenek węgla i para wodna w powietrzu.

Wspominaliśmy już o współżyciu roślin z bakteriami. Bakterie nitryfikacyjne w korzeniach roślin motylkowych, oraz w korzeniach drzew. — Bakterie dostarczają roślinom związki azotowe, rośliny bakteriom — cukier. — Jeszcze ściślejsze jest współżycie storczyków egzotycznych z bakteriami. — Storczyki egzotyczne pasożytują na drzewach w krajach podzwrotnikowych. — Ponieważ mają piękne, duże i długotrwałe kwiaty, są w Europie, szczególniej w Anglii, bardzo poszukiwane przez miłośników roślin. — Przez długi czas nie udawało się w Europie wyhodować storczyków z nasion. — Piękne okazy trzeba było sprowadzać z krajów podzwrotnikowych. — Wytresowano nawet specjalnie małpy do ich zbierania na drzewach.

Pewnego razu nadesłano do jednego z ogrodów botanicznych w Europie nasiona storczyków egzotycznych w sposób bardzo nieporządny (razem z ziemią, korzeniami itp.), — i o dziwo, nasiona te skiełkowały — Cóż się okazało — żeby nasiona storczyków w ogóle mogły skiełkować, konieczna jest obecność pewnych gatunków bakterii które znajdują się w ziemi krajów tropikalnych, a nie ma ich w Europie.

Odtąd nasiona storczyków nadsyłane są zawsze w sposób „nieporządny", razem z ziemią, gdzie rosły w krajach macierzystych. — Kiełkują teraz bez trudności. — Co więcej, stwierdzono, że jeśli się uda (co nie jest wcale łatwe), zmienić gatunek bakterii, potrzebny do skiełkowania storczyka, to otrzymuje się nową odmianę. — W ten sposób można sztucznie otrzymywać nowe gatunki storczyków.

Nasuwa się analogia z kryształami fosforanu amonowo magnezowego. — Bakterie dają również impuls do powstawania (skiełkowania) kryształu i w zależności od gatunku bakterii otrzymuje się tę lub inną odmianę kryształu.

Wspominałem już, że storczyki egzotyczne wydają kwiaty, które trwają długo, nieraz dwa i trzy miesiące. — W krajach tropikalnych storczyki zapylane są przez pewne ściśle określone gatunki owadów. — Po zapyleniu kwiat szybko więdnie — spełnił swoją rolę i jest niepotrzebny. — Otóż w Europie nie ma takiego rodzaju owadów, kwiat czeka — dosłownie czeka z utęsknieniem na swego owada, na swego kochanka. — Ale owad nie przylata i storczyk napróżno czeka dwa, trzy miesiące i dlatego nie więdnie. Można go oszukać, delikatnym pędzelkiem dotknąć w odpowiedni sposób znamię kwiatu. — Storczyk „myśląc" ,że został zapylony przez owada więdnie natychmiast. — Mamy przykład współżycia roślin z owadami.

Mówiliśmy również o współżyciu zwierząt z bakteriami. Np. bakterie fermentujące celulozę w przewodzie pokarmowym zwierząt trawożernych.

Zgoła odmienny jest inny rodzaj współżycia istot żyjących, gdy jeden gatunek wykorzystuje drugi. — Mówimy wówczas o pasożytnictwie. — Pasożytami są przede wszystkim „wyższe" gatunki, szczególniej zwierzęta i człowiek aczkolwiek i wsród bakterii nie brak gatunków pasożytujących (np. bakterie chorobotwórcze).

Zjawisko bakterii chorobotwórczych, prowadzące niekiedy do śmierci gospodarza, jest niezrozumiałe z przyrodniczego punktu widzenia. — Jeżeli ginie gospodarz, to wraz z nim

ginie większość bakterii. — Wydaje mi się, że w tym wypadku mamy do czynienia z czasowym nieporozumieniem w przyrodzie. — Bakterie, które dotychczas żyły samodzielnie zaczynają próbować na człowieku pasożytniczego życia. — Wszystko byłoby w porządku, ponieważ bardzo wiele różnych bakterii pasożytuje na człowieku (przede wszystkim w przewodzie pokarmowym), ale niekiedy produkty przemiany materii danego gatunku są szkodliwe dla człowieka, np. toksyny lub inne jady, albo też bakterie zaczynają nadmiernie mnożyć się w tkankach.

I wówczas zaczyna się „dramat", kończący się niejednokrotnie śmiercią gospodarza, śmiercią wielu jednostek. — Nie prowadzi to jednak do wyginięcia gatunku, aczkolwiek i tego rodzaju ewentualność teoretycznie nie jest wykluczona i musimy się z nią liczyć. — Zazwyczaj po pewnym czasie organizmy, należące do danego gatunku przyzwyczajają się do zarazka i wytwarzają odporność, organizm może nawet stać się nosicielem danych bakterii, które są dla niego nieszkodliwe, ale mogą być szkodliwe dla innych. — Z czasem jednak przybywa tych zdrowych nosicieli. —W ten sposób bakterie pasożytują na człowieku, nie wyrządzając mu wielkiej szkody.

Dlatego jeżeli jakaś choroba dłuższy czas panuje w danym środowisku, to staje się mniej groźną. — Syfilis w Ameryce srodkowej, gdzie panuje oddawna, przebiega łagodniej, niż w Europie. — Odra na kontynencie Europy jest stosunkowo łagodną, natomiast poczyniła wielkie spustoszenia, gdy po raz pierwszy przedostała się na wyspy Faroer.

Kiedy bakterie wtargną do organizmu, organizm reaguje wytwarzaniem różnego rodzaju przeciwciał, tj. ciał specjalnie skierowanych, szczególnie nastawionych przeciwko danym bakteriom, względnie ich toksynom. — Człowiek w ten sposób broni się przeciwko bakteriom, zdobywając odporność.

Każdą rzecz można jednak wykonać albo korzystnie, albo niekorzystnie dla siebie. — Otóż człowiek często wytwarza te przeciwciała w sposób niekorzystny i zamiast zdobyć odporność — uczula się na dane zarazki i staje się jeszcze bardziej wrażliwy, czyli jak mówimy, staje się nadwrażliwy.

Tego rodzaju nadwrażliwość może wytworzyć się nie tylko wobec bakterii, ale również wobec różnego rodzaju ciał białkowych, zawartych w pokarmie. — Nadwrażliwość może być na ryby, jajka, raki, poziomki.

Czyli, że człowiek może zapadać na chorobę zakaźną albo wskutek jadów (toksyn) wytwarzanych przez bakterie, albo

naskutek uczulenia się na dany rodzaj białka (ewentualnie bakteryjnego), czyli niejako z własnej „winy".

Na bakteriach możemy prześledzić różne stopnie pasożytnictwa. — Są bakterie, którym wystarczają proste związki organiczne, wytwarzane przez inne gatunki żyjące. — Inne znów są bardziej wymagające, potrzebują bardziej skomplikowanych ciał białkowych, peptonów, albumoz itd. — Inne jeszcze, np. bakterie grypy nie rozwijają się jeżeli nie ma w podłożu choćby śladu hemoglobiny — barwnika krwi, — inne wreszcie wymagają dla swego rozwoju surowicy względnie krwi ludzkiej (gonokoki). — Szczytem pasożytnictwa są tak zwane wirusy, twory 10—100 razy mniejsze od bakterii, niewidzialne w zwykłym mikroskopie, które mogą rozwijać się jedynie w żywych komórkach. — Własności podobne do wirusów mają bakteriophagi (pożeracze bakterii), które rozmnażają się podobnie jak wirusy w żywych bakteriach, przy czym bakterie ulegają rozpadowi.

Niektóre gatunki wirusów można otrzymać w stanie krystalicznym. — Np. wirus powodujący tzw. mozaikową zarazę tytoniu (Stanley). — Wirus Stanleya jest żywym tworem i równocześnie prawdziwym kryształem. — Niektóre wirusy są tak drobne, że wielkością swą zbliżają się do drobin np. drobin białka. — Odkrycie wirusów i bakteriophagów obaliło pogląd, że komórka jest najmniejszą jednostką istot żywych.

Zaciera się coraz bardziej różnica między materią żywą i martwą.

Wskutek zależności istot pasożytujących od gospodarza, los gatunków pasożytujących jest na ogół niepewny. — Gospodarz może zginąć, może zacząć reagować i wówczas los pasożyta może stanąć pod znakiem zapytania (człowiek i gonokoki).

Następnie wygodne, pasożytnicze życie kryje w sobie jeszcze jedno niebezpieczeństwo. — Prowadzi ono do degeneracji poszczególnych osobników oraz całych gatunków.

Pod tym względem ciekawą i pouczającą jest historia naturalna raczków, pasożytujących na rybach. — Gdy raczek wykluje się z jajka, rozwija się zupełnie normalnie i wkrótce posiada całkowicie wykształcone wszystkie narządy, między innymi odnóża, za pomocą których żwawo porusza się, posiada rozwinięte zmysły — piękne, czerwone oczy. — Jest w całym tego słowa znaczeniu godnym przedstawicielem rodu raczków.

W późniejszym wieku raczek przyczepia się do ryby i zaczyna ssać krew. — Po pewnym czasie narządy raczka nie-

używane znikają, giną odnóża, zanikają piękne, czerwone oczy. — Raczek zamienia się na woreczek, składający się ze ssawki i dużego żołądka, w którym trawi krew. — Wygodne życie pasożytnicze prowadzi raczka do degeneracji.

Pasożytnicze życie może prowadzić do degeneracji całych gatunków. — Typowym przykładem tego rodzaju degeneracji mogą być bakterie gonokokowe, które z bakterii samowystarczalnych, posiadających różne umiejętności ważne dla życia, wyrodziły się z czasem w szczep, który jedynie pasożytuje na człowieku, utracił swe umiejętności i poza człowiekiem nie może istnieć.

Reasumując, jeżeli chodzi o samowystarczalność różnych gatunków, to zupełnie 100 % samowystarczalne są jedynie pewne gatunki bakterii. — Rośliny nie są zupełnie samowystarczalne, potrzebują pomocy bakterii, które dostarczają im związki azotowe, zwierzęta potrzebują pomocy bakterii i roślin. — Bakterie fermentują celulozę roślinv syntetyzują cukier.

A zatem, jeżeli chodzi o samowystarczalność, bakterie stanowią klasę dla siebie, niedostępną dla innych rodzajów, następnie idą rośliny, dalej zwierzęta i człowiek.

VI.

Na pierwszym miejscu bakterie, potem rośliny, dalej zwierzęta i człowiek.

Po rozpatrzeniu różnych kryteriów, za pomocą których ocenić chcemy wyższość, względnie niższość poszczególnych gatunków, możemy już pokusić się o wyciągnięcie pewnych wniosków. — Biorąc pod uwagę umiejętności ważne dla życia oraz samowystarczalność, musimy na pierwszym miejscu postawić bakterie, na drugim, i to dość dalekim miejscu — rośliny, na trzecim miejscu zwierzęta i człowieka. Człowiek nie dysponuje ważnymi dla życia umiejętnościami, jego samowystarczalność jest bardzo mała.

Człowiek w życiu nie może obejść się bez bakterii i roślin. — Do tej pory homo sapiens — człowiek mądry stawiany był na pierwszym miejscu, następnie zwierzęta, później rośliny, dalej bakterie. — A zatem proponuję odwrócenie całej historii prawie o 180° z tym wyjątkiem, że człowiek jest prawdopodobnie najwyżej stojący pośród zwierząt.

Najczęstszym argumentem, że homo sapiens jest najwyższą istotą na ziemi jest ten, że człowiek kieruje się rozumem,

zwierzęta zaś instynktem. — Dobrze. — A czym się kierują rośliny i bakterie. — O tym się w ogóle nie mówi. — Pozostawiając ścisłym specjalistom ostateczne rozstrzygnięcie tej sprawy (bakteriolog nie powinien się o to kusić) pozwalam sobie podzielić się pewnymi uwagami, które mi się w tej sprawie nasuwają. — Człowiek kieruje się rozumem, zwierzęta zaś instynktem. — W zasadzie słuszne jest i jedno i drugie. — Człowiek jednakowoż kieruje się także instynktem, np. ssanie u noworodka zaraz po urodzeniu. — Człowiek pozbawiony instynktów nie mógłby istnieć. — Może więc i zwierzęta kierują się także w pewnej mierze rozumem oprócz instynktu.

Swego czasu spędzałem Święta Wielkanocne w Tatrach. — W samotnej dolinie rozbiłem sobie namiot w szałasie (podówczas niezamieszkałym) i urządziłem się bardzo wygodnie. — Zaraz pierwszego dnia przyszła do mnie myszka — zwyczajna szara myszka i zakwaterowała się pod moją poduszką. — Powitałem ją przyjaźnie, jako jedynego towarzysza. — Dzieliła ze mną stół i łoże. — Pewnej nocy zachowywała się bardzo niespokojnie, kilka razy budziła mnie. — Zniecierpliwiony, wypędziłem ją z namiotu i zapiąłem go szczelnie tak, że nie mogła wejść do środka. — Wówczas sprytna mysz, nie namyślając się długo, obeszła namiot dookoła, i zaczęła przegryzać płótno namiotu w tym miejscu, gdzie była moja głowa. — Odpędzałem ją kilkakrotnie — nadaremnie. — Po zastanowieniu się, dałem za wygraną i otworzyłem namiot. — Cóż bowiem mogłem zyskać wojując z myszą. — Albo musiałbym czuwać całą noc, odpędzając ją, albo, gdybym się zdrzemnął, mysz przegryzłaby namiot i weszłaby do środka. — Zyskałbym jedynie dziurę w namiocie. — Po otworzeniu namiotu mysz natychmiast zorientowała się, że może dostać się do środka. — Weszła, i jakby nigdy nic, wsunęła się na swoje miejsce pod poduszkę. — Uważam, że w tym wypadku postępowanie myszy było bardzo inteligentne i że właściwie ja musiałem myszy ustąpić.

Innym razem, mieszkając w szpitalu na Węgrzech, obserwowałem wróble. — Nauczyłem sie częściowo ich mowy. — Wiedziałem, czy się zwołują, czy się czubią, czy kochają. — Gdy nadeszła pora urządzania gniazd zauważyłem, że wróble taszczą w dziobach całe kłakcie waty na budowę gniazd. — Wróble nie mogły odziedziczyć po przodkach wiadomości, że wata nadaje się do budowy gniazd, — gdyż wata jest produktem ludzkim i stosunkowo nie dawno

używanym. — Wróble musiały spróbować raz i drugi, (a zatem musiały wykonywać eksperymenty), przekonały się, że wata nadaje się do budowy gniazd i zaczęły stosować ją, korzystając z lokalnych warunków szpitalnych, gdzie waty było pod dostatkiem.

I w jednym i w drugim wypadku zwierzętom nie można odmówić, moim zdaniem, postępowania rozumnego.

Bociany odlatują do „ciepłych krajów" — (właściwie do Afryki Południowej, gdzie klimat jest bardzo podobny do naszego) — ale, jeżeli bocian nabierze z a u f a n i a do człowieka, że ten zapewni mu pożywienie w czasie zimy, to nie odlatuje. — Dotyczy to nie tylko pojedynczych osobników, co mogłoby być uważane za wyjątki, ale całych gromad. — W Bułgarii jest miasto, gdzie żyje więcej bocianów niż ludzi. — Chodzą swobodnie po ulicach, a na zimę nie odlatują. — Przezimowywują w stajniach i w oborach.

Postępowanie bocianów nie odlatujących na zimę (sprzeczne z ich instynktem) jest wysoce rozumne. — Pocóż mają się trudzić, lecąc na drugą półkulę kiedy mogą przezimować na miejscu.

Zwierzęta, podobnie jak ludzie muszą uczyć się wielu rzeczy. — Wędrując po Polesiu na składaku, obserwowałem, jak rybitwa uczy swe młode łowić ryby. — Otóż najpierw puszcza na wodę zdechłą rybkę. — Młode z wielkim wrzaskiem, niezdarnie rzucają się na nią i wydzierają ją sobie. — Po kilku dniach puszcza na wodę rybkę żywą, ale podduszoną. — Młode mają trudniejsze zadanie. — Wreszcie puszcza im zupełnie zdrową rybkę. — Nauka trwa cały dzień bez przerwy, — idzie bardzo intensywnie.

Wiemy już obecnie bardzo dokładnie, jak odbywa się wychowanie pszczoły w ulu. — Rozkład zajęć jest bardzo planowy i przeprowadzany konsekwentnie, niczym w podchorążówce. — Ale nie tylko młode zwierzęta uczą się. — Wędrując z moim synem na składaku po Sole zauważyliśmy wronę, wykonywującą dziwne ruchy. — Wznosiła się dość wysoko do góry, później gwałtownie opuszczała się nadół, znowu do góry, znowu na dół itd.

Podjechaliśmy blisko ile się tylko dało, żeby jej nie spłoszyć, i przez lornetkę zaczęliśmy obserwować. — Okazało się, że wrona trzyma w dziobie sporej wielkości kamień, wznosi się z nim do góry, puszcza go i chwyta w locie. — Zabawa tego rodzaju czy trening trwała dość długo. — Umyślnie zatrzymaliśmy się w tym miejscu, przyrządziliśmy i spoży-

liśmy obiad, a wrona wciąż ćwiczyła. — Kilka razy rozbiła się o ziemię gdy chciała schwytać kamień tuż nad ziemią. — Kilka razy krótko odpoczywała, i znowu zabierała się do pracy. — Musieliśmy jechać dalej i nie doczekaliśmy się końca tej zabawy. — Odjechaliśmy, a wrona wciąż ćwiczyła.

A owady. — Przytoczyć chcę, w jaki sposób królowa mrówek zakłada nowe gniazdo, nowe mrowisko.

Młodziutka królowa, wypielęgnowana przez obsługujące ją robotnice, wylatuje do godowego lotu. .— Jest to pierwszy i ostatni lot w jej życiu. — Po zapłodnieniu w powietrzu przez samca, opada na ziemię i natychmiast zabiera się do pracy. — Skończyły się piękne dni i wygodne życie. — Rozpieszczona dotychczas królowa wyrywa sobie s a m a skrzydła. — Są jej już niepotrzebne i przeszkadzają. — Następnie wyszukuje odpowiednie miejsce, wykopuje w ziemi jamkę i zamurowywuje się w niej sama na szereg długich miesięcy. — Następnie składa pierwsze jajeczka. — Ale młodziutka królowa mrówek musi się czymś odżywiać. — W tym celu poświęca część jajek i zjada je. — A przecież z jajek mają się wykluć z czasem jej dzieci. — Po pewnym czasie z jajek powstają larwy, królowa pielęgnuje je i żywi. — Wreszcie po długich miesiącach wychodzą na światło dzienne pierwsze mrówki i przynoszą królowej pierwsze pożywienie. — Od tej pory królowa staje się znowu królową — zajmuje się wyłącznie składaniem jajek, jest żywiona i obsługiwana.

Ile razy czytam tę opowieść ogarnia mnie dziwne wzruszenie. Ile bohaterstwa, ile poświęcenia, ile rozumu musi posiadać ta drobna młodziutka istota, która samotna, szereg miesięcy boryka się z trudnościami. — Ilu wrogów na nią czyha — musi pokonywać zimno, chronić się przed wilgocią.

Oczywiście, jest wiele gatunków, które nie widzą swego potomstwa, nie mogą go uczyć. — Sposób, w jaki zdobywa ono swe umiejętności jest jedną z wielkich tajemnic życia. — Wyobrażam sobie, że rodzice muszą przekazywać w genach komórek rozrodczych zawierających zawiązki wszystkich przyszłych cech organizmu, swoje różne umiejętności, niezbędne do życia dla danego gatunku. — I że rozwijające się potomstwo podświadomie umie je odczytywać i uczyć się ich jak z „otwartej księgi". — A czy roślinom można odmówić rozumnego postępowania. — Wspominaliśmy już o wysoce inteligentnym zachowaniu się komórek roślinnych wobec bakterii. — W wypadku współżycia z bakteriami nitryfikacyjnymi (wytwarzającymi związki azotowe z azotu atmosferycznego na potrzeby

rośliny), komórki korzenia zawierającego bakterie dzielą się tak, żeby w każdej potomnej komórce były bakterie — są one potrzebne dla roślin. — Natomiast w przypadku bakterii powodujących raka ziemniaczanego, komórki, zawierające szkodliwe bakterie dzielą się tak, żeby jedna komórka, powstająca z podziału, była zupełnie wolna od bakterii. — Komórka z bakteriami przeznaczona jest na stracenie, wolna od bakterii ma szanse rozwijania się nadal normalnie.

Rośliny liściaste zrzucają liście w krajach umiarkowanych na zimę — na Jawie natomiast w czasie letniej suszy.

Zboże (żyto, pszenica) przeniesione do krajów tropikalnych przestaje wytwarzać kłosy i ziarno, bo i bez nich może istnieć i rozwijać się. — W krajach tropikalnych nie ma zimy. a więc nie ma obawy, że rośliny te, nie wytwarzając ziarna — wyginą, jak to ma miejsce w krajach zimnych. — Po cóż więc roślina ma się wysilać na produkowanie ziarna, kiedy i bez ziarna żyć może. — Wypuszcza więc coraz nowe pędy, natomiast kłosów i ziarna nie wydaje zupełnie. — Jest to postępowanie sprzeczne z instynktem, ale wysoce rozumne. — Nasuwa się analogia z bocianami, nie odlatującymi na zimę.

Zwierzęta kierują się instynktem. — Powstaje z kolei pytanie skąd się wzięły te instynkty. — Chyba nie istniały od początku świata, lecz zostały wypracowane i przekazane potomstwu jako zasadnicze kanony postępowania dla danego gatunku. — Jeżeli powstały kiedyś przed laty, to może i teraz powstają. — Czy można pomyśleć, że instynkty są niezmienne, kiedy wszystko ulega zmianom. — Należałoby sądzić, że żyjące obecnie gatunki na ziemi wytwarzają swe instynkty świadomie czy podświadomie.

Człowiek kieruje się rozumem. — Jeżeli przyjąć, że człowiek powstał drogą takiej czy innej ewolucji ze zwierząt, to czy można określić w jakim stadium, w jakim okresie tej ewolucji pojawił się rozum. —Czy np. daleki przodek człowieka, pithecantropus erectus miał już rozum. — A następnie, czy rozum pojawił się odrazu w pełnym nasileniu i czy w stadiach poprzedzających człowieka nie powinno się znaleźć choćby śladów rozumu. — Dalej, jeżeli przyjmiemy, że rozum, jak prawie wszystko na świecie, jest rzeczą zmienną, że zmiany te mogą iść zarówno in plus jako też in minus, — to czyż nie można pomyśleć o częściowej utracie rozumu przez człowieka. — Czy to co się dzieje na ziemi w ostatnich dziesiątkach lat: wojny, straszliwe mordy wzajemne, straszliwe umyślne zniszczenia, nie nasuwają podejrzenia o częściowej

utracie rozumu przez człowieka. — Czy istnieje jakiś drugi gatunek na ziemi, któryby wyprawiał podobne rzeczy i czy wobec tych faktów nie mogą nasuwać się pewne wątpliwości co do tego, że gatunek homo jest naprawdę sapiens.

Reasumując, odnosi się wrażenie, że rozum jest bardziej rozpowszechniony w przyrodzie, niż to sobie człowiek dotychczas wyobrażał i że człowiek nie ma wyłącznego monopolu na rozum. — Co więcej, gotów byłbym pójść dalej i zaryzykować twierdzenie, że „rozumne postępowanie" jest nieodzownym warunkiem życia na ziemi, że bez niego życie zarówno pierwotniaka jak rośliny i człowieka byłoby niemożliwe na dłuższą metę. — Życie — ciągle zmieniające się warunki otoczenia, stwarzają tyle różnych, nowych i nieprzewidzianych okoliczności, że nawet doświadczenie wielu poprzedzających pokoleń, skrzętnie zebrane i wiernie przekazane potomstwu w postaci instynktów nie może przewidzieć wszystkich możliwości.

Twór żywy nie może być automatem, musi umieć „rozumnie" postępować, żeby żyć. — Musi umieć myśleć. — Umiejętność rozumnego postępowania jest może najbardziej zasadniczą cechą odróżniającą materię żywą od martwej.

Martwa materia ma ruch. — Nawet lądy na ziemi przesuwają się zarówno w kierunku poziomym jak i pionowym. — Według teorii Wegenera (dziś ogólnie przyjętej) Ameryka oddzieliła się od Europy i Afryki i odwędrowała już kilka tysięcy kilometrów. — Na lądzie żyjemy jak na dużej krze. — Jakaż jest przyczyna ruchów ziemi poziomych. — Okazuje się, że winowajcą był księżyc. — Gdy w zamierzchłych czasach oderwał się od ziemi, wówczas jeszcze płynnej, powstała w niej ogromna wyrwa. — Resztki jej, to Ocean Wielki czyli Spokojny. — Ta wyrwa ciągle jeszcze zapełnia się. — Dlatego przesuwają się lądy, dlatego są trzęsienia ziemi. — Następnie niektóre lądy obniżają się, np. Holandia, inne podnoszą się w stosunku do poziomu morza, np. Kraje Skandynawskie. — Kraje Skandynawskie pokrywał lodowiec grubości do 2000 metrów, jak obecnie na Grenlandii. — Swym potwornym ciężarem wgniótł po prostu te kraje wgłąb ziemi. — Obecnie po stopnieniu lodowca ucisk zwolnił się i Kraje Skandynawskie stopniowo podnoszą się do góry. — Poziom oceanów jest nierówny i również ulega zmianom. —Wody Oceanu Wielkiego są wyższe (coś około 1 metra) od poziomu Oceanu Atlantyckiego. — Poza tym zmieniają się ich poziomy w zależności od zamarzania lub topnienia wody na biegunach.

Wiemy obecnie, że tak zwana materia martwa obdarzona jest bardzo żywymi ruchami. — Według nowej teorii atomy, z których składa się materia zarówno martwa jak i żywa zbudowane są w ten sposób, że mają w środku jądro, jakby słońce, dookoła którego krążą elektrony jak planety. — Podobieństwo atomu do systemu planetarnego jest tym większe, że każdy elektron ma swój tor, po którym porusza się, podobnie jak każda planeta porusza się po swojej orbicie dookoła słońca.

Jednak tkwi w tym zasadnicza różnica. — Tory, po których poruszają się planety są niezmienne, natomiast elektrony zmieniają swe tory, przeskakując z bliższego toru na dalszy i odwrotnie. — Każdy promień świetlny, który pada na materię martwą powoduje, że elektron przeskakuje na tor leżący bliżej jądra. — Wysyłanie promieni przez dane ciało połączone jest z przeskakiwaniem elektronów na dalsze tory. — Dalej, podwyższenie temperatury sprawia, że elektrony krążą szybciej, przy spadku temperatury — wolniej. — Czyli, że atom reaguje zmianami na różne bodźce, jest wrażliwszy niż mimoza, która za dotknięciem zwija swoje liście.

Tyle o zwykłych atomach — cóż dopiero gdy uwzględnimy pierwiastki promieniotwórcze jak rad, polon itp., których atomy wysyłają promienie w rodzaju Rentgena, wysyłają elektrony, wyrzucają z siebie cząsteczki helu. — Tam dopiero jest ruch, tam dopiero jest życie.

Gdy rad przestaje promieniować powstaje z niego zwykły ołów. — A więc i w materii martwej jest ruch, ulega ona przemianom, ulega ewolucji. — Jednym słowem pod ożywczym tchnieniem nauki martwa materia ożyła. — Wielki astronom Jeans wyraził pogląd, że nie wykluczonym jest, że materia żywa powstała drogą ewolucji z materii martwej. — A mogła powstać dopiero wówczas, gdy ta przestała promieniować, czyli zestarzała się. — Narazie są to jedynie przypuszczenia czyli tw. hipotezy naukowe, które trzeba dopiero udowodnić.

A więc, jak wspomniałem, tak zwana materia martwa obdarzona jest ruchem (wirujące elektrony atomów, ruchy molekularne Brauna — większe cząstki, potrącane przez będące w ciągłym ruchu drobiny, wykonują wahadłowe ruchy, widoczne w mikroskopie). — Materia martwa reaguje na rożne bodźce zmianą szybkości i kierunku ruchu, (elektrony oraz całe drobiny zmieniają swą szybkość ewentualnie odrywają się pod wpływem zmian temperatury — zwykłe parowanie,

odrywanie się elektronów przy bardzo wysokich temperaturach, np. na słońcu lub gwiazdach). — Martwa materia ulega ewolucji, rad zamienia się w ołów. — Materia żywa ma te same własności. — A więc czymże materia żywa różni się od martwej? — Jest różnica i to zasadnicza. — Materia martwa reaguje zawsze jednakowo, zawsze identycznie na dany bodziec. — Jest to kardynalna zasada fizyki i chemii, astronomii itp. nauk ścisłych.

Natomiast żywe twory, czy to poszczególne jednostki ludzkie, czy poszczególne rośliny, poszczególne bakterie, reagują w nieco odmienny sposób, a więc niejednakowo na dany ściśle określony bodziec, np. wzrost temperatury.

Bodziec, który dotyka istoty żywe, przenoszony jest do mózgu (za pośrednictwem nerwów u zwierząt czy w inny, mniej lub więcej znany lub nieznany sposób u roślin i bakterij) posiadającego w pewnej mierze możność wpływania na jakość i ilość następującej reakcji. — Poszczególne osobniki reagują nieco odmiennie, reagują indywidualnie na dany bodziec.

Jest to znowuż kardynalna zasada zoologii, botaniki, bakteriologii — nauk biologicznych. — A zatem materia martwa (dany jej rodzaj) reaguje na określone bodźce jednakowo, materia żywa indywidualnie.

Reakcja indywidualna istot żywych wynika na skutek ich „umiejętności logicznego postępowania". — To jest jedynie pewien objaw, — pewna czynność tego czego nie znamy.

Drugim dowodem wyższości człowieka (wysuwanym przez humanistów) jest jego życie duchowe. — Czy jednak mamy jakieś obiektywne dane, pozwalające nam negować życie duchowe u zwierząt, roślin, bakterii. — Czy poza jedzeniem, rozmnażaniem się, nic ich nie interesuje. — Musimy powiedzieć: na razie tego po prostu nie wiemy.

Ponieważ świat istot żywych zbudowany jest według jednych zasad (w swych najbardziej podstawowych czynnościach) należy suponować, że życie duchowe nie jest obce istotom żyjącym poza człowiekiem. — Badanie psychiki zwierząt, roślin i pierwotniaków (obecnie zapoczątkowane) jest tematem po prostu fascynującym. — Swego czasu obserwowałem wyżlicę, której, jak się to często dzieje, utopiono szczenięta zaraz po urodzeniu. — Rozpacz jej nie miała granic. — Przypadkiem przybłąkał się wówczas mały kociak. — Przystawiono go do piersi wyżlicy. — Ta zaopiekowała się nim, wykarmiła go i odtąd pies z kotem żyli szereg lat w wielkiej przyjaźni. — Spali zawsze razem i wzajemnie wyłapywali

sobie pchły. — Ile razy wyżlica miała młode, tyle razy stare kocisko ją ssało.

Trzecim argumentem wyższości człowieka (wysuniętym przez artystów) jest, że człowiek tworzy dzieła sztuki. — Wydaje mi się, że sztuki piękne: rzeźba, malarstwo, grafika, muzyka, są w znacznej mierze udolnym lub zgoła nieudolnym naśladownictwem przyrody.

Czy jest artysta, który odtworzyłby w całej pełni piękno, grozę i majestat ściany Giewontu w Tatrach, spadającej do Doliny Strążyskiej, złoto miedzianej w barwach zachodzącego słońca. — Kto raz to zobaczył, nie zapomni do końca życia.

Albo ośnieżone szczyty i granie Tatr, zapalane to tu, to tam promieniami wschodzącego lub zachodzącego słońca. — „Patrzcie, patrzcie, Tatry goreją. Tatry się zapalają."

Nie zapomnę nigdy koncertu śpiewaków leśnych w puszczy Tucholskiej nad brzegami Brdy w pogodny letni dzień o wschodzie słońca. — Nie wiem, czy mistrz tonów Beethoven dorównał im w swej przepięknej VI symfonii.

Czy samiczka słowika nie odczuwa piękna śpiewu samczyka. — Czy owady nie są zwabiane przez piękne i woniejące kwiaty, podobnie jak mężczyźni przez wystrojone i pachnące kobiety. — Co więcej — rośliny nie tylko wyczuwają własne piękno (jak to bywa u ludzi) ale również muszą wyczuwać poczucie piękna u owadów, żeby je zwabiać do siebie —co jest znacznie trudniejsze.

A czy piękna i harmonii nie zauważamy u drobnych stworów jednokomórkowych. — Oto, co pisze Nachtwey:

„Mikroskop odkrył nam klejnoty nieporównanej piękności, że blednie przy nich najdroższa biżuteria. — Żywa substancja drobniutkich roślinnych istot, zwanych okrzemkami, wydziela krzemionkę i odkłada ją w ścianie komórki otaczającej drobne istotki. — W ten sposób powstają szkliste całkiem przezroczyste domki — pancerze, których subtelność jest naprawdę niedościgniona. — Piękna jest struktura skorupki i nieprawdopodobnie misterna rzeźba powierzchni. — Rzecz przez artystów dotychczas nie wyzyskana." — Artyści powinni zajrzeć do mikroskopu. — Uderza nas przy tym rozrzutność postaci i odmian. — Otrzymuje się wrażenie, że w przyrodzie system standartów, system jednakowych szablonów nie zawsze ma zastosowanie. — Mógłby być tylko jeden gatunek okrzemki „wzorowy" — są ich setki.

Człowiek najwyższy pośród zwierząt. Jednak pewne gatunki owadów mogą stanowić dla człowieka bardzo groźną

konkurencję. — Mam na myśli mrówki, a przede wszystkim termity — białe mrówki krajów południowych. — Termity odżywiają się bardzo ekonomicznie. — Jako pożywienie służy im przede wszystkim celuloza, której nie mogą same strawić, ale, jak już wspominaliśmy, mają w przewodzie pokarmowym kilka ściśle określonych gatunków bakterii i pierwotniaków, które im nadtrawiają celulozę.

Termity są świetnymi inżynierami. — Ich termitiery są arcydziełami sztuki architektonicznej, zarówno co do wielkości i materiału, z którego są zbudowane, jako też konstrukcji wewnętrznej. — Do miejsc skąd czerpią pożywienie termity budują sobie kryte chodniki, długie niejednokrotnie na kilkaset metrów. — Jeżeli ruch w danym kierunku jest duży, to budują dwa równoległe chodniki o ruchu jednokierunkowym.

Termity są świetnymi chemikami. — Nauczyły się rozpuszczać blachę, żeby dostać się do puszek z konserwami, umieją nadgryzać szkło.

Termity posiadają zadziwiającą zdolność przekształcania swych narządów w zależności od potrzeb. — Wojownik termitów posiada olbrzymie szczęki, którymi miażdży wroga. — Inny typ wojownika ma olbrzymią głowę (dwa razy większą od reszty ciała), zawierającą lepki i żrący płyn. — Wypluwając ten płyn na znaczną odległość, wojownik termitów unieszkodliwia wroga. — W termitierach naliczono kilkanaście różnych typów. — Termity posiadają umiejętność produkowania tego lub innego typu, stosownie do zapotrzebowania. — Niektórzy autorowie (Maeterlinck) uważają, że cywilizacja termitów jest wyższa niż człowieka.

Termity jednak mogą żyć jedynie w klimacie gorącym, zimnego nie znoszą. — Na razie sprawa, czyja cywilizacja jest wyższą, człowieka czy termitów, musi pozostać otwartą, aż do dokładniejszego zbadania.

Następnie, jeżeli weźmiemy pod uwagę sprawę odżywiania się, to człowiek jest wyjątkowo upośledzony nawet pośród zwierząt. — Nie umie wyzyskać celulozy bezpośrednio dla siebie. — Jako źródło węglowodanów człowiek może wyzyskać jedynie skrobię. — Tymczasem celulozy jest w przyrodzie pod dostatkiem (trawa, liście, młode pędy) a skrobi mało. — Człowiek musi z trudem specjalnie hodować zboża, kartofle itp. żeby się wyżywić.

Jedynie człowiek i świnka morska ze świata zwierzęcego nie syntetyzują witaminy C, najważniejszej z witamin —

muszą mieć ją dostarczoną w stanie gotowym. — W wiekach średnich, gdy nie wiedziano o witaminie C, ludzkość cierpiała bardzo z powodu braku tej witaminy. — Czarownice, stosując różne zioła (zielone części roślin zawierają bardzo dużo witaminy C) dokonywały cudów. — I obecnie jeszcze braki w pożywieniu witaminy C szczególniej na wiosnę powodują zwiększenie się chorobowości u ludzi, w pierwszym rzędzie na gruźlicę.

Człowiek szczyci się maszyną parową, elektrycznością. — Są to niewątpliwie wielkie wynalazki — ułatwiają człowiekowi życie, ale jedynie gdy są mierzone „ludzką" miarą. — Natomiast w skali światowej są to dziecinne zabawki. — Czy można naprzykład porównać maszynę parową z syntezą cukru, która żywi niemal cały świat.

Człowiek jest dumny ze swej architektury, ze swych inżynierów, tymczasem są na ziemi budowle wysokie, jak wieża Eiffla w Paryżu, ale o podstawie, wynoszącej zaledwie 7—8 metrów średnicy. — Przy czym budowla ta dźwiga na swym szczycie ciężar 2 razy większy, niż ona sama. — Budowla ta jest tak elastyczna, że może zginać się aż do ziemi. — Tą nadzwyczajną budowlą, której inżynierowie z gatunku homo zbudować nie potrafią, jest zwyczajny, najzwyczajniejszy kłos zboża.

Ale to może nic dziwnego, że gatunek „homo sapiens" nie posiada cennych umiejętności, którymi rozporządzają bakterie i rośliny.

Istnienie człowieka na ziemi jako gatunku, oblicza się zaledwie na 30.000 lat. — Człowiek pojawił się na ziemi na krótko przed okresem lodowcowym. — Tymczasem rośliny na ziemi istnieją około 300.000.000 lat (300 milionów), bakterie jeszcze dłużej.

Wiek ziemi, obliczony na podstawie przemian pierwiastków promieniotwórczych wynosi, według najnowszych badań, około 1500 milionów lat (1,5 miliarda lat). — A zatem gatunek homo jest stosunkowo bardzo młody — przeżywa swe szczenięce lata na ziemi.

Może to nic dziwnego, że bakterie i rośliny rozporządzają cennymi umiejętnościami — miały czas nauczyć się, mają długie doswiadczenie życiowe.

Można jednak rozumować inaczej.

Gatunek „homo" nie pojawił się jak feniks z popiołów, lecz powstał drogą ewolucji z innych gatunków. — Powinien odziedziczyć po swych przodkach różne cenne umiejętności,

ale utracił je z biegiem czasu. — Można zatem rozumować, że człowiek dlatego nie ma ważnych dla życia umiejętności, że posiadając rozwiniętą w dużym stopniu umiejętność korzystania z pracy innych, mógł sobie pozwolić na życie na ziemi bez tych umiejętności, — że poniekąd uległ degeneracji pod pewnymi względami.

Wyrostek robaczkowy u człowieka jest organem szczątkowym. — U konia wyrostek robaczkowy ma rozmiary bardzo duże, odbywa się w nim fermentacja celulozy. — A zatem nie jest wykluczone, że człowiek posiadał kiedyś zdolność trawienia celulozy, ale że ją stracił.

Pod tym względem bardzo ciekawą i znamienną jest dyskusja naukowa na temat próchnicy zębów. — Na łamach pism fachowych długi czas toczyły sie dyskusje, dlaczego człowiekowi cywilizowanemu tak mocno psują się zęby. — Otóż nauka przyszła do przekonania, że człowiekowi współczesnemu psują się zęby po prostu dlatego, że ich stosunkowo mało używa, w porównaniu do człowieka pierwotnego. — A każdy narząd, każda umiejętność nie używana — zanika.

A zatem na gatunek homo sapiens można również spojrzeć jako na produkt degeneracji wskutek pasożytniczego życia.

Człowiek prowadzi wygodne życie pasożytnicze, ale do czasu. W tej zależności tkwi słaba strona gatunku „homo", gdyż z jednej strony grozi mu degeneracja, z drugiej strony zależność od żywicieli kryje w sobie poważne niebezpieczeństwo. — Co będzie, jeżeli np. rośliny zaczną się „bronić" przed człowiekiem. — Czy nie czeka nas los gonokoka, któremu grozi zagłada. — Wiemy, że rośliny potrafią skutecznie „bronić się" przed pasożytami. — Pomijam takie urządzenia jak kolce, włoski parzące (pokrzywa), ale rośliny potrafią produkować różne trujące substancje np. alkaloidy. — Są rośliny, które chroniąc przed owadami swe młode liście wytwarzają cyjanek potasu — najgwałtowniejszą truciznę.

Paleontologia uczy nas, że gatunki na ziemi ulegają daleko idącym zmianom. — Gatunek pojawia się na ziemi, rozwija się, podlega zmianom, doskonali się, osiąga szczyt swego rozwoju, chyli się do upadku i ginie. — Dowiadujemy się o istnieniu jego jedynie ze szczątków kopalnianych.

Pod tym względem koń może być pięknym przykładem. — Przodkowie konia byli do niego zgoła niepodobni. — Mieli wielkość dużego psa, kończyny ich miały po pięć palców. — Koń żył w lasach, żywił się głównie pędami roślin; później, gdy klimat uległ zmianom, gdy lasy ginęły a powstawały

stepy, tabuny dzikich koni zmuszone były odbywać dłuższe wędrówki w poszukiwaniu pożywienia. — (Trawy na stepach często wysychały). — Kończyny konia, przystosowując się do długiego i szybkiego biegu, traciły stopniowo palce. — Najpierw jeden, później dwa i trzy, aż został mu jeden palec, na którym opiera się. — Paznokieć na tym palcu zamienił się w kopyto. — Uzębienie konia także uległo zmianom. — To są jedynie te zmiany, które pozostawiły ślady po sobie w kościach. — Zmiany dotyczące narządów miękich przeszły bez śladu, ale niewątpliwie były.

Ciekawe jest, że konie rozwijały się równolegle w Europie i w Ameryce. — Otóż w Ameryce gatunek koni z czasem wyginął nie wiadomo z jakich powodów, natomiast w Europie zachował się. — Został on powtórnie do Ameryki przez emigrantów wprowadzony.

A zatem gatunki bytujące na ziemi ulegają przemianom. — Każdy gatunek ma swoją „krzywą życia", krzywą swego rozwoju na ziemi, która wznosi się do góry, później opada. — Czy gatunek „homo sapiens" będzie istniał wiecznie.

Należałoby dokładnie zbadać „krzywą życia" gatunku „homo sapiens", czy wznosi się do góry, czy ma się ku schyłkowi, i — caveant consules — niech konsulowie dają baczenie, by coś złego nie stało się z gatunkiem ludzkim

VII.

Rabunkowa gospodarka człowieka na ziemi.

Człowiek w ciągu ostatnich stu lat rozmnożył się bardzo. — Obecnie jest na kuli ziemskiej około 2.000.000.000 ludzi (dwa miliardy), ze wszystkich ssaków, na ziemi człowiek jest bodaj najliczniej reprezentowany. — Człowiek zaczyna wywierać coraz większy wpływ na gospodarkę na ziemi. — Wpływ ten daje się odczuć przede wszystkim w krajach umiarkowanych, — jest znacznie mniejszy w krajach tropikalnych, w podbiegunowych jest bardzo mały. — Morza i oceany są dotychczas prawie wolne od wpływu człowieka. — Człowiek bierze na siebie coraz większą odpowiedzialność za gospodarkę na ziemi.

Przypatrzmy się, jakiego rodzaju jest ta gospodarka człowieka na ziemi. — Człowiek zużywa w szybkim tempie zapasy ropy naftowej (wg obliczeń fachowców zapasy ropy naftowej wystarczą na 50 do 100 lat), zużywa zapasy węgla (wystarczy ich na kilka tysięcy lat). — Wielkie szkody pow-

stają na ziemi wskutek niszczenia drzewostanu przez człowieka. — Wycinanie lasów wpływa w sposób bardzo ujemny na gospodarkę wodną na ziemi. — Lasy są naturalnym rezerwuarem i regulatorem wód. — Jakie wielkie znaczenie mają drzewa dla gospodarki wodnej na ziemi, może służyć fakt, że średniej wielkości drzewo czerpie z ziemi około 400 litrów wody na dobę i oczywiście prawie wszystko wydziela w postaci pary wodnej. — Więc ile wody przerabia dziennie spory las. — Jakie zaburzenia powstają w gospodarce wodnej, gdy go się wytnie.

Jako skutek wycięcia lasów mamy gwałtowne powodzie, czyniące wielkie szkody, naprzemian z okresami suszy. — Niejednokrotnie po wycięciu lasów pozostaje pustynia, szczególnie, gdy grunt jest piasczysty. — Naprzykład pustynia Błędowska pod Olkuszem w Polsce. — Bardziej jaskrawym przykładem wadliwej gospodarki człowieka są góry Kras na granicy Jugosławii i Austrii. — Były one niegdyś pokryte lasami. — Po wycięciu lasów obfite deszcze spłukały cienką stosunkowo warstwę ziemi — pozostały nagie skały, na których nie rośnie literalnie nic.

Nowsze badania wykazały, że największa pustynia — Sahara — niegdyś była pokryta bujnymi lasami, człowiek wyciął lasy, później na miejscu lasów rosły krzaki, tak zwany „bush" afrykański. — Człowiek wyniszczył je, wypasł bydłem, resztę wypalił ogniem. — Wiatry zaczęły zasypywać stopniowo pola, studnie, rzeki i jeziora. — Aż zasypały wszystko warstwą kilkumetrowej grubości. — W ten sposób powstała Sahara. — Dzisiaj od strony Tunisu i Algieru wierci się studnie artezyjskie, powstają tam kwitnące fermy. — Saharę powoli, ale bardzo powoli odzyskuje się z powrotem.

Podobny proces odbywa się obecnie na naszych oczach w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. — Były tam stepy (sawanny i prerie) pokryte bujną trawą, która trzymała lotną glebę. — Yankesi zaorali stepy i posiali pszenicę. — Skutek jest tego rodzaju, że wiatr zaczyna porywać lotną ziemię. — Powstają niejednokrotnie straszliwe burze piaskowe, trwające po kilka dni bez przerwy. — Ludzie muszą wówczas zamykać się w domach, uszczelniać drzwi i okna. — Po takiej burzy wszystko jest pokryte piaskiem na kilka milimetrów. — Burze piaskowe sięgają już prawie do wybrzeży oceanu Atlantyckiego, dochodzą do Washingtonu. — Jeżeli yankesi nie przedsięwezmą energicznych środków, to ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej będzie pustynia. —

Przykładów takich, może nie tak jaskrawych, jest więcej. — Kiedyś dolina Eufratu i Tygrysu była „krainą mlekiem i miodem płynącą", dzisiaj jest prawie pustynią. — W ogóle dość często tam, gdzie czowiek cywilizowany dłuższy czas gospodaruje, pozostawia po sobie mniejszą lub większą pustynię.

Nie wiadomo nawet, czy obecna cywilizacja człowieka na ziemi, z której tak szczycimy się, jest naprawdę najwyższą. — Czy nie było już na ziemi czegoś bardziej wartościowego w przeszłości. — Wiemy, że były cywilizacje, stojące na wysokim poziomie, zniszczone przez barbarzyńców. — Cywilizacja Azteków w Ameryce Południowej zniszczona przez Hiszpanów. — Inne cywilizacje zaginęły i dotychczas nie wiadomo, jakie były przyczyny. — Np. cywilizacja Majów w Ameryce Południowej. — Ruiny miast w niedostępnej dżungli wykryli niedawno lotnicy w czasie przelotów.

W ostatnich czasach odkopano w Indiach nad Gangesem szereg miast, które świadczą o wysokiej kulturze jej mieszkańców. — Domy ich bardzo wygodne, miały wodociągi i kanalizację. — Stwierdzono w nich obecność spłukiwanych ustępów. — Rzecz obecnie zupełnie nie znana śród tubylczej ludności (Hindusów). — W miastach tych były liczne baseny do kąpieli. — A działo się to mniej więcej 6.000 lat temu.

Wracając do człowieka i jego gospodarki na ziemi, to nie można pominąć sprawy tlenu. — Uczeni są zdania, że tlen atmosferyczny został wyprodukowany przez rośliny szczególnie zielone, oraz bakterie. — Zwierzęta i człowiek nie produkują tlenu, lecz wprost przeciwnie — zużywają go. — Wskutek zmniejszania się lasów, zmniejsza się produkcja tlenu. Urodzajne pola produkują znacznie mniej tlenu niż lasy. — Ale mało tego. — Człowiek zużywa dużo tlenu przy spalaniu. — Obecnie mamy na ziemi coraz więcej obszarów, pokrytych domami i kominami fabryk, — (tak zwane centra przemysłowe), — które pożerają potworne ilości tlenu. — Ale znowu wskutek działalności człowieka zwiększa się ilość dwutlenku węgla CO_2 w powietrzu, a to powinno roślinom ułatwiać życie.

Ostatnimi czasy zrobiono ciekawe odkrycie. — Oddawna zastanawiano się, dlaczego zimne wody oceanów podbiegunowych są znacznie bogatsze w ryby, niż wody krain umiarkowanych, — i leżących pod równikiem. — Okazało się, że winowajcą jest dwutlenek węgla. — Jest on bardziej roz-

puszczalny w śniegu i lodzie niż w wodzie, czyli że śnieg i lód zawierają znacznie więcej dwutlenku węgla niż woda, jest on jakgdyby zamagazynowany tam. — W czasie wiosennego topnienia śniegów i lodów w krajach podbiegunowych, wody są bardzo bogate w dwutlenek węgla, a ponieważ w tym czasie pod biegunem dzień jest bardzo długi i słońce operuje niemal bez przerwy, powstają idealne wprost warunki dla rozwoju tak zwanego zielonego planktonu czyli prostych roślin zielonych. — Rozmnażają się one bardzo obficie. — Wskutek tego i ryby, mając obfity pokarm, mogą rozwijać się. — W ten sposób nauka tłumaczy paradoksalne zjawisko, że zimne wody podbiegunowe są bardziej obfite w ryby, niż morza cieplejsze.

VIII.

Wskazania na przyszłość.

Jakie wnioski należy wyciągnąć z tego stanu rzeczy, jakie wskazania na przyszłość. — Człowiek „rabuś" musi: 1° — zdać sobie sprawę z rozmiarów swej rabunkowej gospodarki na ziemi 2° — ograniczyć ją do koniecznego minimum, 3° — zacząć planową gospodarkę.

Jeżeli człowiek chce utrzymać się na ziemi jako gatunek, musi zdobyć większą niezależność przez poznanie i przyswojenie sobie umiejętności cennych dla życia. — Człowiek powinien opracować ekonomiczną metodę syntezy cukru. — Powinien nauczyć się wykorzystywać bezpośrednio dla siebie celulozę. — Jeżeli mrówki to potrafią, to dlaczego człowiek tego nie może. — Trzeba się od nich nauczyć.

Wracając do gospodarki człowieka na ziemi, to „homo" jako zadanie długofalowe, zadanie na dalszą metę, powinien poznać możliwie dokładnie otaczający go świat zarówno żywy jako też i martwy. — Powinien poznawać umiejętności istot żywych, poznawać, jak sobie radzą na ziemi. — Chronić je przy tym w miarę możności przed zagładą. — Jeżeli bowiem jakiś gatunek ginie na ziemi, to razem z nim giną bezpowrotnie różne umiejętności, które pozwoliły mu przetrwać na ziemi w ciągu dłuższego czasu, które zostały wypracowane ciągłą i intensywną nauką i pracą wielu pokoleń. — A nie wiadomo, czy poznanie tych umiejętności nie przyda się człowiekowi, czy nie uratuje go od zagłady. — Nie wiadomo bowiem, jakie jeszcze niespodzianki oczekują człowieka na ziemi.

Co nas czeka. — Czy nie czekają nas okresy zlodowacenia, jeszcze gorsze niż dotychczas. — Czy nie czekają nas okresy nadmiernego gorąca, czy nie czeka nas brak tlenu. — Czy nie grożą nam niebezpieczeństwa ze strony roślin i bakterii, od których jesteśmy zależni.

Tym celom człowiek powinien poświęcić czas wolny, pozostający od pracy, mającej na celu wyżywienie się, rozmnażanie się, wychowanie potomstwa. — Tego czasu w miarę wprowadzenia maszyn i ulepszeń technicznych będzie coraz więcej. — Przy tym tego rodzaju praca, wybrana dowolnie, stosownie do indywidualnych upodobań, może okrasić i uprzyjemnić życie człowiekowi na ziemi. — Nie ulega bowiem żadnej wątpliwości, że badawcza, odkrywcza praca daje największe zadowolenie wewnętrzne ze wszystkich prac na ziemi.

Jako przykład, jakie ciekawe wyniki dają obserwacje życia zwierząt, przytoczę wyniki badań nad kleszczem, dokonane w jednym z ogrodów żoologicznych. — Zwykły nasz kleszcz, gdy dorośnie, potrzebuje napić się krwi zwierzęcia ciepłokrwistego. — Składa wówczas jajka, i wkrótce potem umiera. — Jego rola życiowa jest skończona. — Ale okazja do napicia się krwi zwierzęcia ciepłokrwistego nie nadarza się tak często. — Kleszcz siedzi na gałązce i czeka. — Głuchy jest i ślepy, ale ma rozwinięty nadzwyczajnie zmysł węchu i dotyku. — Jak tylko poczuje zapach zwierzęcia ciepłokrwistego, rzuca się na niego. — Jeżeli poczuje pod sobą coś ciepłego — zaczyna ssać. — Ale okazja taka nie zdarza się często. — Mijają tygodnie, miesiące, lata — kleszcz siedzi na gałązce i czeka, i może tak czekać 18 lat.

Całe 18 lat (tyle czasu trwały obserwacje). — Kleszcz siedzi na gałązce i czeka. — Trwa w jakimś półśnie bez ruchu, bez jedzenia, ale w każdej chwili gotów jest do energicznej akcji, gdy go zaleci nęcący zapach.

Zapewne każdy z nas marzył, gdy życie mu dokuczy, żeby zasnąć i obudzić się dopiero wtedy, gdy spełnią się nasze marzenia. — Otóż mam wrażenie, że kleszcz w życiu swym zrealizował tego rodzaju marzenia. — Śpi na gałązce i czeka. — Budzi się natychmiast do życia, gdy zaleci go nęcący zapach co dla kleszcza musi być największą rozkoszą, bowiem jest najważniejszą treścią jego życia.

A jeżeli ten nęcący zapach kleszcza nie zaleci. — Prawdopodobnie nie obudzi się więcej nigdy.

Powstaje teraz pytanie, czy będzie czas na to, by człowiek

wydoskonalił się, czy nie jest już za późno. — Otóż astronomowie twierdzą, że ziemia ma przed sobą długi okres spokojnego życia. — Że ze strony innych ciał niebieskich nic nie będzie ziemi grozić w ciągu najbliższych 2 miliardów lat, a więc więcej niż drugie tyle, co ziemia istnieje, — (półtora miliarda lat). — Człowiek istnieje na ziemi dotychczas około 30 tysięcy lat.

Dwa miliardy lat ma ziemia przed sobą. — A zatem człowiek będzie miał aż nadto czasu, żeby wydoskonalić się, żeby stać się naprawdę „sapiens".

Ziemia wówczas ostygnie — może być zimno na ziemi. — A może człowiek, wówczas naprawdę „sapiens" będzie mógł przenieść się na inną planetę. — W grę może wchodzić planeta Wenus, gdzie obecnie jest trochę za gorąco, — (średnia temperatura wynosi około 60°), — ale za miliard lat może być w sam raz odpowiednia temperatura.

Z innych planet — Mars już obecnie jest za zimny. — Średnia temperatura na Marsie wynosi 0°. — Inne planety tym bardziej nie wchodzą w rachubę.

A może przestrzenie międzyplanetarne nie będą dla człowieka mądrego przeszkodą. — Może znajdzie sobie lepsze miejsce już nie pod słońcem, ale pod inną gwiazdą. — W innym systemie planetarnym. — Wybór może być duży.

A więc czasu człowiek ma aż nadto, żeby wydoskonalić się. — Warunki zewnętrzne są sprzyjające. — Teraz jeszcze jedno, kardynalne pytanie: Czy człowiek ma warunki „wewnętrzne", żeby utrzymać się na ziemi jako gatunek, żeby wydoskonalić się.

Na to zasadnicze pytanie trzeba odpowiedzieć twierdząco. — Człowiek ma duże zdolności do przystosowywania się do różnych warunków. — Miał on bardzo ciężki początek, bardzo ciężki start na ziemi. — Człowiek pojawił się na krótko przed okresem lodowcowym, przetrwał kilka zlodowaceń, podczas których gruba warstwa lodu pokrywała Europę prawie po Karpaty. — W przerwach między zlodowaceniami było dość ciepło, czasami bardzo ciepło. — Człowiek szczęśliwie przetrwał ten okres. — Wiele gatunków zwierząt zginęło. — Zginął mamut, zginął niedźwiedź jaskiniowy itp.

Następnie człowiek ma ruchliwy, inteligentny umysł, — jest wynalazcą. — Posiada wyjątkową zdolność posługiwania się narzędziami. — Pod tym względem żaden z gatunków na ziemi dorównać mu nie może.

Małpy posługują się niekiedy kijem, żeby strącać owoce, przysunąć sobie coś, ale na tym koniec. — Pewne gatunki mrówek, zwane — „szwaczkami" budują sobie gniazda, zeszywając bardzo kunsztownie liście drzew. — Wspominałem już, że termity posiadają nadzwyczajną zdolność przekształcania swoich członków w potrzebne im narzędzia. — Dla człowieka rzecz nie do pomyślenia. — Aczkolwiek zdolność przetwarzania przez termity swych narządów w różne narzędzia jest nadzwyczajna i zadziwiająca, to jednak wydaje się, że człowiek prędzej może wytwarzać swe narzędzia, i co ważniejsza, łatwiej może je zmieniać, biorąc w rękę to lub inne narzędzie. — Jednym słowem — człowiek mechanik.

Następnie człowiek, posiadający sztukę drukowanego słowa może przekazywać potomności swe myśli. — W ten sposób, choć nie on sam, to jego dzieła mogą być nieśmiertelne.

A zatem wydaje się, że człowiek ma warunki po temu, żeby utrzymać się na ziemi jako indywidualny gatunek, żeby wydoskonalić się. Musi jednak poznać świat otaczający i nauczyć się racjonalnie gospodarować na ziemi.

Jaka idea, jaka myśl przewodnia, winna kierować ludźmi.

MIŁOŚĆ — miłość twórcza, miłość powszechna, miłość wszechobejmująca. — Miłość nie tylko wobec naszych dzieci, naszych synów i córek, nie tylko wobec wszystkich ludzi — naszych bliźnich, ale w równej mierze wobec wszystkich istot żyjących na ziemi — naszych sióstr i braci naszych: czy to będą sędziwe bakterie, mędrcy nad mędrcami, czy skromne rośliny — nasi żywiciele, czy ruchliwe zwierzęta — nieco zarozumiałe.

Albowiem wspólną i niepodzielną jest nasza dola i niedola na tym ziemskim padole: padole płaczu, padole radości.

IMPRESJONIZM

Rozumienie dzisiejszego malarstwa polskiego oraz jego genealogii wymaga znajomości impresjonizmu francuskiego Tak się bowiem złożyło, że tzw. oficjalne malarstwo polskie, reprezentowane przez tych malarzy, którzy pełnią dzisiaj funkcje profesorskie w akademiach i wyższych szkołach artystycznych, tkwi swymi korzeniami w impresjonizmie francuskim. Malarstwo to nie jest wprawdzie malarstwem impresjonistycznym w ścisłym znaczeniu słowa, choćby dlatego, że na ogół nie interesuje się problemem światła i uprawia raczej kolor dla koloru (nie dla światła), ale posiada wiele własności, odziedziczonych po impresjonizmie. Malarstwo to wolno uznać za odłam postimpresjonizmu.

Z samej zaś nazwy tego kierunku wynika, że chodzi tu o spadek po impresjonizmie, o rożne transmutacje problematyki impresjonizmu, o pewne rozwinięcia wartości, odkrytych przez impresjonizm, oraz o pewne dialektyczne reakcje, których wynikiem stało się zarówno skrzepnięcie wizji impresjonistycznej w kubiczne bryły Cèzanne'a, jak z drugiej strony przemiana słonecznego świata na świat, budowany prawie samym kolorem, dobieranym swobodnie, nie z myślą o świetle, lecz z myślą o jak najbardziej wyszukanych akordach barwnych.

Przedstawicielem tego drugiego nurtu poimpresjonistycznego był Pierre Bonnard (żyjący zresztą i aktywny do dzisiaj), główny patron dzisiejszego oficjalnego malarstwa polskiego. Źródłem malarstwa Bonnarda i jego polskich kontynuatorów czy uczniów duchowych, czy tylko spadkobierców jego „kolorystycznej" filozofii, jest impresjonizm. Budził on w swoim czasie najgwałtowniejsze protesty naszych dziadów (było to bowiem tak dawno), lecz dzisiaj nie budzi niczyjego zgorszenia, ba, w interpretacji swych epigonów — raczej nudę, podsycaną przez tworzący się właściwie swoisty akademizm.

Miał więc impresjonizm swoje lata „naporu i burzy" swoją ewangelię i dogmaty, niemal swoją eschatalogię. Posiadał fanatycznych wyznawców i zaciętych wrogów. Powstał we Francji w siódmym dziesięcioleciu XIX w., w obrębie tej generacji artystów, jakiej odpowiednikiem było u nas pokolenie Grott-

gera, Matejki oraz „monachijczyków". Był on wprawdzie wynalazkiem szczupłej grupy artystów, lecz równocześnie wyrazem poszukiwań epoki, trudnej co prawda do odcyfrowania ze względu na cechujący ją brak wyraźnego oblicza ideowego, zastąpionego kłębowiskiem najrozmaitszych poglądów.

W porównaniu z wiekiem XVIII-tym, skrępowanym mimo wszystko tradycją, znamieniem XIX stulecia było rozprzężenie się duchowego organizmu ludzkości (co pogłębi się jeszcze w wieku XX-tym), w ślad za czym nastąpiło gorączkowe szukanie nowych prawd, oparte na absolutnej swobodzie myślenia, zagwarantowanej jednostce przez demokratyczno — liberalne ustroje. Odnowiono wprawdzie filozoficzne systemy starożytne i scholastyczne, formułowano przy tym poglądy nowe, lecz równocześnie ograniczono zakres spekulacji do zadań cząstkowych, dostępnych naukowemu badaniu, co doprowadziło do nadmiaru teoryj poznawczych, do specjalizacji i zawodowego hermetyzmu. Kult specjalizacji odbije się z czasem na sztuce i stanie się powodem jej odosobnienia.

Typowe dla stulecia były systemy minimalistyczne, ograniczające zakres poznania, byle tylko to poznanie uściślić i oprzeć na trwałych fundamentach. Maksymaliści, których dążeniem było osiągnięcie pełnych systemów filozoficznych, należeli do znikomej mniejszości. Odszukanie związków między ówczesną myślą filozoficzną, a dziedziną sztuki jest niełatwe z uwagi na brak jednolitego stylu duchowego epoki, któryby zwierał w jednorodną całość różne przejawy kultury. Nie mniej pośród licznych systemów stulecia można odnaleść i takie, które stanowią zarówno jak gdyby zapowiedź impresjonizmu jak i mnogich kierunków formalnych XX w. Już Schopenhauer, twórca wydanego w r. 1819 dzieła „Świat jako wola i wyobrażenie" uważał rzeczywistość za system przedstawień, zależnych od właściwości umysłu. Jego mniemanie, że „umysł nie kopiuje rzeczy, lecz zabarwia je własną naturą" pokrywa się z przeświadczeniem naturalizmu epoki Zoli i Flauberta, iż artysta odtwarza naturę widzianą przez pryzmat temperamentu. Wiemy zaś, że istniały relacje między naturalizmem literackim, a impresjonizmem, które idee naturalizmu tłumaczył w sposób zresztą dość nieoczekiwany na formy plastyczne. — Już nie jako wyprzedzenie impresjonizmu, lecz jako jego swoistą egzegezę możnaby ująć intuicjonizm Bergsona i jego pojmowanie rzeczywistości, dalekiej od schematu, zmiennej i wielorakiej, przejawiającej się w odmienianych stale, wciąż nowych postaciach.

Impresjonizm był kierunkiem złożonym i niejednolitym już choćby przez swą naturalistyczną genealogię i antynaturalistyczną formę, daleką od starannego, dokumentarnego, schematycznego i rzeczowego przedstawienia przedmiotów. Jego specyficzna chemia wchodzi jednak także w wyraźne związki z minimalistycznymi teoriami czasu: pozytywizm Comte'a, jego kult faktów, przeświadczenie, że przedmiotem wiedzy są „ciała" nie traci swej aktualności w kręgu impresjonistycznych doświadczeń, dopóki chodzi o naturalistyczną warstwę nowego kierunku (Manet); empiryzm Jamesa Mill'a, dla którego źródłem wiedzy są wrażenia zmysłowe, ułatwia zrozumienie impresjonizmu, jako malarstwa, opartego na subiektywnych wrażeniach.

Z powierzchnią impresjonizmu łączą się zasady wynikające z ducha pozytywizmu, z naukowej analizy faktów. Zjawiska ruchu kontroluje się np. przy pomocy aparatu fotograficznego, względnie pod wpływem fotografii dostrzega się ruchy przedtem niedostrzegalne (tancerki i konie Degas'a). Przede wszystkim korzysta się z wyników optyki. Fizykalne badania nad światłem Chevreuila, Helmholtza, Brückego, wyniki analizy spektralnej, świadomość różnicy natężenia między barwami czystymi a mieszanymi, wiedza o wzajemnych stosunkach barw dopełniających, należały do naukowego repertuaru nowego kierunku. Chodziło tu jednak o repertuar środków, które miały umożliwić osiągnięcie pewnej „prawdy". Prawdą tą była, jak zawsze w sztukach plastycznych, nowa wizja świata, a celem znalezienie dla niej możliwie trafnych znaków formalnych[1].

Impresjonizm, aczkolwiek wolno go ocenić jako największą rewolucję artystyczną ery chrześcijańskiej (co spróbujemy uzasadnić), zawierał w sobie także pierwiastki znane skądinąd i zdawna wyzyskane przez sztukę. Wrażeniowe, szybkie i szerokie budowanie formy malarskiej odnajdujemy np. u Halsa, Velasqueza, Goyi.[2] Przygotowaniem gruntu pod nowe ujęcie pejzażu było malarstwo Barbizończyków, a zwłaszcza Anglików Constable'a Bonningtona i Turnera, których impresjoniści pilnie studiowali. Szczególnie znamienne dla Turnera rozpuszczenie przedmiotów w świetle i atmosferze, można uważać za zapowiedź pewnych stron impresjonizmu. Tak samo no-

[1]) W wizji tej człowiek zostaje nieraz zrównany z innymi przedmiotami fizycznymi może dlatego że rozwój nauk przyrodniczych wyznaczył rolę człowiekowi inną niż antropomorficzne religie.

[2]) Również problemy „humanistyczne" z uwzględnieniem czynnika powietrzności interesowały sztukę epoki baroku.

wy stosunek do koloru w sztuce Greca, intensywność tego koloru i oparcie harmonij barwnych na przeciwstawieniach zimnych i ciepłych tonów, jego autonomizm i oderwanie go od zabarwień lokalnych — wyprzedzają o kilka wieków malarstwo francuskiej awangardy. Dlatego nie można uważać poszczególnych cech impresjonizmu za równorzędne wyznaczniki jego istoty, określonej dopiero zespołem tych cech. Niektóre z nich wysuną się jednakże na czoło jako najbardziej odrębne i rozstrzygające o nowości szkoły. Wreszcie o powstaniu tego kierunku zadecyduje koncentracja i ustalanie się pewnych wartości, stosowanych dawniej sporadycznie.

Łączność impresjonizmu z tradycją dokumentuje najsilniej wczesna twórczość Edwarda Maneta (1832 — 1883), która bliższą jest dawnej sztuki i swych bezpośrednich poprzedników wraz z Courbetem, niż dojrzałego impresjonizmu. Manet opierał się na Velasquezie i na Goyi (Scena balkonowa, Śmierć cesarza Maksymiliana, Olimpia), posługiwał się szeroką plamą barwną i konturem (Olimpia), używał czarnej farby a kolor lokalny odmienił w partiach słonecznych w sposób ostrożny i połowiczny. To też z oporem opinii publicznej spotkały się jego dzieła nie tyle z powodu swych wartości formalnych, ile dla swych treści tematowych, równie śmiałych jak tematy powieściowe Zoli czy Goncourtów. Publiczność nie chciała się pogodzić ani z obnażoną kurtyzaną w pantofelkach, przyjmującą kwiaty (Olimpia) ani nagimi modelkami w towarzystwie schludnie ubranych panów w „Śniadaniu na trawie" (1863). Przy sposobności warto podkreślić, że punkty styczne między naturalizmem literackim a impresjonizmem wyznaczała metoda przedstawienia: indyferentyzm w stosunku do przedmiotów i ludzi (wszystko bowiem jest jednakowo ważne w obrębie dzieła) i malarska atomizacja świata, której odpowiednikiem literackim wydaje się analiza środowiska społecznego. Zupełnie uchwytną cechą wspólną malarstwa i ówczesnej powieści są motywy, czerpane ze środowiska teatru i półświatka, buduarów, torów wyścigowych, a także z życia drobnej burżuazji i świata proletariackiego. Szukanie związków między dwoma różnymi gatunkami sztuki może jednak prowadzić do nieporozumień i zbyt pochopnych uogólnień. Powieść naturalistyczną i malarstwo impresjonistyczne rozgraniczały też bowiem wyraźnie różnice. Różnice te pogłębiają się coraz bardziej, spowodowane nie tylko odmiennym charakterem tworzywa. Jeśli między formą Maneta a Zoli czy Flauberta możnaby wykazać organiczne związki, wynikające z realistycznego i dokumen-

tarnego stosunku do życia, to forma Moneta a zwłaszcza Pissarra odrealnia rzeczywistość w sposób coraz bardziej wyraźny i wbrew pozorom rozwija się w kierunku idealistyczno-abstrakcyjnym, obcym pisarskiej sztuce naturalizmu. Jedną z głównych właściwości malarstwa impresjonistycznego był nowy stosunek do przestrzeni, wyrażony w płaskiej powierzchni obrazu. Impresjonista nie modelował bowiem formy w dawny sposób, ale często ją łamał na skutek intensywnych cieni i świateł, rzucanych przez jedne przedmioty na drugie. Farby zaś nie nakładał wzdłuż kierunków, wytyczonych przez bryłę lecz warstwował je płasko przy pomocy różnorakich, lecz w granicach obrazu i na ogół jednakowych dotknięć pędzla (la touche). Uwzględniał natomiast świetlne i kolorystyczne elementy przestrzeni, ustalając ciemne i jasne, wyraźne i zamglone plamy krajobrazu.

Uchwycenie głównych cech impresjonizmu utrudniają różnice, jakie dzielą sztukę poszczególnych wyznawców kierunku. Są one tak znaczne,, że łatwiej możnaby mówić o impresjonizmach niż impresjonizmie. Między srebrzystymi pastelami Degasa, rysowanymi śmiałą, grubą kreską a studiami Moneta w których masa roztapia się w świetle, lub pejzażami Pissarra, opartymi na zasadzie płaskiej materii malarskiej, dość trudno odnaleść analogie. To samo dotyczy Renoira, Sisleya oraz Seurąta i Signaca. Nie mniej konwencjonalizm naukowy zmusza do szukania cech wspólnych, celem oparcia na nich charakterystyki nowego kierunku.

Psychologiczną zasadą impresjonizmu, co wynika z samej nazwy tego kierunku, jest subiektywny, najzupełniej osobisty i swobodny stosunek do natury, nie skrępowany (w teorii) ani tradycją ani opinią publiczną. Maluje się zatem nie to, co się wie o przedmiocie, lecz to, co się widzi. Nie odtwarza się np. poszczególnych, zdaleka niewidocznych liści, z jakich składa się drzewo, lecz zieloną masę listowia. Ten proces uogólnień, zarysowany wyraźnie już w sztuce baroku, przybiera na sile w okresie impresjonizmu, na skutek czego próbuje się niekiedy łączyć ze sobą w związki przyczynowe obydwa te style, tym więcej, że w jednym i drugim przypadku wysuwają się na czoło takie cechy formalne jak: malarskość, otwarta forma i jej ruchliwość. Subiektywizm impresjonizmu posiada jednak tę szczególną właściwość, że ogranicza się do sfery zmysłowego, optycznego poznania, unikając w zasadzie (czemu nie zawsze odpowiada praktyka) emocjonalnych, poza malarskich doznań, jakie bywają źródłem anegdotyzmu. Kierunek ten o czysto

malarskich aspiracjach zrywa radykalnie z gadatliwym dydaktyzmem i uczuciowością, a kładzie nacisk na czynniki formalne z tym, że z początku pod formą rozumie przede wszystkim kolor, jako funkcję światła. Subiektywizm tego malarstwa koryguje nie tylko dawne błędy przedstawień, wynikające z wiedzy o przedmiotach, górującej nad doraźnym widzeniem, lecz dopuszcza tyle malarskich wizyj, ile jest oczu, wpatrzonych w zmienne oblicze świata. Podstawą tego malarstwa staje się zatem indywidualne, całkowicie własne wrażenie wzrokowe, „impression" artysty, (tak zatytułował Monet znany pejzaż z zachodzącym słońcem), z czym łączy się tendencja szybkiego notowania tych wrażeń, z natury swej nietrwałych. W tym leży uzasadnienie jakby szkicowej faktury obrazów impresjonistycznych, bo naprzód konieczność utrwalenia przelotnych wrażeń, nie pozwala na staranne „wygładzanie" płótna, następnie zbyt długa procedura techniczna mogłaby wpłynąć ujemnie na świeżość i bezpośredniość obrazu. Faktura tego typu utrzyma się nawet wówczas, kiedy obraz będzie rezultatem długiej i rozważnej pracy, jaka często cechowała samych impresjonistów. Albowiem wspomniana wrażeniowość, chociaż zdecydowała o nazwie kierunku, budzi niekiedy poważne wątpliwości. W obrazach impresjonistycznych dostrzega się przecież często wartości wyspekulowane. Naprzód wchodzi w grę bardzo staranna selekcja widzianych kształtów, następnie wyniki wrażenia ulegają przemyślanej korekturze w imię jednolitej konstrukcji dzieła. „Niebieskie" drzewo w „Pejzażu z Kazimierza" Pankiewicza na pewno nie jest rezultatem wrażenia wzrokowego, lecz funkcją pomyślanej koncepcji barwnej. Wrażeniowy stosunek do motywu wyznacza zatem jak gdyby kierunek twórczości, ale bynajmniej jej nie wyczerpuje.

Następstwem dążenia do bezpośredniej percepcji wrażeń i ich natychmiastowego utrwalania, jest pleneryzm (plein air), tj. malowanie na wolnym powietrzu, co stanowi przewrót o tyle doniosły w metodach pracy malarskiej, że do tego czasu obrazy z reguły produkowano, a przynajmniej wykańczano w pracowni (taką metodą posługiwał się jeszcze Aleksander Gierymski). To bezpośrednie obcowanie z przyrodą, tworzenie obrazów w ustawicznym kontakcie z powietrzem i słońcem, pośród przedmiotów drgających od świateł i cieni, nie mogło pozostać bez wpływu na ewolucję nowej sztuki. Impresjonizm odmienił dotychczasową wizję świata przez odkrycie światła słonecznego, jego migotliwej i upalnej substancji, jego odblas-

ków i nieprzeliczonych, wciąż zmiennych przekształceń. Albowiem mimo istnienia Barbizończyków i Constable'a, pomimo Turnera, którego światło było wartością raczej fantastyczną i wyimaginowaną, właściwie dopiero impresjonizm skąpał świat w topieli słonecznej, podejmując wciąż od nowa problem współzależności światła, atmosfery i koloru. W rezultacie obraz impresjonistyczny ulega niewymownemu *rozjaśnieniu* w stosunku do dawnej, często w brunatnych tonach skąpanej sztuki. Tajemnicze, „rembrandtowskie" mroki zastępuje feeryczną jasnością.

Obserwowano zatem reakcję tego samego przedmiotu na światło różnych pór dnia i roku, wynikiem tego rodzaju obserwacyj był np. cykl obrazów Moneta na temat katedry w Rouen i seria widoków na kopiec Kościuszki Stanisława Wyspiańskiego. Zasadniczej w tym przypadku postawy Wyspiańskiego wobec motywu, nie zmienia silny współczynnik secesji, właściwy jego obrazom. Impresjonizm po raz pierwszy w dziejach dostrzegł z całą jasnością przemianę barw lokalnych pod wpływem światła i narzucił światu całkowicie nową gamę barwną. Zrozumiał bowiem pomyłkę naturalizmu (w rodzaju, uprawianym przez Witkiewicza), który upierał się przy tezie, że cień i światło polegają wyłącznie na przyciemnieniu lub rozjaśnieniu tej samej barwy lokalnej — i doprowadził do odkryć przeciwnych. Spostrzegł, że biała ściana barwi się pod wpływem słońca żółtawo a w cieniu błękitnieje, że ziemia nie zawsze jest brunatna lub czarna, bo w słońcu różowieje lub żółknie a cienie, kładące się na niej przybierają odcień niebieskawy lub fioletowy, że zieleń pod wpływem słońca przemienia się w barwę żółtawą lub refleksuje niebiesko, w cieniach zaś syci się granatem lub tonie w błękitno-fioletowej mgle, zwłaszcza kiedy się ją ogląda „pod światło". — Spostrzeżono wreszcie, że intensywność słonecznego blasku bywa tak silna, iż dorównanie jej przy pomocy farb jest nieosiągalne. Ponieważ farba na skutek wymieszania jej z inną traci często na sile i światłości, impresjonizm używa barw raczej czystych, kładzionych obok siebie w ten sposób, że ich skrzyżowania dokonują się dopiero na siatkówce oka, co określa się terminem dywizjonizmu (dzielenia, rozbicia barwy na części składowe). Nawiasem warto dodać, że ten proces różniczkowania i rozbijania przedmiotu na cząsteczki, a więc jego jak gdyby atomizacja, dokonana zresztą w późniejszej teoretyzującej fazie impresjonizmu, zwraca myśl znowu do odkryć fizykalnych, a mianowicie do dokonanego przez naukę rozłoże-

nia materii na atomy. Czy między teorią atomiczną a dywizjonizmem malarskim można przerzucić jakiś pomost, trudno ustalić, ale równoległość tych zjawisk jest uderzająca.

Podział koloru na jego składniki następuje np. drogą stosowania różnobarwnych, wąskich smug, kresek lub plamek barwnych, t. zw. przecinków, zastąpionych przez niektórych malarzy (Seurat, Signac), kropkami, na skutek czego tę odmianę impresjonizmu określa się nazwą „pointillisme'u" (kropkowania). Dywizjonizm rozwija się zatem czy raczej przekształca w dwojaki sposób: albo prowadzi do wspomnianego pointylizmu, albo przez rozszerzanie się wolumenu kreski czy kropki do posługiwania się plamą, zwykle skontrastowaną z kolorem sąsiednim Stąd trwałość nawet w malarstwie późniejszym przekazanej przez dywizjonizm tendencji do kładzenia barw ciepłych obok zimnych a więc żółtej, czerwonej lub pomarańczowej obok błękitnej, niebieskawo - zielonej, niebiesko - fioletowej itd., wzmocniona znajomością prawidła optycznego o automatycznym jak gdyby uzupełnianiu się koloru barwą dopełniającą. Chodzi tu o złudzenie optyczne, jakie sprawia, że kolor np., czerwony na tle białym, zabarwia tę biel zielenią, niebieski odcieniem pomarańczowym i odwrotnie. Celem wyjaśnienia zasady barw dopełniających trzeba sobie uprzytomnić, że istnieją trzy barwy zasadnicze: czerwona, żółta i niebieska oraz, że reszta kolorów, pochodzi z mieszania tych barw; barwą dopełniającą czerwieni jest zatem zieleń, powstała z wymieszania dwóch pozostałych, tj. żółtej i niebieskiej, dopełnieniem żółtej jest fiolet w wyniku zmieszania czerwonej z niebieską, uzupełnieniem niebieskiej jest barwa pomarańczowa jako rezultat skrzyżowania żółtej z czerwoną Według wspomnianego prawidła, barwy rzucają więc na siebie pewnego rodzaju refleksy, określone kolorem dopełniającym, co w sposób niewątpliwie przesadny wyzyskuje pointylizm, przekształcając się na system zbyt mechaniczny, na rodzaj matematyki kolorów, zmierzającej w rezultacie do niwelacji wielobarwnej wizji świata. Albowiem ścisłe przestrzeganie prawidła barw dopełniających prowadzi do zszarzenia koloru; bo zmieszanie trzech barw zasadniczych daje barwę czarną (jako taką odrzuconą przez impresjonizm).

To też w praktyce rasowi i wrażliwi malarze doby impresjonizmu nie korzystają z norm optycznych w sposób dosłowny, lecz kierują się subiektywnym odczuciem, zastępując „matematykę" swobodną kombinacją plam barwnych, w gruncie rzeczy zawisłą tylko nieznacznie od sztywnej zasady programo-

wej. Podobnie przedstawia się ich stosunek do praktyk techniczno-fakturowych, bo poza nielicznymi wyznawcami skrajnego, doktrynalnego dywizjonizmu (pointylizmu), nie poprzestają ani na mechanicznym przecinku, ani na drobnej plamce, lecz w miarę potrzeby wewnętrznej stosują w granicach obrazu różne pociągnięcia pędzla, nawet szeroką smugą lub plamą barwną wraz z akcentowaniem konturu. Zasady impresjonizmu należy zatem traktować tylko jako teoretyczny schemat, rozluźniany nadzwyczaj często przez kapryśny i twórczy pęd życia, który tłumaczy wspomniane na początku rozdziału różnice między poszczególnymi koryfeuszami nowego malarstwa.

Jak każdy ruch opozycyjny, tak samo impresjonizm (który był reakcją na akademizm i odtwórczy naturalizm) grzeszył często przesadą, a więc nadmiernie silnym uwydatnianiem cech nowych. Dążenie do świetlistości oraz zasada barw dopełniających prowadziły nieraz do przebielenia lub zszarzenia obrazu, — dostrzeżone przekształcenia koloru lokalnego pod działaniem słońca, skłaniały do nadmiernego uwydatniania tych zmian, na skutek czego dochodziło znowu do przeniebieszczeń przez nadużycie błękitnych cieni i refleksów nieba. Wreszcie, przemiana rzeczywistości na płynny wir świateł i cieni, jako zjawisko zbyt jednostronne, groziła nadużyciem efektów światła kosztem konstruktywnego elementu mas, co z kolei wywołało reakcję Cézanne'a, a w inny sposób Seurata.

Albowiem jedną z konsekwencyj optyki impresjonistycznej była dematerializacja przedmiotu w przypadku, kiedy ich realne byty przemieniały się wyłącznie na zjawiska świetlne i kolorystyczne. W ślad za tym przyszło odwartościowanie motywu, boć prawidła optyczne rządzą tak samo koronkową masą katedry jak koszarowym budynkiem użyteczności publicznej, co tłumaczy okrzyk bohatera powieści Prousta, obcującego z wybitnym przedstawicielem impresjonizmu: „nie ma gotyku, nie ma arcydzieł, szpital bez stylu wart jest tyleż co wspaniały portret", — „nie ma rzeczy bardziej lub mniej cennych, pospolita suknia i żagiel ładny sam w sobie to są dwa zwierciadła tego samego odbicia, cała wartość jest w spojrzeniu malarza", — co dziwnie przypomina słowa Pankiewicza „niema drzew, niema przedmiotów, jest tylko wrażenie, wywołane wibracją na siatkówce oka". Czynnik światła niweluje i odrealnia także człowieka, bo wśród gwałtownych kontrastów światła i cienia ginie tradycyjny modelunek, określający jego odrębność (np. w stosunku do wiotkiej substancji

listowia) i zacierają się szczegóły fizjognomiczne, zastąpione jasnymi lub ciemnymi plamami. W ten sposób człowiek zostaje wtopiony w naturę i ulega tym samym prawom optycznym co ona. W rezultacie zarówno człowiek jak drzewo składają się z takich samych wibrujących plamek czy przecinków.

W tej jednostronnie optycznej postawie malarstwa tkwi przyczyna poprzestawania na skromnych, powszednich motywach, co z czasem doprowadzi do nowej przedmiotowości, gruntowanej np. na „niemalowniczych" fragmentach urbanistycznego pejzażu (Utrillo). Impresjoniści zyskują nowe widzenie przedmiotu, które jak zawsze w dziejach sztuki, musi spowodować nowy konwencjonalizm. Poprzestają np. na pozornie przypadkowych wycinkach natury, przecinają przedmioty ramą malowidła, odkrywają nowe skróty perspektywiczne (Degas), albo je odnawiają, np. przez umieszczenie modeli poniżej linii oczu (Bonnard), dzięki czemu stół z martwą naturą upodabnia się do równi pochyłej a horyzont podnosi się wysoko ponad ramy obrazu. Wynalezione przez nich, bardzo pomysłowe stopy naturalistycznych treści tematowych z nowym kolorem i nową perspektywą, posiadają nieraz dużo uroku, a ich znaczenie dla współczesnego malarstwa można chyba porównać ze znaczeniem perspektywicznych odkryć Mantegny dla sztuki renesansu. Indywidualny styl takiego Degasa, Toulouse-Lautrec'a, a także ich towarzyszy dowodzi wreszcie ponad wszelką wątpliwość, że nowa forma bynajmniej nie tłumiła tradycji tematu, równie ważnej w impresjonizmie jak w sztuce dawnej.

Następstwem naczelnej tezy impresjonizmu, zmierzającej do odtwarzania indywidualnych wrażeń wzrokowych, narażonych jak wszystkie wrażenia na zmącenie przez wrażenia nowe, staje się, jak wiemy praca pośpieszna, odsłaniająca wszystkie składniki faktury, a więc wzajemne stosunki między funkcjami: pędzla, farby i płótna, od których zależy materialny byt dzieła. Tym tłumaczy się łączenie w obrębie dzieła dwóch przeciwnych wartości, bo eterycznego żywiołu światła z materialnością obrazu, która w formie tak oczywistej i wyraźnej pojawia się bodaj po raz pierwszy w dziejach sztuki. W tym szczerym pokazie technicznych środków wyrazu, w ujawnieniu całej malarskiej „kuchni" leży przyczyna owej przysłowiowej już fazy „niezrozumialstwa" nowego kierunku. Był bowiem czas, że szeroki ogół nie umiał dostrzec w impresjonizmie nic więcej poza dowolnymi kleksami, pośród których gubił się konkretny kształt rzeczy.

Właściwe impresjonizmowi demonstrowanie techniki przetrwało okres właściwego impresjonizmu i utrzymało się nawet wówczas, kiedy pośpieszne notowanie wrażeń, zresztą nie zawsze przestrzegane nawet przez sam impresjonizm, zastąpiła powolna, konstrukcyjna praca kontynuatorów, ale i antagonistów tego kierunku w rodzaju Cezanne'a. W ten sposób rozpoczął się pierwszy na tę skalę w dziejach okres specjalizacji sztuk plastycznych, polegający na nadmiernym uwydatnieniu rzemiosła i jego nieraz skomplikowanych praktyk, na dążeniu do t. zw. czystego malarstwa, które w swych postaciach granicznych zbliżało się do abstrakcyjnych konstrukcyj, a przedmioty traktowało tylko jako punkty wyjścia, jako pewnego rodzaju kanwę pod kolorystyczne np. zestroje. W impresjoniźmie więc należy szukać źródeł hermetyzmu współczesnej sztuki i przyczyn rozdźwięku między światem twórców i odbiorców sztuki.

Próba wyczerpania złożonej istoty impresjonizmu, tego kierunku wielotorowego i wielopostaciowego, wymaga również zwrócenia uwagi na takie cechy formalne, które kolidowały z jego fizykalno-optycznym założeniem. Poza wspomnianą już cechą materialności obrazowej trzeba tu jeszcze uwzględnić zagadnienie konturów i specyficznej kaligrafii, właściwej pewnym tworom impresjonizmu. Wartości te bynajmniej nie nowe w sztuce europejskiej, zostały wówczas przypomniane przez malarstwo i drzeworytnictwo japońskie, przenikające do Europy w wyniku zainteresowań, jakie budziło odrodzenie kraju wschodzącego słońca. Motyw japońskich drzeworytów uwzględnił już Manet w tle portretu Zoli, płaszczyzna i linia grają dużą rolę w jego „Olimpii"; stanowi ona integralny czynnik w wielu obrazach Degas'a i Lautrec'a a dominuje w kompozycjach Gaugin'a. Degas podziwiał jeszcze w drzeworytach Utamaro i Hokusaia motyw ułamkowego, trudno uchwytnego ruchu, który odegrał z kolei tak zasadniczą rolę w jego baletowych scenach. Tak samo na drzeworyt japoński, jako swe źródło, zdaje się wskazywać stosowany nieraz przez impresjonizm wysoki horyzont, aczkolwiek był on już znany dawnym mistrzom, że wymienimy Piotra Breughela starszego. Z kwestią linii i płaszczyzny łączy się na zasadzie antytezy problem impresjonistycznej przestrzeni, pojmowanej bardzo rozmaicie. Wieloplanowa przestrzeń, rozłożona na strefy, coraz to silniej rozpuszczana w atmosferze, trwa np. w malarstwie Moneta, istnieje u Cézanne'a, jako system granic, zamykających konkretne bryły przedmiotów,

zanika zaś u prymitywisty Gaugin'a zastąpiona płaskim dywanem dużych plam barwnych o zdecydowanie dekoracyjnym znaczeniu, podkreślonym linią (ligne abstraite).

U niektórych malarzy pojawia się zupełnie nowe rozwiązanie antynomii „przestrzeń — płaszczyzna" przez położenie nacisku na powierzchnie obrazu. Znamienne pod tym względem było malarstwo Pissarra, który rezygnując z linii oraz szerokiej, płaskiej plamy barwnej, a równocześnie wyzyskując metodę dywizjonizmu, „ulepia" obraz z drobnych smug i plam barwnych, nakładanych w grube grudkowate warstwy i w rezultacie tworzy wibrującą w sensie kolorystycznym i materialnym, raczej płaską powierzchnię, podobną do gruboziarnistej lecz szlachetnej tkaniny. W malowidłach Van Gogha następuje powiązanie elementów graficznych, z szorstką powierzchnią malarską utworzoną przez drobne, wibrujące kreski przy czym przestrzeń zostaje podporządkowana jednolitej materii malarskiej. Oryginalne przełamywanie przestrzeni uderza w niektórych kompozycjach Bonnard'a, opartych na zwielokrotnionej perspektywie w wyniku swobodnego przesuwania „punktu oka" w obrębie granic obrazu, realizującego w pierwszym rzędzie cele kolorystyczne. Zainicjowana przez impresjonizm materialność obrazu stała się trwałą zdobyczą współczesnego malarstwa, jak świadczą o tym między innymi płótna Cézanne'a, a u nas Aleksandra Gierymskiego, Podkowińskiego, Pankiewicza itd., a w szczególności najmłodszego pokolenia malarzy polskich. Ów czynnik materii przybierze postać skrajną i dziwaczną u niektórych kubistów i różnego typu „konstruktywistów" (?), którzy urozmaicają powierzchnię obrazów autentycznym tynkiem, drzewem, papierem, kaszą itp.

Opisanych cech impresjonizmu nie należy pojmować w ten sposób, że stanowią one nieodłączny atrybut wszystkich dzieł tego kierunku, że w każdym obrazie pojawiają się razem. Cechy te tworzą pewne związki, nie zawsze kompletne i o tyle swobodne, że raz wysuwają się na czoło jedne z owych czynników, kiedy indziej drugie. W niektórych obrazach zwraca np. uwagę rozbicie koloru na cząstki składowe (dywizjonizm), w innych element światła i powietrzności, to znowu materialność powierzchni, a nawet tradycyjna zasada wspólnego tonu barwnego. Z cech tych może najmniej trwałymi okazały się skrajny dywizjonizm i pointylizm, stosowane przez nieliczną grupę malarzy, zdobyczami zaś aktualnymi po dzień dzisiejszy: alokalny koloryt, odmieniony znacznie

w stosunku do przyrodzonej barwy przedmiotu nawet wówczas, kiedy pomija się czynnik bezpośredniego światła słonecznego, następnie swoboda faktury i dekonspiracja środków wyrazu, z czym łączy się kwestia „materii malarskiej", utkanej z różnorodnych smug i grudek farby. Do jakiego stopnia pomijano już w epoce wczesnego impresjonizmu programowe zasady tego kierunku, świadczą o tym niektóre, prawie monochromiczne płótna Moneta z przedstawieniem szarych i błotnistych dni francuskiej zimy lub obrazy Pissarra, który w kolorze, odmienionym wprawdzie pod wpływem powietrza i światła, widział często czynnik dekoracyjny, stosowany w wspomnianych, porowatych, jakby dywanowych konstrukcjach. Impresjonizmowi doktrynalnemu przeciwstawiał się też Renoir, kiedy malował np. w świetle pracownianym piękne portrety kobiece, nawiązujące do wytwornej sztuki XVIII wieku lub budował mocne, statycznie pomyślane akty o jedwabistym naskórku, oblane zwykle przezroczystym, różowo-zielonkawym światłem.

To też nie jest chyba błędem metodologicznym cytowanie w ustępie, poświęconym teorii impresjonizmu nazwisk malarzy, zaliczanych do postimpresjonizmu lub łączonych z kierunkami innymi, skoro malarze ci byli dziedzicami wartości, odkrytych przez impresjonizm, skoro wreszcie sami impresjoniści rezygnowali dość często z dogmatów swojej artystycznej wiary. W dogmatycznych nalotach kierunku tkwi bowiem zarzewie reakcji, której najbardziej typowym rzecznikiem zostanie Cézanne, zmierzający do pełnego opanowania natury w oparciu o konkretne masy trójwymiarowych przedmiotów, podejmujący ambitną próbę przymierza między naturą, roztopioną w atmosferze i świetle, a naturą z brył materialnych, mocno osadzonych w przestrzeni. Na typową dla impresjonizmu płynność i akonstrukcyjność odpowiedział Cézanne systemem konsystentnych mas, upraszczanych i deformowanych w dążeniu do swoistego geometryzmu, syntezy formalnej i swoistej monumentalności na nieuchwytną wibrację koloru zdecydowaną plamą barwną, — na przypadkowość „wycinka" natury przemyślaną i logiczną budową całości. Zainicjowana przez Cézanne'a reakcja osiągnie swój punkt szczytowy w kubiźmie, w jego przesadnych i absurdalnych kreacjach, które chociaż były wyrazem dalszej pogoni za konkretem, uległy wynaturzeniu w pętach mechanicznej abstrakcji.

Mimo wciąż ponawianych wysiłków w kierunku przezwyciężenia impresjonizmu, olbrzymie znaczenie tego kierunku

nie powinno budzić żadnych wątpliwości. Impresjonizm odmienił bowiem całkowicie dawną wizję świata przez ujarzmienie tak doniosłego dlań czynnika, jak słońce. Odkrycie zasady słonecznego światła ma w sobie coś z kopernikowskiego przewrotu w pojmowaniu ruchów ciał niebieskich. Znaczenie tego odkrycia można ocenić tylko przez uprzytomnienie sobie faktu, że od początku swego istnienia aż do trzeciej ćwierci XIX w, malarstwo pejzażowe posługiwało się konwencjonalnym, ustalonym w obrębie pracowni kolorem, którego związek z rzeczywistością mimo ustawicznych studiów nad naturą, był zawsze dość luźny. Ten stan rzeczy uległ całkowitej przemianie dopiero dzięki kilku genialnym pionierom nowej prawdy, których odkrycie nosi cechy szczęśliwego przypadku Nie można go bowiem wytłumaczyć wyłącznie rozwojem nauk fizykalnych; nie ulega wprawdzie kwestii, że grunt pod impresjonistyczne widzenie światła przygotował rozwój nauk przyrodniczych, dokonany w XIX wieku, że bez szeregu odkryć w dziedzinie optyki, impresjonizm nie mógłby powstać, — lecz z drugiej strony wiadomo także, iż współzależność między nauką a sztuką przedstawiała się zawsze dość problematycznie; np. plastyki greckiej nie można wytłumaczyć ówczesnym stanem wiedzy o człowieku, tak samo, jak prymitywizmu pewnych odłamów współczesnej sztuki stanem nauki dzisiejszej, o ileż dojrzalszej od wiedzy starożytnych.

Impresjonizm, jak wszystkie wartości duchowe, może być zwalczany przez współczesnego człowieka, istotę niecierpliwą i kapryśną, zbłąkaną w labiryncie haseł i gąszczu ideowych powikłań. Wprawdzie właśnie impresjonizm zapoczątkował fazę kalejdoskopowych przemian w sztuce XX w., i wywołał nawet różnorodne, przeciwstawiane mu — izmy, od których zaroiło się w naszych czasach; — jednakże musi się uznać, że natura impresjonizmu jest inna od owych efemerycznych zjawisk artystycznych, trwających na ogół krócej, niż życie ich odkrywców i propagatorów. W impresjonizmie tkwią bowiem wartości zjednoczone z „prawdą" świata, która w swej istocie jest wieczna i niezmienna. Część tej prawdy odkrył w swoim czasie geniusz artystyczny Greków, których dzieło stało się trwałym i zawsze aktualnym dorobkiem twórczym człowieka. Wolno przypuścić, że również impresjonizm wyzwolił tak istotną część prawdy, iż będą ją zawsze odnawiały i przypominały powrotne fale kultury.

Stefan Kieniewicz

SPRAWA WŁOŚCIAŃSKA A SPRAWA NIEPODLEGŁOŚCI W DOBIE POROZBIOROWEJ*)

Od czasów kościuszkowskich i legionowych, poprzez artykuły Mochnackiego, manifesty Wielkiej Emigracji i dekrety naszych Rządów Narodowych snuje się nieprzerwanym pasmem ta jedna myśl: że rozwiązanie sprawy włościańskiej stanowi pierwszy i niezbędny warunek odzyskania niepodległości. Zarówno ówczesna publicystyka, jakt i późniejsze historyczne badania wskazują zgodnie na ścisłą zależność procesu emancypacji włościan od współczesnych walk niepodległościowych. Przyznają to uczeni różnych kierunków i szkół naukowych: Lelewel i Kalinka, Limanowski i Bobrzyński, Grabski i Świętochowski, — aż do dzisiejszych badaczy. Zagadnienie współzależności dwu spraw: włościańskiej i niepodległościowej jest jednym z najstarszych, a kto wie, czy nie najważniejszym w historiografii naszych dziejów porozbiorowych.

Mimo to nie zdaje się ono bliskim rozwiązania. Uprzytomnijmy sobie kilka zasadniczych zapytań:

o ile chłop polski współdziałał z ruchami niepodległościowymi, a o ile się im przeciwstawiał?

o ile wzgląd na chłopa wzmacniał, a o ile osłabiał akcję powstańczą?

o ile chłop zawdzięcza zdobytą swobodę przywódcom naszych powstań, a o ile rządom zaborczym?

Na tego rodzaju pytania polscy i obcy badacze udzielają po dziś dzień rozbieżnych odpowiedzi. Nowsze badania Kirkor-Kiedroniowej, Kniata, Kostołowskiego, Grynwasera, oparte o drobiazgowe poszukiwania archiwalne, o liczby i o fakty, rzuciły już sporo rzetelnego światła na temat naginany tak często do celów nauce obcych. Przecież syntetycznego obrazu dotąd nie dały. W ramach jednego artykułu nie będę się kusił o rozstrzygnięcie zagadnienia tej miary. Pragnę tylko w największym skrócie ukazać na przestrzeni czasu od końca

*) Rozszerzony wykład habilitacyjny, wygłoszony na Uniwersytecie Jagiellońskim w dniu 4 lutego 1946 r.

18-go do początku 20-go wieku schemat wzajemnego splatania się i zazębiania tych dwu kapitalnych spraw. Walki ujarzmianego narodu o odzyskanie wolności i dążeń mas ludowych do poprawy bytu.

I.

Naród pozbawiony własnego państwa, poddany działaniu obcej i wrogiej sobie machiny państwowej ostać się może i odzyskać wolność tylko przy posuniętej daleko solidarności członków oraz wysokim stopniu ich uświadomienia. W dawnej, upadającej Polsce pod tym względem źle się działo. Chłop polski — a więc ponad 70 % mieszkańców kraju — żył od stuleci w ciemnocie i nędzy i bez opieki prawa. Być może poddaństwo jego było lżejsze, niż w niektórych krajach ościennych, za to poziom życia z pewnością był dużo niższy, niż na zachodzie Europy. Chłopi w dobrach prywatnych — około 40 % ogółu ludności — nie mieli od niepamiętnych czasów żadnego w ogóle kontaktu z państwem; nie dosięgał ich urząd, ani sąd, ani służba wojskowa. Z górną warstwą narodu nie mieli wspólnego nic, prócz wiary katolickiej. Nawet gwara ludowa — czyż była podobna do zdobionej łaciną mowy „urodzonych"? Dwie odrębne kultury, dwa przeciwne światy! A trzeba było w walce z obcym panowaniem odwołać się do pomocy tych warstw odtrąconych i zepchniętych na dno. Jedyną drogą, wiodącą do tego celu było włączenie ich do społeczności narodowej. W najdalszych swych konsekwencjach program ten możnaby sprowadzić do następujących dwu punktów:

1) poprawa bytu gospodarczego i kulturalnego chłopa — a więc uwłaszczenie i oświata ludowa;
2) wprowadzenie go do biernego i czynnego udziału w życiu państwa — a więc zniesienie poddaństwa i przyznanie włościanom praw politycznych.

Nie rozwiązała żadnego z tych zagadnień epoka stanisławowska, zaprzątnięta bardziej naglącymi reformami: rządu, skarbu i wojska. Większość reformatorów i publicystów z tej doby uznawała potrzebę uwolnienia chłopa spod władzy pana; za to dla gospodarczej strony problemu mniej miała zrozumienia. Prądy Oświecenia złagodziły nieco stosunek poddańczy po starostwach i latyfundiach, ale było to wyłączną zasługą inicjatywy prywatnej. Nawet Staszic, który tak wymownie potępił pańszczyznę, przy konkretnych wskazaniach ograniczył się do postulatu dokładnego określenia

ciężarów poddańczych, z możliwością zamiany ich na czynsze. Tym mniej zrozumieć mogła potrzebę uwłaszczenia rządząca warstwa szlachty — posesjonatów. Dzień 3-ci maja dał ludowi wiejskiemu tylko gołosłowną zapowiedź poprawy doli. I dopiero Kościuszko, postać na ówczesne stosunki zupełnie wyjątkowa, zapewnił wszystkim chłopom wolność i opiekę państwa, nieusuwalność z ziemi i ulżenie ciężarów. Ale były to już ostatnie miesiące naszej niepodległości. Uniwersał Połaniecki ostał się w naszych dziejach raczej jako program na przyszłość, niż jako czyn doraźnie twórczy.

Podjęły tedy sprawę włościańską, każde po swojemu, państwa zaborcze. Prusy poddały stosunki wiejskie szczegółowej kontroli administracji państwowej, z głównym celem gospodarczym usprawnienia rolnictwa. Politycznie zaszachowały szlachtę, wtrącając się w stosunki poddańcze. Chłop odczuł poprawę bytu, ale niebawem napotkać miał nowe niebezpieczeństwo: kolonizacji niemieckiej. Austria bardziej jeszcze drobiazgowo, niż Prusy, ustaliła raz na zawsze rozmiary gruntów, ciężarów i wzajemnych świadczeń pana i poddanych. Zaostrzyła świadomie stosunek wsi do dworu, stając pomiędzy nimi w roli rozjemcy. Chłop znalazł w rządzie nowego protektora, ale wnet ugiął się pod podwójnym ciężarem: podatków i służby wojskowej. Zupełnie przeciwną drogą poszła Rosja carska: zaostrzyła w Ziemiach Zabranych poddaństwo, wprowadzając osobistą niewolę. Opornych ziemian wyniszczyła konfiskatami, a resztę zjednała sobie, zwiększając ich dochody. Różne metody trzech zaborców zmierzały do tego samego celu. Kwestia włościańska stała się w ich rękach naczelnym środkiem rozdwajania i poddawania sobie społeczeństwa polskiego.

W Galicji i Wielkopolsce chłop od ucisku pańskiego uciekał się pod opiekę urzędnika Niemca. Na Litwie szlachcic przyklaskiwał zaborcy, który pozwalał mu handlować „duszami". I tylko w Legionach Dąbrowskiego, zdala od ziemi polskiej — przedmiotu konfliktu — mogli fraternizować w demokratycznym duchu oficer-szlachcic z żołnierzem-chłopem, byłym rekrutem cesarskim.

II.

Nadszedł rok 1806. Przywódcy Legionów wracają do kraju z bronią w ręku, jako zwycięscy. Zdawałoby się, że teraz nadeszła pora wcielenia rewolucyjnych haseł, układanych „na ziemi Auzonów". Wypadki poszły innym torem. Napo-

leon był realistą. Odbudowywał państwo polskie, bo potrzebował szybko polskiej armii. Urządzał własną placówkę zbrojną pomiędzy Prusami a Rosją; oddał ją w ręce tych ludzi, którzy w kraju najwięcej znaczyli, to jest ziemiaństwa. Nie mógł tracić czasu na dogłębne przewroty, ani też wtrącać szlachty w ramiona cara Aleksandra. Narzucił Księstwu Warszawskiemu tylko te reformy, które uznał za niezbędne dla swoich doraźnych celów.

Tragizm dziejów porozbiorowych polegał na tym, że warstwa społeczna najbardziej uświadomiona narodowo, warstwa utożsamiająca się z narodem miała — z tytułu posiadania folwarków pańszczyźnianych — największą trudność w rozwiązaniu problemu, który był dla narodowego bytu najważniejszym.

Napoleon powiedział: „znosi się niewolę". Z uchyleniem tego zagadnienia wysuwało się na pierwszy plan następne, do tej pory nieaktualne, teraz najbardziej istotne: czyją własnością jest ta ziemia, którą chłop uprawiał od wieków? Byli w rządzie Księstwa ludzie światli jak Małachowski, Łuszczewski, Wojda, którzy skłaniali się ku rozwiązaniu jak na owe czasy najbardziej racjonalnemu: pozostawieniu dziedzicom gruntów folwarcznych, przyznaniu chłopom gruntów wiejskich, odszkodowaniu dziedziców przez zamianę pańszczyzny na czynsze. Za daniem chłopu pełnego tytułu własności przemawiali Kościuszko i Staszic. Wbrew tym głosom przeważył w Radzie Stanu wpływ ministra Łubieńskiego i krańcowo pojęty interes 4 tysięcy właścicieli ziemskich.

Dekret z 21 grudnia 1807 nie expressis verbis, ale w swych konsekwencjach wyrażał zasadę, że cała ziemia jest własnością pana, a chłop ma prawo odejść z niej, jeśli chce, ale z pustymi rękoma. Przy braku zatrudnienia poza wsią oddawało to chłopa na łaskę dotychczasowego pracodawcy, w praktyce oznaczało utrzymanie, albo i obostrzenie pańszczyzny. Ucieczka chłopów od roli pociągała za sobą spadek uprawy oraz uszczuplenie gruntów wiejskich na rzecz folwarków. Czas był trudny, wojenny, kryzysowy, niesprzyjający reformom. Ale to nie zmienia faktu, że autorzy dekretu grudniowego prześlepili sposobność uzdrowienia stosunków wiejskich i skonsolidowania narodu.

Drugą taką sposobność zmarnowano w 1814 r. Aleksander I w przededniu kongresu wiedeńskiego zabiegał o zjednanie sobie Polaków. Zależało mu też na przelicytowaniu Prus,

które zniosły w międzyczasie poddaństwo. Ze wszechmiar skłonny był uwzględnić postępową tendencję swoich nowych poddanych. Adam Czartoryski, postawiony przez niego na czele Komisji Włościańskiej, należał w zasadzie do zwolenników oczynszowania. Raz jeszcze w duchu postępu odezwał się głos Kościuszki, gdy w testamencie zapisywał włościanom grunta w majątku swym Siechnowiczach. Komisja Włościańska rozpisała z Warszawy ankietę, a zapytani przedstawiciele ziemiaństwa i biurokracji wypowiedzieli się w większości za zostawieniem wszystkiego po dawnemu. Nikt się nie znalazł, ktoby zrozumiał wagę zagadnienia. Konstytucja 1815 r. zapewniła chłopu tylko prawo zakupywania ziemi na własność za gotówkę, . . . której chop i tak nie posiadał.

Odtąd przez lat 15 głucho było o sprawie włościańskiej w zaborze rosyjskim. Podniósł się na Litwie w 1817 r. głos szlachty za uwolnieniem chłopa, ale była to raczej demonstracja polityczna, pierwszy krok do spodziewanego złączenia z Koroną, niż przemyślana próba reformy społecznej. O uwłaszczeniu nie było mowy w Wilnie jak i w Warszawie.

Różnorodne były przyczyny tego milczenia. Postęp gospodarki rolnej (płodozmian, hodowla owiec, gorzelnictwo, nowe narzędzia uprawy) był dopiero w zaczątku. Słabe upieniężnienie kraju utrudniało właścicielom folwarków porzucenie starodawnej pańszczyzny i przejście na współcześniejszy system najemniczy. Ogół ziemiaństwa nie odczuwał potrzeby takiej zmiany; za to korzystał z ustawowych możliwości dla rugowania chłopów. Postępowała proletaryzacja wsi: w 1830 r. liczyło Królestwo 30 % chłopów bezrolnych. Tak wielki rezerwuar siły roboczej ułatwiał w zasadzie przeprowadzenie reformy (oczynszowania, bądź uwłaszczenia) i przejście folwarków na gospodarkę najemniczą. Ale kryzys cen na płody rolne czynił rolnictwo mało opłacalnym. Założenie T-stwa Kredytowego z trudem ratowało majątki ziemskie, obciążone nad miarę jeszcze od czasów pruskich. Moda była na przemysł; zresztą niezaprzeczalnie potrzebny krajowi; dla przemysłu zaś było na rękę usuwanie z gruntu rąk roboczych. Minister Lubecki z myślą o swoich fabrykach nie tylko że nie wywierał na ziemian nacisku w kierunku oczynszowania, ale sam zupełnie zaniechał czynszowania dóbr narodowych, ogromnych obszarów, obejmujących podówczas 20 % powierzchni, a 27 % zaludnienia wsi. Lubecki nosił się z myślą wyprzedania tej ziemi w celu zdobycia środków na uprzemysłowienie kraju; ale nie chcąc stawiać czoła szlacheckiej opinii, zaniedbał

nawet zabezpieczenia losu tych włościan, których wypuszczał spod opieki państwa. A przecież Prusy zdobyły się już wcześniej na reformę uwłaszczeniową, jakkolwiek niezbyt korzystną dla chłopa.

Można tutaj zaznaczyć, że Petersburg, że wpływ Nowosilcowa nie byłby dopuścił w tym czasie do śmielszej przebudowy ustroju rolnego. Rzecz leży jednakowoż w tym, że w Warszawie nie odczuwano wogóle potrzeby takiej przebudowy. Współczesna doktryna ekonomiczna sprzeciwiała się interwencji państwa w życie gospodarcze. Trudno dziwić się szlachcie; ale także inteligencja polska, wyżywająca się w literaturze, publicystyce i konspiracji, prawie nie zajmowała się zagadnieniem włościańskim. Możliwość rozbudowy oświaty ludowej zaprzepaścił minister Stanisław Grabowski. Przedstawicielem państwa był na wsi wójt zależny od dziedzica. Chłop zaczynał wyczuwać anormalność stosunków, tu i ówdzie wobec uroszczeń dworu burzył się i domagał swojego prawa.

Milczenie dokoła włościan przełamane zostało w początku 1830 r., jakby dopiero w przededniu starcia z Rosją patrioci zainteresowali się postawą większości mieszkańców kraju. Mało znany autor Żukowski wydał na kilka miesięcy przed powstaniem broszurkę, uzasadniającą potrzebę zniesienia pańszczyzny. Jednym z jego argumentów była potrzeba rozbudzenia wśród włościan poczucia narodowego polskiego. — „Tylomilionowa ludność tej klasy — pisał Żukowski — jest w stosunku z życiem publicznym cale martwą i za nie egzystującą uważaną być może. Włościanin nasz zaledwie wie o tym, że jest Polak". — Na sesji sejmowej 1830 r. znany poseł i działacz radykalno-społeczny, Jan Olrych Szaniecki, wystąpił z petycją o zniesienie pańszczyzny. Petycję odrzucono znaczną większością, po części głosami wybitnych wkrótce działaczy powstańczych. Za to Senat, pod natchnieniem Adam Czartoryskiego, wypowiedział się wówczas za podjęciem oczynszowania w dobrach rządowych z tą myślą właśnie, ażeby dać przez to przykład prywatnym właścicielom.

Bobrzyński w III tomie „Dziejów Polski" postawił tezę, że szlachta polska w 1830 r. podjęła rewolucję polityczną, aby zażegnać grożącą jej rewolucję społeczną. Sąd krańcowy o tyle, że nie szlachta przecie przygotowała i wywołała powstanie. Słuszny po części, jeżeli chcieć wytłumaczyć przystąpienie szlachty do ruchu po Nocy Listopadowej. Niewą-

tpliwie wchodziły tu w grę motywy bezinteresowne: patriotyzm, honor, rachuba na zagranicę. Ale obok nich działał niezbicie i ten wzgląd samozachowawczy: nie dopuścić żywiołów skrajnych do wykorzystania przeciwko ziemianom włościaństwa. Po raz pierwszy zarysowuje się stały odtąd schemat polityki „białych": szlachta przyłącza się do ruchu narodowego, opanowuje w nim pozycje kierownicze i miarkuje jego rozpęd rewolucyjny. Zwykłe następstwa takiej polityki: to szybkie rozrastanie się ruchów nawet niewczesnych, a następnie obumieranie tych ruchów w rękach przywódców nieoddanych im z głębi duszy. Tak to sprawa włościańska tłumaczy zarówno początkowe powodzenia naszych powstań, jako też ich ostateczne klęski.

Bardzo pouczające są losy sprawy włościańskiej w Sejmie rewolucyjnym 31 roku. Ci sami posłowie-ziemianie, którzy detronizowali cara Mikołaja i mieli za to potracić w konfiskatach ogromne fortuny, nie zdobyli się na reformę, która mogła była zaważyć na stosunku chłopa do sprawy niepodległości. O pańszczyźnie w dobrach prywatnych w ogóle nie wspomniano, oczynszowanie w dobrach narodowych zepchnięto z porządku dziennego sesji sejmowej. Skutkiem takiej postawy, dającym się wyśledzić z akt i pamiętników, było zrażenie się chłopa i chłodny (w większości) stosunek jego do sprawy powstańczej.

III.

Z nauki powstańczej spróbowała wyciągnąć wnioski Wielka Emigracja. W drugą rocznicę Nocy Listopadowej mówca Towarzystwa Demokratycznego Krępowiecki, powiedział brutalnie, że upadkowi powstania sami jesteśmy winni i że ciemiężenie chłopa jest główną przyczyną naszej politycznej niewoli. Mowa zgorszyła wychodźców, ale pogląd zdobył stopniowo prawo obywatelstwa. Lewicowa większość emigracji wyciąga stąd wniosek o konieczności reformy ustroju rolnego. Lelewel, Mochnacki, Mickiewicz, T-wo Demokratyczne wysuwają postulat uwłaszcznia włościan bez odszkodowania właścicieli. Skrajniejsze jednostki, jak Worcell i Świętosławski, podnoszą hasło zbiorowego władania ziemią.

Przejęcie się wychodźców sprawą ludu (ułatwione przez fakt, że ogół ich został wyzuty z ziemi) dało ciekawy psychologicznie efekt. Emigracja uwierzyła, że znalazła niezawodne lekarstwo na wszystkie nieszczęścia kraju, że wystarczy ogłosić w Polsce zniesienie pańszczyzny, a potęga zaborców runie, jak mury Jerycha. Programy emigracyjne

nie zagłębiały się w precyzowanie sposobów przeprowadzenia reformy, ani przyszłego urządzenia kraju. Emisariusze unikali z zasady bezpośredniego działania na lud, co było zresztą i trudne, i ryzykowne. Cały swój wysiłek zużywali na przekonanie szlachty o konieczności wyrzeczenia się przymusowej robocizny chłopskiej.

Przez chwilę zdawało się, że ta romantyczna sugestia udzieli się również krajowi. Kamieński i Dembowski, najwybitnejsi przedstawiciele krajowej konspiracji, szli jeszcze dalej, niż emigracja, zapowiadali stosowanie terroru wobec ziemian, którzyby się sprzeciwiali wolności. Berwiński, ulubieniec poznańskich salonów, deklamował wiersze o wymierzaniu sprawiedliwości obuchem i nożem. Młodzież ziemiańska spiskowała dość licznie, okazując nieraz więcej radykalizmu, niż emisariusze z Wersalu. Na emigracji obóz Adama Czartoryskiego po roku 1840 też doszedł do przekonania o konieczności likwidacji pańszczyzny (za odszkodowaniem dziedziców) i w tym kierunku wpływał na arystokrację krajową. Następstwem tych wysiłków była m. im. akcja lwowskiego Sejmu Stanowego, który podjął próbę przeprowadzenia reformy na drodze legalnej. „Pan Tadeusz", który nastrajał w tym czasie opinię całej Polski, kończył się społecznym akordem:

> Sami wolni, uczyńmy i włościan wolnymi,
> Oddajmy im na własność posiadanie ziemi.

A „szlachecki" poeta Krasiński, gdy wołał: „dać żniwiarzom wszystkim grunt, rozpłomienić święty bunt" — wypowiadał się przecie też za uwłaszczeniem. Wśród gorączki przygotowań powstańczych zdawało się, że szlachta z uniesieniem zdecyduje się na tę wielką jednorazową ofiarę która zmaże jej dawne winy i okupi wolność ojczyzny.

Złuda prysła nagle w zetknięciu z rzeczywistością. W Poznaniu na krótko przed wybuchem, jeden ze spiskowców, Henryk Poniński, zdradził policji pruskiej całą osnowę przedsięwzięcia. W Galicji zaś Jakób Szela poprowadził chłopów przeciwko dworom i przeciwko powstańcom. W jednym zaborze szlachcic, w drugim chłop szukał opieki obcego rządu przeciwko polskim rewolucjonistom. W Galicji u podłoża tragedii leżała sprawa włościańska, od której powstanie oczekiwało zbawienia. W Wielkopolsce Ponińskim powodowała małoduszność w wyższym stopniu, niż interes klasowy. Bądź co bądź było to także jaskrawe odstępstwo od zasady solidarności narodowej. Różny przebieg wypadków w Poznaniu

i Tarnowie tłumaczy się odmiennym układem stosunków gospodarczych i społecznych w jednej i w drugiej dzielnicy.

W zaborze pruskim reforma rolna lat 20-tych poszła jak najdalej na rękę właścicielom folwarków. Stworzyła niezbyt liczną warstwę zamożnych i samowystarczalnych gospodarzy, a dziedziców zaspokoiła czynszem. Stało się to kosztem wielkiej masy ludności bezrolnej, która pozostała w gospodarczej zależności od dworu. Z tego urządzenia szlachta korzystała podwójnie: raz, że zniesienie pańszczyzny zmniejszało płaszczyznę tarć pomiędzy nią, a chłopami; po drugie, że owa rzesza bezrolna zapewniała folwarkom taniego robotnika. Ten stan rzeczy tłumaczy liczne odrębności ruchów patriotycznych poznańskich w porównaniu do innych zaborów. Emigracyjne słowa potępienia dla już usuniętej pańszczyzny nie brzmiały tu tak groźnie w uszach szlachty; toteż w spiskach wielkopolskich młodzież ziemiańska uczestniczyła gromadnie. Liczną klientelę dworską wyrobników i komorników mógł ziemianin dość łatwo ciągnąć do ruchawki. Nawet ci starsi ziemianie, których w roku 46-tym brak wiary w powodzenie wstrzymał od udziału w ruchu, pójdą w dwa lata potem ławą do powstania, gdy uznają, że ma ono większe szanse.

Jednak i tutaj zgodność interesów ziemiańskich z patriotycznymi nie była całkowitą. Powstanie mogło łatwo przeistoczyć się w masowy ruch ludowy i sięgnąć z kolei po grunta folwarczne. Ten wzgląd nakazywał „białym" również w Poznańskim dbać o utrzymanie steru we własnym ręku i przeciwstawiać się ruchom o charakterze nazbyt radykalnym. Fakt charakterystyczny: Seweryn Mielżyński, sam konspirator, będący w stałym kontakcie z Wersalem, ostrzegał przecież miejscowego landrata przed knowaniami Stefańskiego, przywódcy „Związku Plebejuszy". W 1848 r. gdy Mierosławski obejmie dowództwo oddziałów powstańczych i spróbuje rozpętać „wojnę ludową", ziemiaństwo wbrew niemu zlikwiduje powstanie w ciągu tygodnia. A więc również w zaborze pruskim problem włościański krępował akcję niepodległościową, choć w mniejszym stopniu, niż w reszcie Polski.

Polityka rządu pruskiego myślała zjednać sobie obdarzonych ziemią gospodarzy polskich, ale się na nich zawiodła. W 1848 r. żywioł ten nie poparł rządu przeciw powstańcom, po części nawet wziął czynny udział w powstaniu. Złożyły się na ten fakt niezręczności administracji niemieckiej i propaganda patriotyczna, prowadzona głównie przez duchowień-

stwo polskie. Antagonizm narodowościowy polsko-niemiecki, rozbudzony pod wpływem powstania, przygłuszył wewnętrzno-polskie antagonizmy społeczne i stworzył pozorny obraz społeczeństwa solidarnego.

Wręcz przeciwnie działo się w Galicji. Polityka austriacka była drobiazgowa i nieżyciowa; machiawelska w założeniu, a chaotyczna w praktyce. Mocą ustawy pasowała dziedzica na gnębiciela, a urzędnika na dobroczyńcę włościan. Utrzymała bez zmiany ten jątrzący system przez lat 70, zrujnowała kraj i przywiodła do nędzy chłopów, którymi się opiekowała. Ogół szlachecki korzystał niefrasobliwie z dobrodziejstw systemu i przyczynił się do nagromadzenia na wsi materiałów palnych. Propaganda emisariuszy, którzy obiecywali rychły koniec pańskich rządów zwiększyła zamęt w nieoświeconych umysłach. I tak, gdy szlachta w pamiętne zapusty zaczęła siadać na koń, chłop zwrócił się przeciwko niej wszędzie tam gdzie znalazł przywódców. Było już „zasługą" urzędników austriackich, przerażonych tym, co się dzieje, a nienawidzących kraju z głębi duszy, że żywiołowy odruch włościan przybrał postać krwawej „rabacji".

Mało które zdarzenie w naszych dziejach porozbiorowych pociągnęło za sobą tyle złowrogich następstw, co owa rzeź — i to nie tylko w Galicji. By ograniczyć się do stosunków społecznych: rok 1846 rozczarował panów do chłopa; zniechęcił ich na długo do wszelkiej akcji wśród ludu; rozgrzeszył antagonizm szlachty wobec samodzielnego ruchu ludowego; zsolidaryzował ziemiaństwo z rządami zaborczymi. Ze swej strony obóz demokratyczny inteligencji polskiej odwrócił się z obrzydzeniem od chłopa, wyrzekł się roboty politycznej na wsi i tym samym popadł w zawisłość polityczną od szlachty. Wreszcie chłop stracił szacunek dla sprawy polskiej, a nie zdobył wiary we własne siły; opuszczony przez oświeconych rodaków, stracił niebawem poparcie obcego rządu, któremu zaufał. Pamięć o rzezi nie pozwoliła Galicji wykorzystać wypadków 48 roku. Rząd wyrwał Polakom z ręki zasługę uwłaszczenia, ale i tym razem nie załatwił sprawy włościańskiej w sposób zdrowy. Pomiędzy dworem, a wsią zostawił w zawieszeniu nierozstrzygnięty a jątrzący problem serwitutów.

Niemniej ważne były następstwa „rabacji" dla Kongresówki. Tutaj powolny postęp gospodarczy prowadził do tego, że pańszczyzna przeżywała się sama. „Czystym marnowaniem sił i czasu" nazwie ją niebawem czołowy publicysta arystokratycznego obozu, Tomasz Potocki. Kierowało tą ewo-

lucją ziemiaństwo, oczywiście pod kątem widzenia własnych interesów. Wielkorządcy rosyjscy, obdarzeni dobrami w Królestwie, solidaryzowali się ze stanowiskiem ziemian Polaków. Rozwój szedł w dwu kierunkach: w dobrach narodowych i latyfundiach magnackich zamieniano pańszczyznę na czynsz. Do 1846 r. akcja ta objęła w Kongresówce 28 % osad włościańskich i to osad większych. Korzyść właściciela łączyła się w tym wypadku z polepszeniem bytu włościan. Natomiast w mniejszych folwarkach postępowało samowolne rugowanie chłopów z ziemi. Tutaj jako końcowy etap ewolucji jawiło się już obrócenie całego włościaństwa w bezrolnych parobków i wyrobników.

Rzeź galicyjska wywołała poważny ferment również wśród włościan Królestwa. Car Mikołaj przybył na miejsce w Kieleckie i z własnej woli, wbrew Paskiewiczowi, generałom i biurokratom warszawskim zadekretował: spisanie ciężarów ludności włościańskiej w dobrach prywatnych, zniesienie wszystkich ubocznych świadczeń na rzecz dworu oraz kontrolę rządową nad oczynszowaniem. Odtąd wszyscy włościanie w Królestwie zabezpieczeni byli od nowych obciążeń, a pełnorolni (wyżej 3 morgów) również od usuwania z ziemi. Car chciał przeszkodzić rozszerzaniu się ducha buntu wśród własnych poddanych. Ukaz jego był niewątpliwie dziełem sprawiedliwości: to samo należało się dać chłopu polskiemu w 1807, lub 31 roku. Ale krok carski, nieprzemyślany w szczegółach, nie rozwinięty i nie poparty przez wykonawców, pociągnął za sobą szereg złych następstw. Zahamował pożyteczny proces czynszowania i przyspieszył usuwanie z ziemi nieobjętej ukazem ludności małorolnej. W następnym 15-leciu pozbawiono ziemi w Kongresówce ⅔ osadników, posiadających mniej niż 3 morgi.

IV.

Po śmierci Mikołaja zapoczątkowano reformę włościańską w Rosji, co przesądzało również o stosunkach w Królestwie. Polska pańszczyzna nie mogła trwać dłużej, niż rosyjskie poddaństwo. Szlachta polska i organ jej, Towarzystwo Rolnicze, stanęły przed koniecznością powzięcia decyzji w tej sprawie. Okoliczności europejskie i rosyjskie układały się tak, że ta decyzja mogła stanowczo zaważyć na przebiegu reformy.

W łonie Towarzystwa ścierały się te same dwa prądy, które ujawniały się w życiu. Andrzej Zamoyski, jako wyraziciel interesu największych właścicieli, wypowiadał się za

oczynszowaniem. Większość średnich posiadaczy była zwolennikami status quo, to znaczy w praktyce chciała dalszego rugowania włościan. Za to żywioły miejskie, niezainteresowane w tym sporze, podjęły hasło Wielkiej Emigracji: przyznania chłopom pełnej własności ziemi.

Podjęły je zupełnie świadomie, jako oręż w walce o przewodnictwo w narodzie. Było dość oczywiste, że ten, komu się uda przeprowadzić reformę włościańską i zyskać zaufanie mas ludowych, stanie się na czas jakiś panem sytuacji w kraju. Tu leżała możliwość skierowania narodu bądź na drogę ugody, bądź też walki z Rosją . . . albo także zaprzepaszczenia jednej i drugiej koncepcji. Szlachta miała w ręku możność działania i nie wykorzystała jej. Dopiero na ostatniej, pamiętnej sesji Towarzystwa w lutym 1861 r. zdecydowała się pod presją ulicy na połowiczne odstępstwo od zasady pańszczyzny. Raz jeszcze interes materialny okazał się silniejszym od zmysłu politycnego.

Tymczasem z wiosną 1861 r. na wieść o ogłoszonej reformie rosyjskiej rozpoczął się w Królestwie strajk rolny: 15—20% włościan zupełnie samorzutnie odmówiło pracy „na dworskim". Ten ruch właściwie przesądził o śmierci pańszczyzny, nie mogło być mowy o stłumieniu go bez równoczesnego zreformowania stosunków wiejskich. Tym razem atut włościański znajdował się w ręku Wielopolskiego. Mógł on wówczas ogłosić uwłaszczenie i sparaliżować ruch niepodległościowy o wiele skuteczniej, niż późniejszą „branką". Nie zdobył się margrabia na krok tak sprzeczny z interesem swego środowiska. Ogłosił znów połowiczny, poroniony projekt „skupu czynszów". Ruch chłopski spacyfikował brutalnie wojskiem rosyjskim, a ta akcja w dużej mierze przesądziła o bierności chłopa w okresie powstania.

Magiczne hasło uwłaszczenia pozostało w ręku „czerwonych". I oto zaraz poszedł w ruch dobrze znany mechanizm polityki „białych". Z myślą o sprawie włościańskiej szlachta przechodzi na stronę ruchu, ażeby opanować go i umiarkować. Powstanie ogarnia cały naród, a potem obumiera — nie bez winy umiarkowanych swoich kierowników.

Ogłosił uwłaszczenie dopiero „Komitet Centralny, jako tymczasowy Rząd Narodowy". Odniósł korzyść chłop polski, — ale sprawa polska przegrała. Po upadku powstania wziął w ręce inicjatywę rosyjski Komitet Urządzający, przeprowadził reformę dużo korzystniejszą dla włościan, niż w Rosji, i pozyskał ich dla rządu na całe pokolenie. Szlachta zatrzy-

miała folwarki. Z Krakowa doradzał jej Paweł Popiel, ażeby weszła w lud i pracą organiczną dorabiała się zaufania u gminu. Mało kto poszedł za tą trzeźwą radą. Dwór boczył się na nowe czasy, tym samym abdykował. U schyłku 19 wieku ziemiaństwo Kongresówki jest jeszcze wielką siłą gospodarczą, nie jest już samodzielnym czynnikiem politycznym. Jedna z przyczyn tego zjawiska — to zejście na drugi plan sprawy włościańskiej. Rozwój stosunków na wsi idzie teraz w odwrotnym kierunku, niż w pierwszej połowie stulecia: ziemia zwolna przechodzi od pana do chłopa w drodze wykupu serwitutów i dobrowolnej parcelacji. Natomiast, jako świeży czynnik fermentu, jawi się czekająca dopiero rozwiązania kwestia robotnicza.

V.

Dzieje sprawy włościańskiej w Polsce nie zamykają się na uwłaszczeniu. Po emancypacji gospodarczej rozpoczyna się walka o emancypację polityczną. Niemożliwa pod zaborem rosyjskim, przybiera ona krańcowo różne oblicza w zaborach pruskim i austriackim.

W Poznańskim walkę o prawa językowe, szkolne i kościelne, o własny dom i możność nabycia gruntu trzeba było toczyć z rządem pruskim, który prześladował na równi wszystkie warstwy narodu. Po roku 1886, wraz z natężeniem nacjonalizmu niemieckiego zaborca zaniechał do reszty dawnej metody popierania chłopa przeciw panom. Następstwem po stronie polskiej był wzrost solidarności społecznej i samowiedzy narodowej. Gdy w latach 90-tych Kościelski lansował ugodę z kanclerzem Rzeszy Caprivim, pierwszy głos protestu podniósł się z szeregów ludowych. Już wtedy chłop wielkopolski uwalniał się stopniowo od kurateli ziemiańskiej. Ster polityki polskiej w zaborze pruskim przesunął się od Koła Polskiego do kierownictw masowych organizacyj: kółek rolniczych i spółek zarobkowych. Chłop stawał się równorzędnym z innymi warstwami składnikiem siły narodowej.

Inaczej działo się w Galicji. Tutaj chłop toczyć musiał walkę o prawo polityczne z własnym społeczeństwem. Po zniesieniu pańszczyzny obóz patriotyczny popadł w przyjemne złudzenie, że sprawa włościańska została zlikwidowana. U progu ery autonomicznej, na pierwszej sesji Sejmu Krajowego oświadczył Adam Potocki, że szlachta polska raz na zawsze wyrzeka się pańszczyzny. Wyobrażano sobie, że ten gest wystarczy, ażeby utworzyć solidarny front społeczeństwa polskiego przeciw Wiedniowi. W odpowiedzi posłowie

chłopscy wysunęli znacznie dla nich żywotniejszą kwestię służebności: lasów i pastwisk, które po uwłaszczeniu znalazły się przeważnie w ręku dworów. Ze strony patriotycznego obozu nie podjęto wówczas żadnej próby porozumienia się kosztem realnych ustępstw z posłami włościańskimi. O jednym z nich, Siwcu, pisał „Czas" z oburzeniem, że „nie ma pojęcia Ojczyzny, zupełny materialista". Tak odsądzony chłop w rozgrywce o autonomię Galicji stanął po stronie Wiednia, przeciw szlachcie i mieszczaństwu polskiemu.

Ten układ sił przesądził w dużej mierze o losach sprawy niepodległościowej i autonomicznej w tym zaborze. Wystarczy najpobieżniej wskazać, jak dążenia polskie w Galicji potykały się raz po raz o sprawę włościańską w następnym 20-leciu. W 1863 r. cały kraj nurtowała obawa, by rząd wiedeński nie użył chłopów przeciwko powstańcom. Stąd zasada niezwalczania Austrii dochowana nawet wtedy, gdy to mocarstwo sprzymierzyło się z Rosją na szkodę powstania. Stąd fronda Galicjan przeciwko powstańczemu Rządowi Narodowemu, któryby mógł rozszerzyć walkę również na ten zabór, i stąd pośrednio opieszałość pomocy, udzielanej przez Galicję Królestwu.

W 1866 r. nie tylko szlachta, ale i demokraci galicyjscy głosowali za adresem: „Przy Tobie Najj. Panie, stoimy i stać chcemy". Jednym (oczywiście nie wyłącznym) motywem tego kroku było zapobieżenie, by rząd cesarski nie oparł się w Galicji na chłopach, ze szkodą sprawy polskiej. W następnym roku Sejm galicyjski miał do wyboru dwie drogi: albo sojusz z Czechami dla przebudowy Austrii w duchu federalnym, albo układanie się z rządem na własny rachunek. Posłowie włościańscy przechylili szalę po myśli Wiednia.

W roku 1875 Sejm wyrzekł się ostatecznie walki o tzw. rezolucję, czyli o rozszerzenie autonomii krajowej. Prawda, że sytuacja ówczesna w Wiedniu i w Europie czyniła walkę tę beznadziejną. Niemniej jest faktem, że włościanie głosowali i teraz przeciw autonomii. W następnych latach konserwatyści galicyjscy lansują zasadę „trójlojalizmu", tj. dobrowolnego uznania przez naród faktu rozbiorów. Jednym z aspektów tej doktryny jest sojusz, ofiarowany monarchiom rozbiorczym przez arystokrację polską przeciwko „siłom przewrotu".

Jak widać z tego zestawienia, sprawa włościańska oddziaływa na politykę galicyjską dwiema drogami. Bezpośrednio, gdy głosy posłów chłopskich, dość licznych w Sejmie w 60-tych latach, przeważają szalę po myśli rządu, wbrew pragnie-

niom polskim. Albo pośrednio: gdy opozycję polską wobec Wiednia paraliżuje (oprócz innych czynników) także ta obawa, czy rząd cesarski przeciwko opornej szlachcie nie zechce odwołać się do wiernych sobie włościan. Tą drogą wzięła górę w Galicji koncepcja Gołuchowskiego, do której przychylili się z czasem konserwatyści krakowscy: koncepcja rządów szlacheckich w oparciu o Wiedeń.

Spokojny o to oparcie ziemianin galicyjski odwrócił się od zagadnienia wiejskiego. Obszary dworskie wyodrębniono od gminy. Chłopów wyrugowano z Sejmu, pozbawiono wpływu na rząd i samorząd. Za upośledzeniem politycznym szło jak zwykle i gospodarcze: przy regulacji służebności, ustaleniu katastru, wymiarze podatków, rozdziale subwencji rządowych chłop z reguły upośledzany był na rzecz dworu. Skąpiono na szkoły ludowe — ten dział budżetu rósł o wiele za wolno w stosunku do wiekowych zaniedbań. Życie i tak szło naprzód, likwidując przyżytki pańszczyzny, jak serwituty i propinację, rozszerzając zwolna oświatę, ulepszając gospodarkę rolną. Na tych podstawach zaczął rosnąć samodzielny ruch ludowy, który rzecz prosta zwrócił się od początku przeciw obozowi rządzącemu.

Był to jeden z najsmutniejszych rozdziałów w dziejach Galicji, gdy szlachta polska wytężała wszystkie siły, aby stłumić, rozbić albo znieprawić polski ruch ludowy, posługując się to korupcją, to siłą żandarma, to autorytetem kościoła. Gdy środki te zawodziły, a ruch ludowy potężniał, sternicy obozu rządzącego doszli wreszcie do wniosku, że trzeba zawrócić z tej drogi. U progu 20-go wieku 3000 właścicieli dóbr „tabularnych" nie mogło rościć sobie prawa do wyłącznego reprezentowania kraju; w imię nadrzędnych interesów trzeba było wyrzec się części przywilejów. Andrzej Potocki i Michał Bobrzyński — nie bez nacisku ze strony Wiednia — skłonili Koło Polskie do poparcia reformy wyborczej do Rady Państwa, zawarli kompromis z ludowcami w Galicji Zachodniej, wprowadzili Stapińskiego do Koła Polskiego, przygotowali projekt reformy ordynacji wyborczej sejmowej. Wszystko to działo się z myślą o stworzeniu solidarnego frontu całej Galicji w nadchodzącej wojnie światowej.

W 1913 r. obaliła Bobrzyńskiego koalicja konserwatystów podolskich z narodową demokracją posługując się autorytetem episkopatu i to pod hasłem walki z „radykalizacją wsi". Podłożem tej rozgrywki był spór dwu „orientacji": rosyskiej

i austriackiej. W przededniu wojny 1914 roku naród polski był już tak skłócony, że nie mógł dać sobie rady z rozwiązaniem problemów wewnętrznych. Lecz pozostaje faktem, że w tej ostatniej przed wojną kampanii politycznej, znacznej części koalicji stronnictw, która zwalczała orientację autriacką, szło w gruncie rzeczy po dawnemu o odsunięcie chłopa od udziału w rządzie.

VI.

Po tym zwięzłym przeglądzie faktów spróbujmy sformułować odpowiedź na niektóre przynajmniej postawione na wstępie pytania.

Jaki wpływ miało istnienie niezałatwionej sprawy włościańskiej na rozwój naszej akcji niepodległościowej? Trudno tego wpływu nie nazwać fatalnym. Zadawniony konflikt społeczny pomiędzy warstwą kierowniczą kraju, a większością jego mieszkańców, prowadzi nieuchronnie w warunkach niewoli do kolaboracji z zaborcą jednej z dwu warstw skłóconych. Zależnie od okoliczności byli to bądź szlachta, bądź chłopi.

Niemniej hamująco oddziaływał ten konflikt na udział włościan w walce o niepodległość. Powstaniec, zwłaszcza lokalny dowódca, to był w oczach chłopa przeważnie szlachcic, bardzo często dziedzic miejscowy. Tym samym moment socialny musiał zabarwiać stosunek chłopa do walki o wolność. Przychylność, względnie czynny udział włościan w ruchu przybierają szersze rozmiary tam, gdzie napięcie walki społecznej jest stosunkowo słabsze, albo tam, gdzie inne uczucie: nienawiść narodowa, przywiązanie do wiary, czasem chęć zemsty, przemogą w masach nieufność do panów. Wielką rolę gra nieraz osobisty autorytet wodza: od wielkiego Naczelnika aż do księdza Brzózki. Trzeba pamiętać, że fakt posiadania ziemi (mniejsza o to: kilku, czy też kilkuset morgów) czyni człowieka rewolucyjnie biernym. Chłop bezrolny na ogół brał w powstaniach czynniejszy udział, aniżeli zamożniejszy gospodarz.

O wpływie sprawy włościańskiej na stosunek szlachty do powstań była już wyżej mowa. Czy gdy łączy się z ruchem, aby wydrzeć ster z rąk „czerwonych", czy gdy go tłumi w obawie rewolucji społecznej, szlachta liczy się ze stanowiskiem chłopa, co w większości wypadków wychodzi na szkodę sprawie narodowej.

Pozostaje ostatnia kwestia: komu chłop polski zawdzięcza zdobytą swobodę? W pewnej nieznacznej mierze — samemu

sobie. Czyn kosynierów racławickich stał się legitymacją dla uniwersału połanieckiego. Rzeź galicyjska, jakkolwiek niepolityczna i zbrodnicza, wywołała pośrednio ukaz carski z ulgami dla chłopów w Królestwie. Strajk rolny 1861 r. przyspieszył o ileś miesięcy ustanie pańszczyzny. Ruch ludowy w Galicji przełamał monopol rządów szlacheckich przed pierwszą wojną światową. Ale to są luźne epizody. Na ogół biorąc, emancypacja chłopa dokonała się bez jego czynnego współudziału. Oczywiście zniknięcie pańszczyzny na tle gospodarczych przeobrażeń Europy było faktem nieuniknionym. Ale przebieg tego procesu w Polsce zawisł od dwu czynników: naszej niewoli politycznej i naszej walki z zaborcą. Oba rywalizujące na ziemiach polskich czynniki: rządy zaborcze i obóz niepodległościowy musiały zabiegać o zjednanie sobie mas ludowych i przyciągać je ku sobie ustępstwami. Daty wielkich osiągnięć włościaństwa polskiego: 1807, 1846, 1848, 1864 — to są zarazem daty wstrząsów politycznych. Poszczególni działacze powstańczy sprzyjali niewątpliwie chłopom z bardziej szczerych i idealnych pobudek, niż zaborcy, ale to nie zmienia istoty sprawy. Chłop wyzwalany był etapami z wiekowego poddaństwa, nie walcząc o tę emancypację w sposób zorganizowany i świadomy, ale korzystając z koniunktury powstańczej.

Czy należałoby stąd wnosić, że chłopom opłaciła się niewola polityczna Polski? Bynajmniej, za tę niewolę chłop bardzo drogo płacił. Nie tylko dlatego, że obce rządy kazały mu przelewać krew bezpożytecznie na polach Lombardii i Lotaryngii, Mandżurii i Kaukazu. Ale dlatego również, że przez cały ten okres chłop pozbawiony był własnego państwa, w którym mogłaby się rozwinąć myśl polityczna, ogarniająca interesy wszystkich warstw społecznych dla nadrzędnego dobra ogółu. Państwa, któreby nie wyzyskiwało chłopa dla ubocznych celów, nie skąpiło mu oświaty i poparcia w gospodarczym rozwoju. Państwa, w którym rozwój cywilizacyjny doprowadziłby chłopa o wiele szybciej do godności współrządcy i współobywatela.

Dr Jan Wegner

STUDIA PLEIN-AIROWE W ARKADII

I

W 1932 r. Instytut Propagandy Sztuki urządził w Warszawie zbiorową wystawę obrazów Konrada Krzyżanowskiego, świetnego przedstawiciela realizmu w malarstwie polskim. Jednocześnie wystawiono prace Rafała Malczewskiego, Tadeusza Kulisiewicza, Grupy Dziesięciu z Krakowa, Loży Wolnomalarskiej i Stow. „Ryt". Dzięki tak różnolitemu charakterowi całej wystawy płótna Krzyżanowskiego, malowane nadzwyczaj śmiałymi i mocnymi rzutami pędzla, pełne dosadnego psychologicznego wyrazu, jeszcze bardziej przemawiały swą odrębnością, zostawiając niezatarte wrażenie.

Nic więc dziwnego, że ze szczególnym zainteresowaniem przeczytałem następującą wzmiankę, na którą przypadkiem natrafiłem, przeglądając „Biesiadę Literacką" z 1904 roku.

„Studia malarskie na wsi, w Arkadii, posiadłości ks. Radziwiłła, urządziła nowa Szkoła Sztuk Pięknych. Przeszło 30 osób odbywa z pożytkiem studia na łonie natury, pod kierownictwem prof. K. Krzyżanowskiego, ku czemu zarówno miejscowość piękna, jak i tameczna ludność z typowymi postaciami „księżaków" nadaje się w zupełności".

Wzmianka ta zaintrygowała mnie. To też zabrałem się do przejrzenia jeszcze paru pism z 1904 r. W „Kurierze Warszawskim" z dn. 19 sierpnia w dziale wiadomości bieżących znalazłem najobszerniejszą notatkę o studiach plein-airowych w Arkadii. Podaję ją tutaj w całości:

„Początkująca Szkoła Sztuk Pięknych urządziła w tym roku pierwszy raz tak zwany plein-air, czyli studia malarskie na wsi.

Za miejsce pobytu dla uczniów i uczennic obrano Arkadię — posiadłość ks. Radziwiłła, odległą o 5 wiorst od Łowicza i tam właśnie pod kierownictwem profesora szkoły p. Konrada Krzyżanowskiego — przeszło trzydzieści osób poświęca się studiom malarskim, poczynając od lipca r. b.

Trzeba przyznać bezstronnie, że studia te odbywają się bardzo starannie, a kierownik, profesor Krzyżanowski, z całym zapałem oddany jest swojej pracy. Codziennie od siódmej rano

rozpoczynają się prace malarskie i trwają przez cały dzień z parogodzinną zaledwie przerwą.

Należy dodać, że miejscowość ta w zupełności odpowiednia jest dla takich studiów, gdyż piękne typy włościańskie Łowickiego w swojskich a oryginalnych ubiorach — dają dużo materiału dla malarza. Prócz tego niejednokrotnie studiujący odbywają spacery na pejzaże do pobliskiego Nieborowa (posiadłość tegoż ks. Radziwiłła), gdzie również znajdują możność kopiowania pięknych widoków, urządzeń i ozdób pałacu i parku tamecznego.

Arkadia, pomimo pewnego zaniedbania, posiada wspaniały park i kilka pałaców w starożytnym stylu, które obecnie wynajęte zostały na letni pobyt dla uczniów i uczennic szkoły. W głównym pałacu zamieszkują panie, w innych pomniejszych panowie, a wszyscy studiujący wraz z profesorem prowadzą składkowy ogólny stół i w oddzielnym budynku schodzą się na śniadania, obiady i kolacje.

I w tym kierunku prof. Krzyżanowski ma baczenie na wszystko, a panowie i panie codziennie kolejno pełnią dyżury gospodarskie, pilnując finansowej strony tego plein-airu i punktualności służby.

Niewątpliwie i uczniowie i uczennice Szkoły Sztuk Pięknych odniosą dużą korzyść, nie mówiąc już o tym, że spędzanie lata na takich studiach daje dużo artystycznego zadowolenia i nie może iść w porównanie z tym „zabijaniem czasu", za pomocą reunionów, koncertów amatorskich itp., co zwykle praktykuje się w naszych szablonowych letniskach".

Sprawozdanie powyższe ma dość duże znaczenie. Wydaje się jednak, że jego autor, kryjący się pod inicjałami „A. J.", dość dobrze poinformowany o studiach malarskich w Arkadii, lepiej znał letniska niż malarstwo. Jeśli bowiem chodzi o Krzyżanowskiego i jego działalność pedagogiczną, to nie można mówić czy pisać o „kopiowaniu" pięknych i sentymentalnych widoków. Krzyżanowski nie był naturalistą, ale realistą, który daje własną artystyczną interpretację wszystkim fragmentom natury, obieranym za temat swych prac malarskich.

Rozmowy, jakie miałem przed wojną z kilkoma uczestnikami studiów malarskich w Arkadii, a mianowicie z rektorem Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie Tadeuszem Pruszkowskim, rektorem Konserwatorium Muzycznego w Warszawie Eugeniuszem Morawskim, prof. Zygmuntem Andrzejewskim, prof. Bolesławem Czarkowskim, Michaliną Piotruszewską-Krzyżanowską i Ewą Librowiczową, pozwoliły mi notatki po-

wyższe znacznie uzupełnić i ułożyć spis uczestników arkadyjskich studiów malarskich.

W 1932 roku na łamach tygodnika regionalnego p. t. „Życie Łowickie" drukowałem swój artykuł o studiach plein-airowych w Arkadii.[1]) Obecnie zaś, po wykorzystaniu nowych relacji, otrzymanych od Janiny Bobińskiej-Paszkowskiej i Emilii Wysockiej, oraz wyzyskaniu materiałów źródłowych z Archiwum Nieborowskiego, wznawiam swój już raz podjęty temat, zachęcony do tego przez wielu miłośników Arkadii.

II

W 1904 roku, kiedy stosunek naszego społeczeństwa do sztuki streszczał się w gorzkim powiedzeniu Aleksandra Gierymskiego, że „lepiej być koniem wyścigowym w Polsce niż malarzem", otworzono w Warszawie Szkołę Sztuk Pięknych. Zespół profesorski, świetnie dobrany, stanowili: Konrad Krzyżanowski, Ferdynand Ruszczyc, Ksawery Dunikowski, Edward Trojanowski, Karol Tichy i Pajzderski. Dyrektorem został Kazimierz Stabrowski, dzięki jego bowiem inicjatywie i energii szkoła ta powstała.

Wiadomość o założeniu uczelni malarskiej w Warszawie przyjęto niemal zupełnie obojętnie. Ówczesna Warszawa, jak pisze Witold Bunikiewicz, „z nieporównaną obojętnością przechodziła obok miejscowych twórców malarstwa i rzeźby, nie dowierzając nawet wieściom . . . o polskich powodzeniach zagranicznych. Na wystawach warszawskich panowała beznadziejna nuda, świadcząca aż nadto wymownie, że malarstwo polskie żyło okruchami ze stołu Chełmońskiego, Brandta i Matejki".

Podobno szerszy ogół zainteresował się bliżej Szkołą Sztuk Pięknych dopiero wtedy, kiedy rozeszła się wieść, że uczennice i uczniowie mają razem malować akty męskie i kobiece. Jak opowiadał mi rektor Morawski, powstał wówczas i taki m. in. humorystyczny projekt, aby uczennice malowały tylko akty kobiece, a uczniowie malowali tylko akty męskie. Ma się rozumieć, w oddzielnych salach. Ale projektu tego oczywiście nikt nie realizował.

Po zakończenu roku szkolnego prof. Konrad Krzyżanowski, przedstawiciel „wywrotowych" w sztuce dążeń rewolucyjnych,

[1]) Znaczne wyjątki z powyższego artykułu zacytował S. Seweryn w swym przewodniku po Arkadii, Włocławek 1936.

wybrał się z przeszło trzydziestu uczennicami i uczniami Szkoły Sztuk Pięknych na wakacyjne studia plein-airowe do Arkadii. Zacofańcy znów się oburzali, uważając widocznie, że bez jakiegoś „komitetu opiekuńczego" nie powinny się odbywać takie studia na łonie natury. Znaleźli się jednak i tacy, którzy byli zdania, że studia pracowniane są zupełnie wystarczające.

Znaczenie studiów na wolnym powietrzu, czyli tzw. plein-airu nie doceniano jeszcze wówczas należycie w Polsce, zwłaszcza w zaborze rosyjskim.

We Francji Delacroix, dla którego rysunek był „modlitwą codzienną", pisał w swoim pamiętniku w 1856 roku: „Ciało ludzkie ma swoją istotną barwę tylko na wolnym powietrzu i szczególnie w słońcu. Człowiek, który wychyla głowę przez okno, wygląda zupełnie inaczej niż w pokoju. Stąd śmieszność studiów pracownianych, których skutkiem jest fałszowanie barw".

Tymczasem w Polsce jeszcze Wojciech Gerson widział wszystko w szarych kolorach. Nic też dziwnego, że kiedy zobaczył „Orkę na Ukrainie", arcydzieło swego znakomitego ucznia Leona Wyczółkowskiego (1893 r.), miał powiedzieć: „Nigdy nie widziałem fioletowej ziemi!".

Konrad Krzyżanowski, podobnie jak Jan Stanisławski, prof. Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, w całej pełni rozumiał doniosłość studiów plein-airowych. To też urządził je już w pierwszym roku istnienia Szkoły Sztuk Pięknych.

III

Arkadia, oddalona od gwaru miejskiego i niedostępna dla różnych natrętów, nadawała się doskonale na studia malarskie. Ukochali ją też oddawna malarze. Tutaj, przed Krzyżanowskim, malowali: Marceli Bacciarelli, Jan Chrzciciel, J. Lampi, J. Grassi, Zygmunt Vogel, Ignacy Wendorff-Romanowski, Grzegorz Wakulewicz, Jan Piotr Norblin, Michał Płoński, Aleksander Orłowski, Jan Rustem, Jan Bogumił Plersch, Jan Feliks Piwarski, Wojciech Gerson, Stanisław Masłowski, Aleksander Gierymski, Wilhelm Kotarbiński, Henryk Pillati, Michał Elwiro Andriolli, Józef Chełmoński, Stanisław Nowakowski i wielu innych.

Już sam fakt, że tylu wybitnych malarzy odwiedzało Arkadię, i znajdowało tutaj podnietę do pracy artystycznej, świadczy dodatnio o tym samotnym ustroniu, obdarzonym wybitnymi walorami malarskimi, jakby z obrazów Poussina, Pottera czy Claude Lorraina.

Ale na wybór tego parku wpłynęły niemało i miłe wspomnienia, łączące Krzyżanowskiego z Arkadią, która na przełomie XIX i XX wieku była często odwiedzana przez artystów i literatów, korzystających zwykle z gościnności Michała Radziwiłła, miłośnika sztuk pięknych, lub Jana Konopnickiego (syna Marii Konopnickiej), dzierżawiącego arkadyjską osadę młynarską.

Bywał wówczas w Arkadii i Stanisław Przybyszewski (przed 1904 r.), którego nazwisko rozbrzmiewało w tym okresie najgłośniejszą sławą. Krzyżanowski, gorący wielbiciel twórczości Przybyszewskiego, z zadziwiającą pasją portretował wówczas autora „Synów Ziemi". Huczno było wtedy w Arkadii. Przybyszewski wykrzykiwał po parku swoje sławne „he he", prowadził swym wnikliwym głosem rozmowy mefistofeliczne, upijał się wódką, sprowadzaną z Łowicza i stwarzał dokoła siebie, jak wszędzie gdziekolwiek się znalazł, dziwną atmosferę, pełną podniecenia i niepokoju. Konrad Krzyżanowski, będący „szalejącym huraganem", wnosił do Arkadii wulkaniczny temperament.

Pewnej niedzieli Krzyżanowski wybrał się z Przybyszewskim z Arkadii do ks. Jabłonowskiego, proboszcza w pobliskich Bednarach, mającego wyśmienite wino. Przybyszewski, kiedy podpił sobie dobrze na plebanii, począł, nie zważając na porę nocną, domagać się od księdza, aby mu otworzył kościół. Ksiądz wreszcie uległ i Przybyszewski rzucił się jak szalony do organów kościelnych. Ks.Jabłonowski, zdumiony gwałtowną i porywającą grą, zapytał wtedy Krzyżanowskiego, kim jest jego przyjaciel, którego nazwiska nie dosłyszał przy zapoznaniu się na plebanii. A kiedy Krzyżanowski ze spokojem powiedział: „Stach Przybyszewski", ksiądz złapał się za głowę i krzyczał: „Boże, Boże, co ja zrobiłem! Antychrysta wpuściłem do kościoła". — „Antychryst" nie okazał się widocznie straszny, gdyż niebawem ks. Jabłonowski odwiedził w Arkadii autora „Synagogi Szatana". Przybyszewskiemu podobał się ten rubaszny i zdziwaczały ksiądz, będący szczerym przyjacielem artystów, to też nieraz zachodził na plebanię do Bednar.

Dość częstym gościem bywała wówczas i Maria Konopnicka. W 1902 r., kiedy obchodziła ona dwudziestopięciolecie swej pracy literackiej, grono wielbicieli jej talentu postanowiło zająć się zebraniem funduszu, któryby posłużył do polepszenia i zabezpieczenia materialnego bytu znakomitej poetce. Konopnicka zwróciła wówczas uwagę na Arkadię i w liście do ks. Michała Radziwiłła z dn. 25 listopada 1902 r. pisała ze Lwowa: „Niezawodnie nad wszelką inną byłaby, mi się uśmiechała

myśl zamieszkania tej pięknej siedziby, która oprócz wszystkich swoich uroków — nęciła mnie jeszcze i tą nadzieją, że w ten sposób będę mogła przyjść z pomocą mojemu synowi i salwować troszkę jego wkłady". Radziwiłł odpowiedział odmownie, nie chcąc wyrzec się rodzinnej pamiątki, odkupionej w 1893 r. od Rosjanina hr. Mikołaja Adlerberga, b. gen. gubernatora Finlandii.

Arkadia, którą nazywano ongi „pieśnią Ariosta w obrazie", „krajem Sybilii i czaru", wróżek i uroku krainą i „gajem bogów",chyliła się w tym czasie coraz więcej ku upadkowi. Od czasu śmierci swej założycielki Heleny z Przeździeckich Radziwiłłowej (1821 r.) przechodziła różne a dość smutne koleje losu, pozostając nawet przez kilkanaście lat w obcych rękach.

Kiedyś zachwycali się Arkadią swoi i obcy, jak np. Stanisław Trembecki, Julian Ursyn Niemcewicz, Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, Delille, Heyking . . .

Niemcewicz pisał, że „krajowy i cudzoziemiec Arkadię polską z zachwyceniem widzieć będą; pozazdrości ostatni, pierwszy wdzięczny będzie założycielce, że drogimi starożytnościami tyle nauk i gustu dziełami przyozdobiła ojczyznę jego". A Klementyna z Tańskich Hoffmanowa wyrażała przekonanie, że artyści i malarze wiele mogą skorzystać w Arkadii. „Tam by mogli czerpać wzory starożytnego i dobrego smaku, poznawać piękno i proporcję, obeznawać się z tworami mistrzów".

Teraz, na przełomie XIX i XX w., budowle i sztuczne ruiny angielskiego parku arkadyjskiego były ogołocone z wielu pamiątek i cennych dzieł sztuki. Zniknęły też różne „przybytki" i osobliwości. Nie zachował się już akwedukt rzymski, amfiteatr, „grobowiec złudzeń", ani „domek kryształowy".

W Arkadii pozostał jednak dawny urok, tkwiący w wiekowym, romantycznym parku, w fantastycznych ruinach i jasnej świątyni Diany, przeglądającej się dostojnie w ciemnym stawie.

IV

Uczestnikami arkadyjskich studiów plein-airowych byli: Zygmunt Andrzejewski, Anna Bagnicka, Bielicki, Stanisław Blum, Janina Bobińska-Paszkowska, Dionizy Bojarunas, Lidia Bryłkina, Jan Brzeziński, Chromiński, Bolesław Czarkowski, Mikołaj Konstanty Czurlionis, Janina Frąckiewiczówna, Janina Górska, Stefania Górska, Hayden, Jaworski, Ignacja Johnowa, Adolf Kantor, Władysław Krasowski, Kratka, Leonard Krik, Ewa Aszerówna-Librowiczowa, Kazimierz Łapiński, Eugeniusz Morawski, Pawlicka, Michalina Piotruszewska-Krzyża-

nowska, Maria Płonowska, Tadeusz Pruszkowski, Wanda Schreiberówna, Emilia Wysocka, Wanda Wysocka i Jan Załuska.

Wielu z nich wybiło się i zajęło mniej lub bardziej wybitne stanowiska. Pruszkowskiemu i Morawskiemu zapewne się nie śniło w Arkadii, że zostaną Magnificencjami, a Czurlionis wówczas chyba nie przypuszczał, że będzie sławnym malarzem i muzykiem litewskim i że Kowno utworzy galerię obrazów jego imienia. Zygmunt Andrzejewski, łowiczanin, został profesorem w Warszawskim Instytucie Robót ręcznych dla nauczycieli, a Bolesław Czarkowski, wybitny ceramik, profesorem warszawskiej Miejskiej Szkoły Sztuk Zdobniczych. Adolf Kantor wykładał w monachijskiej Akademii Sztuk Pięknych (pod nazwiskiem Franciszka Potockiego); Leonard Krik prowadził w Ameryce zakład dekoracyjno-malarski, Hayden malował w Paryżu, Kazimierz Łapiński został architektem. Janina Bobińska-Paszkowska, Michalina Piotruszewska-Krzyżanowska i Emilia Wysocka są cenionymi malarkami.

Nie zmarnowali więc swego życia i nie dali się zjeść przez biedę.

Wśród uczennic i uczniów Szkoły Sztuk Pięknych bardzo mało było bogatych i zamożnych, Konrad Krzyżanowski jednak dał biednym a zdolnym jednostkom możność wzięcia udziału bezpłatnego bądź ulgowego w studiach plein-airowych w Arkadii. Stworzył mianowicie ogólny fundusz malarski z kwot pieniężnych, złożonych przez zamożniejszych uczestników tych studiów.

Krzyżanowski gorąco opiekował się biednymi uczniami, dzieląc się z nimi nawet ostatnim kawałkiem chleba. Był, jak to się mówi, człowiekiem o złotym sercu. W Warszawie niektórych bezdomnych uczniów przyjmował do siebie na sublokatorów, choć sam żył w nadzwyczaj trudnych warunkach materialnych. Warto tu przypomnieć, że Krzyżanowskiego, przebywającego przez pewien czas na Węgrzech, starali się Węgrzy zatrzymać u siebie, ofiarowując mu, za przyjęcie proponowanego obywatelstwa węgierskiego, specjalne stypendium rządowe i doskonałą pracownię w Budapeszcie[2]). Ale Krzyżanowski, syn kresów wschodnich, wolał cierpieć własną polską biedę, niż żyć w dostatku z łaski obcych i wyrzec się

[2]) Mierzysław Treter, Konrad Krzyżanowski (monogr. art.), Warszawa, wyd. Gebethnera i Wolffa.

swej polskości. To też powrócił do Polski w 1900 roku, osiadając na stałe w Warszawie, gdzie otworzył prywatne kursy malarstwa. Tutaj po czterech latach został profesorem Szkoły Sztuk Pięknych, biedując dalej ze swymi uczniami.

Bieda nie wpływała ani na fantazję ani na humor. Wszyscy uczestnicy studiów plein-airowych w Arkadii tworzyli zwartą, nadzwyczaj koleżeńską kompanię, mimo stosunkowo dość dużej różnicy wieku. Kto był najstarszy, niewiadomo. W każdym razie ten nieznany nestor nie przekraczał czerdziestki. Sam Krzyżanowski miał wtedy lat 33. Najmłodszym był zgrabny blondynek Tadeusz Pruszkowski. Liczył wtedy tylko 16 lat i już odznaczał się wybitnymi zdolnościami malarskimi i diabelną aktywnością. Pruszkowski chętnie zaznaczał, że urodził się w łęczyckim powiecie, w Borucicach, uchodzących za rezydencję Boruty, słynnego „diabła-szlachcica". Przyczyną tak wczesnego rozpoczęcia kariery malarskiej późniejszego rektora Akademii Sztuk Pięknych było wydalenie go z jednej z niższych klas gimnazjum bodaj za „uporczywe lenistwo", jak to zwykle określały rosyjskie władze szkolne.

Niemal wszyscy uczestnicy studiów malarskich mieszkali w Arkadii. Małe tylko grono uczniów urządziło sobie noclegi w pobliskiej wiosce. Panie zajęły pałacyk i domek z wieżą koło łuku kamiennego. Panowie rozlokowali się w barakach, sztucznych ruinach i Świątyni Diany, tej największej ozdoby Arkadii.

Prof. Krzyżanowski zamieszkał w domku gotyckim t. zw. „Przybytku nieszczęścia i melancholii", nad ciemną jaskinią Sybilli, „miejscem spoczynku dla sentymentalnych pasterzy i zalotnych nimf leśnych". Domek gotycki był za czasów założycielki Arkadii schroniskiem dla artystów-malarzy. Tutaj dokoła ścian wisiały wtedy ramy z przygotowanymi do malowania płótnami, które artystom niejako mówiły, że za gościnę należy na jednym z płócien zostawić pędzlem ślad swej obecności. Po upadku Napoleona i Księstwa Warszawskiego Księżna Helena, ostatnia wojewodzina wileńska, urządziła w tym domku sypialny pokój rycerski dla swego syna generała Michała, przyszłego wodza naczelnego podczas Powstania Listopadowego.

Niedaleko Świątyni Diany, w „Przybytku Arcykapłana", na którego ścianie widać dotychczas płaskorzeźbę kobiety karmiącej gryfa i napis: „L'ésperence nourrit une chimère et la vie s'écoule", mieszkał z kilkoma kolegami Tadeusz Pruszkowski.

W t. zw. budynku szwajcarskim urządzono wówczas salę jadalną, kuchnię i śpiżarnię, którą uzupełniano artykułami żywnościowymi, kupowanymi na targu w Łowiczu. Do tego budynku schodzili się wszyscy na śniadania, obiady, podwieczorki i kolacje. Sprawami gospodarczymi zajmował się prof. Krzyżanowski przy pomocy swych uczniów Andrzejewskiego, Jaworskiego i innych. Codziennie, zaraz po obiedzie wybierano z pośród wszystkich „dyżurnego dnia", którego zadaniem było estetycznie przybrać salę jadalną oraz przypilnować, aby za wyznaczoną z góry kwotę i na oznaczony czas przygotowano podwieczorek, kolację, śniadanie i obiad.

V

Każdego dnia o godzinie 7 rano, po śniadaniu, stawali wszyscy przy stalugach, w zasmarowanych farbami fartuchach i bluzach. Rozpoczynała się praca malarska.

Przed stalugami pozowała zwykle księżanka z księżakiem. Początkowo było wiele biedy z tymi ludowymi modelkami i modelami. Księżacy poprostu nie chcieli pozować, uważając malowanie za jakiś wynalazek diabelski, a malarzy za „dzieci szatana". Krzyżanowskiemu przyszedł wtedy z pomocą ks. Jabłonowski z Bednar, który czasami zaglądał do Arkadii, chociaż Przybyszewskiego już w niej nie było. Otóż ks. Jabłonowski, mający duży mir wśród chłopów, ogłosił z ambony w Bednarach, że malowanie i pozowanie nie jest grzechem, że sztuka głosi chwałę bożą itd. Odtąd dla pozowania nawet dość licznie zgłaszali się do Arkadii księżacy z księżankami. To też Krzyżanowski mógł już wybierać najcharakterystyczniejsze albo najlepiej zbudowane postaci. Budowli zabytkowych nie obierano specjalnie za temat prac malarskich. Nie uprawiano też t. zw. „pejzażu arkadyjskiego". Malowano natomiast drzewa, łąki, staw, niebo oraz zwierzęta, zwłaszcza konie, krowy i kozy.

O godzinie 7-ej zjawiał się i Krzyżanowski. Rozglądał się najpierw uważnie, aby sprawdzić obecność swych uczennic i uczniów, a potem zabierał się do przeprowadzania korekty. Krzyżanowski pozostawiał wszystkim zupełną swobodę w malowaniu. Nie krępował nikogo więzami szkolnymi, gdyż cenił nade wszystko indywidualność. Kiedy jednak nie widział wybitniejszych zdolności u któregoś ze swoich uczniów, starał się wtedy dać mu oprócz wiedzy niezbędne wskazówki dla opanowania techniki malarskiej drogą pracy. Uwagi swoje na temat studiów plein-airowych wypowiadał bezstronnie, suro-

wo i niekiedy brutalnie. Za niedbalstwo, manierę, martwotę, brak szczerości i zapału łajał ostro, a skoro zawiódł się na uczniu, to wpadał w furię, co zresztą rzadko się zdarzało. Rzucał wtedy głośno przekleństwa w swym własnym żargonie, złożonym ze słów polskich, rosyjskich, żydowskich, niemieckich i węgierskich. Ale kiedy widział talent, indywidualność, śmiałość i pasję malarską, to wyrażał swe zadowolenie nie tylko słowami, pełnymi zachęty i uznania, ale i całowaniem. Wszyscy kochali krewkiego „Krzyżaka", gdyż mieli w nim serdecznego przyjaciela i nauczyciela. Krzyżanowski, całkowicie oddany sztuce, temperamentem i młodzieńczym zapałem porywał za sobą tych których uczył i potrafił ich zachęcić do intensywnej pracy i wielkich wysiłków.

O godzinie dziesiątej przerywano pracę malarską. Jedni szli wtedy na spacer w głąb parku, w pole lub do lasku, a drudzy kąpali się w rzeczce, zwanej dawniej Łupią a obecnie Skierniewką. Panie kąpały się w pewnej odległości od mężczyn, gdyż o „wspólnej kąpieli" nie mogło być oczywiście mowy w tych czasach.

Między godziną dwunastą i pierwszą była pora obiadowa.

Przed obiadem zwykle słuchano gry na organach dwóch nadzwyczaj zdolnych uczniów, a mianowicie ruchliwego jak wiewiórka Morawskiego i mimozowatego Czurlionisa. Organy, przez nich naprawione, znajdowały się w bocznym pokoiku Swiątyni Diany, przybytku mądrości, przyjaźni i harmonii, ozdobionym słynnym plafonem Norblina, przedstawiającym „Jutrzenkę".

Ongi sama księżna Helena z Przeździeckich Radziwiłłowa dotykała klawiszów tych „prześlicznych" czarnych organów, a wówczas, jak wspomina Niemcewicz, „słodka smętność ogarniała duszę przychodnia". Charakterystyczny dla owej epoki napis na tym instrumencie głosił: „Borne on the swelling notes our souls aspire, and angels lean from heaven to hear" („Niesione na fali tonów, nasze dusze wznoszą się w górę, a aniołowie wychylają się z nieba, by słuchać").

Na tych organach w czasie swego pobytu w Arkadii grał Stanisław Przybyszewski. Często siadał przy organach arkadyjskich, aby nasycać się grą, piekielnie burzliwą, kapryśną i niesamowitą.

Eugeniusz Morawski, wybitny przedstawiciel współczesnej muzyki polskiej i Mikołaj Konstanty Czurlionis, niezwykłego i nawskroś oryginalnego talentu muzyk i malarz, grali przeważnie fugi Bacha.

Czasem rozlegał się nad stawem śpiew Tadeusza Pruszkowskiego, obdarzonego kapitalnym głosem i słuchem. Szyby wtedy drżały w Swiątyni Diany.

Na okrzyk dyżurnego dnia: „obiad! obiad!", muzycy przerywali grę i pędzili z wszystkimi słuchaczami do szwajcarskiego domku, rzucając się z wilczą żarłocznością do stołu. Po smacznym obiedzie rozlegały się w sali jadalnej oklaski i śpiewy chóralne, natomiast po nieudałym wszyscy gwizdali, wyli i tupali nogami.

Punktualnie o godzinie pierwszej rozpoczynano popołudniową pracę malarską. Krzyżanowski już nie przeprowadzał korekty, gdyż wtedy zazwyczaj sam malował. Z tych czasów pochodził obraz jego pędzla, przedstawiający uczennicę Emilię Wysocką w stroju łowickim na tle gotyckiego domku (obraz ten spalił się w czasie powstania warszawskiego w 1944 roku). Kolorystyka w tym obrazie nie odgrywała głównej roli. Mimo studiów plein-airowych płótna Krzyżanowskiego były pełne ciemnych tonacji. To też zawzięci impresjoniści ciągle zarzucali znakomitemu Krzyżanowskemu, że „maluje błotem".

O godzinie czwartej schodzono się na podwieczorek, a potem znów malowano aż do godziny siódmej, t. j. do kolacji. Po wieczerzy rozmawiano o sztuce bądź słuchano opowiadań Krzyżanowskiego. Czasem w półświetle dużej lampy naftowej czytał ktoś z uczniów głośno utwory Słowackiego, Kasprowicza, Przybyszewskiego, Nietzschego, Szewczenki i poezje ze świeżych zeszytów „Chimery". Niekiedy czytającym bywał sam Krzyżanowski, a czytał świetnie. Nieraz rysowano jeszcze przy lampie. I Krzyżanowski chwytał wtedy za ołówek lub węgiel; chętnie szkicował głowę swego ulubionego ucznia Zygmunta Andrzejewskiego, zachwycając się jego „prawdziwie polskimi ustami".

Przy zapadającym zmierzchu często zbierano się na tarasie Świątyni Diany, aby posłuchać gry na organach. Wśród słuchaczów znajdował się niekiedy i Władysław Umiński, popularny autor „Podróży bez pieniędzy" i innych powieści dla młodzieży, mieszkający wówczas także w Arkadii.

Koło godziny jedenastej wszyscy mniej więcej spali.

VI

W soboty prace malarskie trwały tylko do godziny dziesiątej rano. Resztę dnia poświęcano na reperację ubrań, naprawianie butów, sporządzanie ram do świeżych płócien itd. Po zakończeniu wszelkiego rodzaju prac wybierano się w so-

botę albo w niedzielę na dłuższe przechadzki, zwykle gremialnie, do Zielkowic, Bednar, Bolimowa i Nieborowa, gdzie zwiedzano pałac z końca XVII wieku oraz stylowy ogród francuski i park angielski. W Nieborowie Krzyżanowski namalował marmurowy sarkofag starorzymski, stojący w głównej alei ogrodowej. Koczowano też po wielu wsiach łowickich, zwiedzając zabudowania gospodarcze i wnętrza izb księżackich.

Ci, którym abstynencja bardziej dokuczała, szli na wyścigi do Łowicza, najczęściej z Krzyżanowskim, aby wstąpić do restauracji na Starym Rynku.

Mniej więcej 100 lat przed tym wybierał się z Arkadii do Łowicza Norblin ze swymi uczniami, Orłowskim, Płońskim i Rustemem. W Łowiczu zawsze zatrzymywał się Norblin, kiedy jeździł z Warszawy do Arkadii. Z tych czasów pochodziły rysunki, przechowywane przed wojną w Gołuchowie Czartoryskich. M. in. znajdował się tam wykonany przez Norblina szkic „Odpustu w Łowiczu", mający w tle dwa kościoły, oraz rysunek z 1785 roku, przedstawiający bramę miejską w Łowiczu. Krzyżanowski nie posiadał norblinowskiego zamiłowania do malowania zabytków. To też uczestnicy arkadyjskich studiów plein-airowych prawie nic nie malowali w Łowiczu. Zresztą w owych czasach policja carska niechętnie patrzała na artystów, malujących gmachy czy motywy architektoniczne. Przecież i studia plein-airowe wydały się jej podejrzane, choć odbywały się za specjalnym pozwoleniem generał-gubernatora warszawskiego. Gdyby władze ówczesne przewidziały przyszłą działalność niepodległościową uczestników studiów malarskich, to zapewne nie obeszłoby się wtedy bez licznych aresztowań.

Pod koniec studiów plein-airowych Andrzejewski, Czarkowski, Krasowski, Pruszkowski i Załuska z profesorem Krzyżanowskim wybrali się pieszo do Gopła. Tymczasem w Łęczycy policja wsadziła wszystkich do „ula", sądząc, że ma do czynienia z bandytami. Dopiero po kilku godzinach pozwolono im ruszyć dalej. Zaledwie jednak doszli do Koła, znowu spotkała ich niemiła przygoda. Pragnęli mianowicie zatrzymać się na plebanii, gdzie przebywał kolega Krzyżanowskiego, prof. Edward Trojanowski, który miał malować w miejscowym kościele. Ale Trojanowski był nieobecny wtedy, a ksiądz, biorąc ich również za zbójów, zamknął przed nimi drzwi i nawet po dłuższej rozmowie przez okno nie uwierzył, że rozmawia z malarzami i z profesorem Szkoły

Sztuk Pięknych. Zaproponował więc Krzyżanowskiemu, aby dla udowodnienia, że jest artystą, namalował kościół. Rozgniewany tym Krzyżanowski machnął ręką na plebanię, i wszyscy udali się w dalszą drogę. Doszli wreszcie do Gopła, które Krzyżanowski namalował z sentymentem i dużą pasją. Od jeziora ruszyli do Włocławka, i stąd koleją wrócili do Łowicza.

VII

W czasie studiów malarskich Arkadia przepełniona była wesołością, śpiewem i muzyką. Nikomu nie zbywało tutaj na fantazji ani na humorze. Pracowano, flirtowano i bawiono się. Niektórzy uczniowie ożenili się później ze swymi koleżankami z którymi spędzali mile czas na studiach arkadyjskich. Sam Krzyżanowski ożenił się ze swą zdolną uczennicą Michaliną Piotruszewską.

W Arkadii urządzano także zabawy taneczne i bale kostiumowe. Podczas jednej maskarady Eugeniusz Morawski ucharakteryzował się za Wodnika. Opędzlował sobie twarz na zielono, włożył na nos białe okulary, okręcił się wodorostami i „wynurzał się" ze stawu przy blasku płonących lamp. Krasowski włożył na siebie kożuch, oplątał się chmielem, przyprawił sobie różki i udawał satyra. Parę uczennic przebrało się za nimfy, a potężny Czarkowski, który podpił sobie przy robieniu kruszonu, okryty słomą, jako Chochoł z „Wesela" Wyspiańskiego wołał ze wszystkich sił, dopóki nie zwalił się gdzieś jak kłoda:

„Miałeś chamie złoty róg,
miałeś chamie czapkę z piór:
czapkę wicher niesie,
róg huka po lesie,
ostał ci się ino sznur,
ostał ci się ino sznur."

Kiedy studia plein-airowe skończyły się, „rozśpiewana Arkadia", którą opuszczano pojedynczo i grupkami, stawała się z każdym dniem cichsza i samotniejsza.

Rozpoczął się nowy rok szkolny. Z arkadyjskich prac wakacyjnych, które później niemal wszystkie miały się spalić w czasie pożaru gmachu Szkoły Sztuk Pięknych, urządzono wystawę. Po wakacjach znów malowano w szarych salach szkolnych aż do lata następnego roku.

W 1905 r. pod kierunkiem prof. Konrada Krzyżanowskiego odbyły się studia plein-airowe w Zwierzyńcu w Lubelskim, w 1906 r. w Istebnej w Cieszyńskim, w 1907 r. w Werkach pod Wilnem, w 1908 r. w okolicach Libawy oraz w Finlandii . . . Ale z pierwszych dwumiesięcznych studiów plein-airowych w Arkadii pozostały wśród uczennic i uczniów najmilsze wspomnienia.

TURECKO — MONGOLSKA CHRONOLOGIA

Chronologię czyli rachubę czasu można podzielić na dwie części: 1. chronologię matematyczną,
2. chronologię historyczną, względnie techniczną.

Chronologia matematyczna ma za zadanie ustalenie ścisłego czasu astronomicznego według ruchu ciał niebieskich za pomocą odpowiednich obliczeń.

Zadaniem chronologii historycznej jest określenie czasu poszczegółych wypadków dziejowych drogą badania dokumentalnych danych. Zajmuje się więc naukowym opracowaniem dat spotykanych w historycznych źródłach naukowych.

Rachuba czasu u różnych narodów w poszczególnych epokach ich dziejów nie była jednakowa, dlatego też spostrzegamy wielką rozmaitość w sposobach datowania w źródłach historycznych. Dla dokładnego pojęcia datowania konieczną się staje znajomość różnych systemów chronologicznych, stosowanych przez poszczególne narody, ale również potrzebna jest umiejętność przeliczania dat ze starej rachuby czasu na nową, przyjętą obecnie.

Chronologia należy do rzędu ważniejszych pomocniczych dyscyplin historii, ponieważ rozmieszczanie wypadków w czasie, jest nieodzownym warunkiem naukowego poznania minionych dziejów.

Chronologicznymi datami nazywamy daty wypadków dziejowych, opracowanych za pomocą tych środków technicznych, którymi rozporządza dyscyplina pomocnicza — historyczna względnie techniczna chronologia.

Historyczna chronologia opracowuje metody naukowej analizy źródeł na podstawie danych którymi rozporządza chronologia matematyczna, ponieważ różne systemy pomiaru czasu są w ścisłym związku z obserwacją nad zjawiskami natury (astronomicznymi). Astronomiczne zjawiska są podstawą do rachuby czasu. W szeregu zjawisk astronomicznych można zauważyć ich ścisłą powtarzalność. Wystarczy wskazać na periodyczne zmiany dnia i nocy, faz księżyca, pór roku itd.

Te ściśle periodyczne zmiany w życiu natury, zależne od ruchu ciał niebieskich, były od dawna zauważone przez ludzi i użyte jako podstawy do rachuby czasu.

Większość narodów kulturalnych używa trzech podstawowych jednostek miary czasu — doby, miesiąca i roku. Te trzy jednostki miary czasu są określone trzema czynnikami astronomicznymi: obrotem ziemi dokoła swej osi, ruchem księżyca dokoła ziemi i ruchem ziemi dokoła słońca.

Średni okres czasu, w przeciągu którego ziemia dokonuje pełnego obrotu dokoła swej osi, wynosi około 24 godzin.

Astronomia nazywa to dobą słoneczną.

Okres zmian faz księżyca, — jak nów, pierwsza kwadra, pełnia, ostatnia kwadra, zależny od obrotu księżyca dokoła ziemi, nazywamy miesiącem synodycznym. Długość jego wynosi 29,5306 dób względnie 29 dób 12 godzin i 3 sekundy. Synodyczny obieg tj. czas upływający między dwiema następującymi po sobie koniunkcjami nowiu księżyca, dlatego jest nazwany miesiącem synodycznym, że księżyc obracając się dokoła ziemi i przybierając różne położenia względem słońca, wkońcu okresu jakby się styka z nowiem.

Okres obrotu ziemi dokoła słońca astronomia nazywa rokiem zwrotnikowym, tropicznym, względnie słonecznym. Długość jego określa się na 365,2422 przeciętnych dób czyli 365 dób 5 godzin 48 minut i 46 sekund.

Początek roku u różnych ludów przypada na różne okresy czasu.

Dla obliczenia długości roku słonecznego, astronomowie biorą za podstawę liczbę stałą, a mianowicie wiosenne porównanie dnia z nocą, tj. gdy długość dnia z nocą jest jednakowa.

System rachuby czasu, oparty na ściśle określonym stosunku poszczególnych jednostek rachuby jak rok, miesiąc, doba, nazywamy kalendarzem.

Z pośród wielu kalendarzy różnego systemu można wydzielić dwa zasadnicze typy, a mianowicie: 1. kalendarz słoneczny, mający za podstawę astronomiczną rok słoneczny czyli okres rocznego obrotu ziemi dokoła słońca.

2. Kalendarz księżycowy, oparty na podstawie miesiąca synodycznego czyli skończonego okresu zmian faz księżyca.

Budowa obu typów kalendarza nie jest doskonała z tego względu, że dni, rok słoneczny, ani też miesiąc synodyczny nie zawierają w sobie pełnej ilości dób.

Dlatego też istnieje odchylenie od danych astronomicznych przy ustalaniu długości roku i miesiąca kalendarzowego. Istnieje też system kalendarza połączonego czyli słoneczno-księżycowego, którego zadaniem jest ustalenie stosunku między dwiema jednostkami: długości roku słonecznego (= 365,2422 doby) i miesiąca księżycowego (= 29,5306 dób).

Rok słoneczny nie zawiera pełnej liczby miesięcy księżycowych i stosunek ten można ustalić pod warunkiem, jeżeli pewien okres będzie zawierał w sobie określoną ilość lat kalendarzowych o długości 12 miesięcy księżycowych oraz pewną ilość lat po 13 miesięcy księżycowych.

Zadanie to zostało rozwiązane przez narody tureckie. Narody mongolskie przejęły system kalendarza tureckiego i udoskonaliły go za czasów Czyngis-chana w roku 1210, następnie Kubiłaj-chana w r. 1267 i 1280. Trudnym jednak jest ostatecznie ustalić, kto był twórcą tego systemu astronomicznego.

Jedni przypisują to turkom orchońskim i Ujgurom, inni zaś przypuszczają, ze kwestia pochodzenia chronologii tureckiej wiąże się z rolą Sogdyjczyków w szerzeniu kultury wśrod ludów Azji środkowej i wskazuje na drogę od Babilonu przez Iran w kierunku Azji środkowej i że na tej drodze należy szukać rozwiązania tej zawiłej kwestii.

W systemie chronologicznym turecko-mongolskim wzięto za podstawę obserwacji, że 19 lat słonecznych ma pełnych 235 miesięcy księżycowych.

W ciągu dziewiętnastoletniego okresu księżyc kończy swój bieg okrężny i wraca do punktu wyjściowego według kalendarza słonecznego.

19 lat słonecznych zawiera 365,25 dób $\times$ 19 = 6939,75 dób.

Przekładając to na kalendarz księżycowy 6939,7 : 29,5306 = 235 miesięcy księżycowych.

Ten dziewiętnastoletni cykl księżycowy został odkryty w V wieku przed Chrystusem przez greka Metona.

Turcy zas doszli do tego odkrycia niezależnie od Metona.

Turecko-mongolski system kalendarzowy ustala w ramach każdego dziewiętnastoletniego cyklu kolejne zmiany 12 lat zwykłych (po 12 miesięcy) i 7 lat przedłużonych (po 13 miesięcy) czyli (12 miesięcy $\times$ 12) + (7 miesięcy $\times$ 13) = 235 miesięcy.

W roku zwykłym każdy miesiąc miał swe liczbowe określenia od 1-go do 12-go. Dlatego też w datach turecko-mongolskiego kalendarza zwykle się spotyka określenia roku i podaje się liczbę kolejną miesiąca.

Czasem też podawano rachubę czasu według pór roku: wiosna, lato, jesień, zima. Każda pora roku dzieliła się na trzy miesiące: początkowy, średni i ostatni. Z tej kombinacji powstały daty kalendarzowe: pierwszy — letni miesiąc, średni — jesienny miesiąc, ostatni — zimowy miesiąc.

Początek roku przypadał na wiosnę, pierwszy zaś miesiąc wiosenny odpowiadał naszemu styczniowi względnie lutemu. Miesiąc dzielił się na dwie połowy: nową i starą.

W dyplomach tureckich i mongolskich spotykamy określenie: letniego pierwszego miesiąca w dziewiąty dzień starej połowy tzn. 9-go dnia drugiej połowy letniego miesiąca (czwartego miesiąca od początku roku).

W założeniu kalendarz turecko-mongolski miał szczególną rachubę cykliczną, a mianowicie 12-letni cykl. Każdy rok w obrębie 12 letniego cyklu miał nazwę pewnego zwierzęcia:

1 rok — myszy, szczura
2 ,, — krowy, cielca, byka
3 ,, — tygrysa
4 ,, — zająca
5 ,, — smoka, krokodyla
6 ,, — żmiji, węża
7 ,, — konia, rumaka
8 ,, — owcy, barana
9 ,, — małpy
10 ,, — kury
11 ,, — psa
12 ,, — świni

Miesiące miały również nazwy tych samych zwierząt i widocznie odpowiadały nazwom zodjaka (tablica nr I). Turcy orchońscy oznaczali również miesiące liczbami głównymi, zaś dni miesiąca liczbami porządkowymi.

Z biegiem czasu pod wpływem Tybetu 12-letni cykl przedłużono na 60-letni.

Ten 60-letni cykl był zbudowany trochę inaczej, a mianowicie: do 12 nazw zwierzęcych dodano 5 żywiołów: drzewo, ogień, ziemia, żelazo i woda.

Nazwy zwierząt zmieniały się kolejno corocznie w obrębie cyklu, natomiast nazwy żywiołów stosowano do każdych 2 lat z rzędu.

Przy takim systemie kombinacja nazw pewnego zwierzęcia i pewnego żywiołu trafiała się tylko raz w ciągu 60 lat.

Np. w ciągu 60-letniego cyklu zdarzała się tylko 1 raz nazwa wody i małpy, wody i psa, wody i węża, wody i smoka itd.

Nazwy zwierzęce miesięcy

Liczba porządkowa	Cykl zwierzęcy	Znak zodjaku	Miesiące
1	Mysz	koziorożec	styczeń
2	byk	wodnik	luty
3	tygrys	ryby	marzec
4	zając	baran	kwiecień
5	smok	byk	maj
6	wąż	bliźnięta	czerwiec
7	koń	rak	lipiec
8	baran	lew	sierpień
9	małpa	panna	wrzesień
10	kura	waga	październik
11	pies	niedźwiadek (skorpion)	listopad
12	świnia	strzelec	grudzień

Dla odróżnienia dwóch sąsiadujących lat mających nazwę tego samego żywiołu, dodawano określenia rodzaju męskiego względnie żeńskiego. Naprzykład, męski rodzaj ognia i psa, żeński rodzaj ognia i świni itd.

Czasem zamiast nazw żywiołów używano nazwy pięciu kolorów. Każdemu żywiołowi odpowiadał inny ściśle określony kolor. Drzewo — błękitny lub niebieski, ogień — czerwony, ziemia — żółty, żelazo — biały, woda — czarny

Jeżeli nazwa żywiołu występowała w połączeniu z rodzajem męskim, kolor go zastępujący występował w formie podstawowej jak niebieski, czerwony, żółty itd.

Natomiast przy zastosowaniu zastępstwa kolorów względem rodzaju żeńskiego, używano formy o znaczeniu zmniejszonym, niebieskawy, czerwonawy, żółtawy itd.

Stosując w ten sposób nomenklaturę kalendarzową w obrębie 60-letniego turecko-mongolskiego cyklu, określano daty następująco: rok ognia i myszy, względnie czerwonej myszy, rok ognia i psa wzlędnie czerwonego psa, rok wody i węża względnie czerwonego węża.

Oprócz tego poszczególne lata 60-letniego cyklu mają inne jeszcze określenia. Naprzykład czwarty rok ognia i zająca na-

zywa się „zupełnym”, dwunasty drzewa i świni „dokonaniem w życiu”.

Przy cyklicznym systemie chronologji należy ustalić punkt wyjściowy (erę), od którego prowadzi się rachubę cyklów. Turecko-mongolska rachuba 60-letnich cyklów rozpoczyna się od roku 1027 po Chrystusie.

Rok ten zwany „Rabezzunem” rozpoczyna rachubę turecko-mongolskiego systemu chronologicznego i zajmuje czwarte z rzędu miejsce w pierwszym cyklu.

Rok 1027 był według turecko mongolskiej nomenklatury rokiem ognia i zająca, wszystkie następne lata również się podają w cyklach ognia i zająca.

Jeżeli jest mowa o piątym cyklu ognia i zająca, tzn. że się mówi o piątym 60-letnim okresie ery turecko-mongolskiej, tj. począwszy od roku 1027, „rabezzuna”, który był czwartym z rzędu w cyklu początkowym i zwał się rokiem ognia i zająca.

Dla ścisłego datowania turecko-mongolskie dane zwykle zawierają:

1. nazwę roku oraz miejsce porządkowe w obrębie bieżącego 60-letniego cyklu,
2. liczbę porządkową cyklu ognia i zająca, tj. tego nie zakończonego okresu, w którym umieszczony jest interesujący nas rok, biorąc za początkowy ten cykl, gdzie czwarte miejsce zajmuje rok 1027 — rok ognia i zająca, naprzykład: rok żelaza i białego smoka w ósmym cyklu ognia i zająca; rok ognia i czerwonego psa w szesnastym cyklu ognia i zająca.

Według podanej tablicy nr 2 (dołączonej oddzielnie w zakończeniu numeru „Nauka i Sztuki”) zamiany dat turecko-mongolskiej chronologji na chrześcijańską, ustalamy, że rok 1946 jest rokiem ognia i czerwonego psa.

Zamiana dat turecko-mongolskiej ery na współczesną europejską dokonuje się w następujący sposób:

W pierwszej lewej prostopadłej kolumnie mamy miejsce porządkowe roku w 60-letnim cyklu.

W drugiej od lewa kolumnie odnajdujemy nazwę roku. Następnie posuwamy się w kierunku poziomym do tej kolumny, gdzie jest oznaczona data ery turecko-mongolskiej, tj. rok 1027. To będzie pierwsza kolumna zawierająca daty. Posuwając się dalej w kierunku poziomym odliczamy tyle 60-leci, ile nam podano cyklów ognia i zająca i odnajdujemy datę ery współczesnej. Załączona tablica nr 2 odgrywa rolę pomocniczą drugorzę-

dną. Do zamiany dat chronologji turecko-mongolskiej na współczesną służy odpowiednia formułka.

Formułka zamiany dat jest następująca: X=1027+N+C—4. X jest data poszukiwana współczesnej ery europejskiej.

N oznacza miejsce porządkowe nazwy danego turecko-mongolskiego roku w obrębie 60-letniego cyklu. C podaje nam ilość lat w obrębie pełnych cyklów ognia i zająca.

Dla dokładnego zrozumienia znaczenia formułki można jeszcze dać dodatkowe wyjaśnienia.

Turecko-mongolska era zaczęła się w roku 1027 lat po narodzeniu Chrystusa. Wynika z tego, że przy zamianie dat ery turecko-mongolskiej na naszą należy liczbę 1027 przyjąć za podstawowy składnik. Składnik ten trzeba powiększyć o ilość lat, znajdujących się w obrębie tych cyklów ognia i zająca, które zostały całkowicie zakończone do nastania daty turecko-mongolskiej podlegającej zamianie.

Ostatni bieżący cykl bierzemy jako składnik nie całkowity, ponieważ trzeba od niego odjąć tylko taką ilość lat na jaką wskazuje liczba porządkowa, zajmująca w cyklu nazwę interesującej nas turecko-mongolskiej daty.

Łatwo się przekonać, że suma ta (1027 + C + N) zawiera błąd w ilości 4 przy zamianie turecko-mongolskiej daty na datę ery europejskiej.

1027 rok (ognia i zająca) jak wynika z tablicy nr 2 zajmuje czwarte miejsce w cyklu. To znaczy, że przy podliczeniu pełnych cyklów (C) od roku 1027 w pierwszym cyklu należało liczyć nie 60 lecz 56 lat. Dla usunięcia więc tego błędu odejmujemy liczbę 4.

Na przykładach można się przekonać o zastosowaniu formułki.

Przypuśćmy że podano nam rok czarnej małpy w czternastym cyklu ognia i zająca.

Rok czarnej małpy znajduje się na 9-tym miejscu w cyklu (patrz pierwsza kolumna tabl. nr 2). Wynika z tego, że N = 9.

Pełnych cyklów ognia i zająca minęło 13.
A więc C=13 x 60=780. Czyli, że X=1027+780+9—4=1812 r.

Zrozumiałym się staje, że zamiana turecko-mongolskich dat na naszą erę możliwą jest jedynie w tym wypadku, jeżeli mamy dane w jakim są cyklu ognia i zająca. Bez tego nie możemy dać ścisłych obliczeń.

Drugi przykład. Rok ognia i czerwonego psa w 16-tym cyklu ognia i zająca. Rok ten zajmuje 23-cie miejsce w cyklu.

Tablica Nr 2

ZAMIANA DAT TURECKO-MONGOLSKICHRONOLOGII NA CHRZEŚCIJAŃSKĄ

Liczba porządkowa w cyklu	Rodzaj i nazwa lat turecko-monogolskiego sześćdziesiątletniego cyklu				DATA ERY CHRZEŚCIJAŃSKIEJ															
	Rodzaj M(asculini) F(eminini)	Żywioł	Kolor	Zwierzę (znak Zodjaka)																
1	M	drzewo	błękitny, niebieski	mysz, szczur		1084	1204	1264	1324	1384	1444	1504	1564	1624	1684	1744	1804	1864	1924	1984
2	F	drzewo	błękitnawy, niebieskawy	krowa, cielec, byk		1085	1205	1265	1325	1385	1445	1505	1565	1625	1685	1745	1805	1865	1925	1985
3	M	ogień	czerwony	tygrys		1086	1206	1266	1326	1386	1446	1506	1566	1626	1686	1746	1806	1866	1926	1986
4	F	ogień	czerwonawy	zając	1027	1087	1207	1267	1327	1387	1447	1507	1567	1627	1687	1747	1807	1867	1927	1987
5	M	ziemia	żółty	smok, krokodyl	1028	1088	1208	1268	1328	1388	1448	1508	1568	1628	1688	1748	1808	1868	1928	1988
6	F	ziemia	żółtawy	żmija, wąż	1029	1089	1209	1269	1329	1389	1449	1509	1569	1629	1689	1749	1809	1869	1929	1989
7	M	żelazo	biały	koń, rumak	1030	1090	1210	1270	1330	1390	1450	1510	1570	1630	1690	1750	1810	1870	1930	1990
8	F	żelazo	białawy	owca, baran	1031	1091	1211	1271	1331	1391	1451	1511	1571	1631	1691	1751	1811	1871	1931	1991
9	M	woda	czarny	małpa	1032	1092	1212	1272	1332	1392	1452	1512	1572	1632	1692	1752	1812	1872	1932	1992
10	F	woda	czarniawy	kura	1033	1093	1213	1273	1333	1393	1453	1513	1573	1633	1693	1753	1813	1873	1933	1993
11	M	drzewo	błękitny, niebieski	pies	1034	1094	1214	1274	1334	1394	1454	1514	1574	1634	1694	1754	1814	1874	1934	1994
12	F	drzewo	błękitnawy, niebieskawy	świnia	1035	1095	1215	1275	1335	1395	1455	1515	1575	1635	1695	1755	1815	1875	1935	1995
13	M	ogień	czerwony	mysz, szczur	1036	1096	1216	1276	1336	1396	1456	1516	1576	1636	1696	1756	1816	1876	1936	1996
14	F	ogień	czerwonawy	krowa, cielec, byk	1037	1097	1217	1277	1337	1397	1457	1517	1577	1637	1697	1757	1817	1877	1937	1997
15	M	ziemia	żółty	tygrys	1038	1098	1218	1278	1338	1398	1458	1518	1578	1638	1698	1758	1818	1878	1938	1998
16	F	ziemia	żółtawy	zając	1039	1099	1219	1279	1339	1399	1459	1519	1579	1639	1699	1759	1819	1879	1939	1999
17	M	żelazo	biały	smok, krokodyl	1040	1100	1220	1280	1340	1400	1460	1520	1580	1640	1700	1760	1820	1880	1940	2000
18	F	żelazo	białawy	żmija, wąż	1041	1101	1221	1281	1341	1401	1461	1521	1581	1641	1701	1761	1821	1881	1941	2001
19	M	woda	czarny	koń, rumak	1042	1102	1222	1282	1342	1402	1462	1522	1582	1642	1702	1762	1822	1882	1942	2002
20	F	woda	czarniawy	owca, baran	1043	1103	1223	1283	1343	1403	1463	1523	1583	1643	1703	1763	1823	1883	1943	2003
21	M	drzewo	błękitny, niebieski	małpa	1044	1104	1224	1284	1344	1404	1464	1524	1584	1644	1704	1764	1824	1884	1944	2004
22	F	drzewo	błękitnawy, niebieskawy	kura	1045	1105	1225	1285	1345	1405	1465	1525	1585	1645	1705	1765	1825	1885	1945	2005
23	M	ogień	czerwony	pies	1046	1106	1226	1286	1346	1406	1466	1526	1586	1646	1706	1766	1826	1886	1946	2006
24	F	ogień	czerwonawy	świnia	1047	1107	1227	1287	1347	1407	1467	1527	1587	1647	1707	1767	1827	1887	1947	2007
25	M	ziemia	żółty	mysz, szczur	1048	1108	1228	1288	1348	1408	1468	1528	1588	1648	1708	1768	1828	1888	1948	2008
26	F	ziemia	żółtawy	krowa, cielec, byk	1049	1109	1229	1289	1349	1409	1469	1529	1589	1649	1709	1769	1829	1889	1949	2009
27	M	żelazo	biały	tygrys	1050	1110	1230	1290	1350	1410	1470	1530	1590	1650	1710	1770	1830	1890	1950	2010
28	F	żelazo	białawy	zając	1051	1111	1231	1291	1351	1411	1471	1531	1591	1651	1711	1771	1831	1891	1951	2011
29	M	woda	czarny	smok, krokodyl	1052	1112	1232	1292	1352	1412	1472	1532	1592	1652	1712	1772	1832	1892	1952	2012
30	F	woda	czarniawy	żmija, wąż	1053	1113	1233	1293	1353	1413	1473	1533	1593	1653	1713	1773	1833	1893	1953	2013
31	M	drzewo	błękitny, niebieski	koń, rumak	1054	1114	1234	1294	1354	1414	1474	1534	1594	1654	1714	1774	1834	1894	1954	2014
32	F	drzewo	błękitnawy, niebieskawy	owca, baran	1055	1115	1235	1295	1355	1415	1475	1535	1595	1655	1715	1775	1835	1895	1955	2015
33	M	ogień	czerwony	małpa	1056	1116	1236	1296	1356	1416	1476	1536	1596	1656	1716	1776	1836	1896	1956	2016
34	F	ogień	czerwonawy	kura	1057	1117	1237	1297	1357	1417	1477	1537	1597	1657	1717	1777	1837	1897	1957	2017
35	M	ziemia	żółty	pies	1058	1118	1238	1298	1358	1418	1478	1538	1598	1658	1718	1778	1838	1898	1958	2018
36	F	ziemia	żółtawy	świnia	1059	1119	1239	1299	1359	1419	1479	1539	1599	1659	1719	1779	1839	1899	1959	2019
37	M	żelazo	biały	mysz, szczur	1060	1120	1240	1300	1360	1420	1480	1540	1600	1660	1720	1780	1840	1900	1960	2020
38	F	żelazo	białawy	krowa, cielec, byk	1061	1121	1241	1301	1361	1421	1481	1541	1601	1661	1721	1781	1841	1901	1961	2021
39	M	woda	czarny	tygrys	1062	1122	1242	1302	1362	1422	1482	1542	1602	1662	1722	1782	1842	1902	1962	2022
40	F	woda	czarniawy	zając	1063	1123	1243	1303	1363	1423	1483	1543	1603	1663	1723	1783	1843	1903	1963	2023
41	M	drzewo	błękitny, niebieski	smok, krokodyl	1064	1124	1244	1304	1364	1424	1484	1544	1604	1664	1724	1784	1844	1904	1964	2024
42	F	drzewo	błękitnawy, niebieskawy	żmija, wąż	1065	1125	1245	1305	1365	1425	1485	1545	1605	1665	1725	1785	1845	1905	1965	2025
43	M	ogień	czerwony	koń, rumak	1066	1126	1246	1306	1366	1426	1486	1546	1606	1666	1726	1786	1846	1906	1966	2026
44	F	ogień	czerwonawy	owca, baran	1067	1127	1247	1307	1367	1427	1487	1547	1607	1667	1727	1787	1847	1907	1967	2027
45	M	ziemia	żółty	małpa	1068	1128	1248	1308	1368	1428	1488	1548	1608	1668	1728	1788	1848	1908	1968	2028
46	F	ziemia	żółtawy	kura	1069	1129	1249	1309	1369	1429	1489	1549	1609	1669	1729	1789	1849	1909	1969	2029
47	M	żelazo	biały	pies	1070	1130	1250	1310	1370	1430	1490	1550	1610	1670	1730	1790	1850	1910	1970	2030
48	F	żelazo	białawy	świnia	1071	1131	1251	1311	1371	1431	1491	1551	1611	1671	1731	1791	1851	1911	1971	2031
49	M	woda	czarny	mysz, szczur	1072	1132	1252	1312	1372	1432	1492	1552	1612	1672	1732	1792	1852	1912	1972	2032
50	F	woda	czarniawy	krowa, cielec, byk	1073	1133	1253	1313	1373	1433	1493	1553	1613	1673	1733	1793	1853	1913	1973	2033
51	M	drzewo	błękitny, niebieski	tygrys	1074	1134	1254	1314	1374	1434	1494	1554	1614	1674	1734	1794	1854	1914	1974	2034
52	F	drzewo	błękitnawy, niebieskawy	zając	1075	1135	1255	1315	1375	1435	1495	1555	1615	1675	1735	1795	1855	1915	1975	2035
53	M	ogień	czerwony	smok, krokodyl	1076	1136	1256	1316	1376	1436	1496	1556	1616	1676	1736	1796	1856	1916	1976	2036
54	F	ogień	czerwonawy	żmija, wąż	1077	1137	1257	1317	1377	1437	1497	1557	1617	1677	1737	1797	1857	1917	1977	2037
55	M	ziemia	żółty	koń, rumak	1078	1138	1258	1318	1378	1438	1498	1558	1618	1678	1738	1798	1858	1918	1978	2038
56	F	ziemia	żółtawy	owca, baran	1079	1139	1259	1319	1379	1439	1499	1559	1619	1679	1739	1799	1859	1919	1979	2039
57	M	żelazo	biały	małpa	1080	1140	1260	1320	1380	1440	1500	1560	1620	1680	1740	1800	1860	1920	1980	2040
58	F	żelazo	białawy	kura	1081	1141	1261	1321	1381	1441	1501	1561	1621	1681	1741	1801	1861	1921	1981	2041
59	M	woda	czarny	pies	1082	1142	1262	1322	1382	1442	1502	1562	1622	1682	1742	1802	1862	1922	1982	2042
60	F	woda	czarniawy	świnia	1083	1143	1263	1323	1383	1443	1503	1563	1623	1683	1743	1803	1863	1923	1983	2043

Wobec tego N=23. Pełnych cyklów ognia i zająca minęło 15. Czyli że C=15 x 60=900. Mamy przeto: X=1027+23+900—4 = 1946 rok.

Jeżeli w źródłach podano np., rok wody i czarnego smoka lub wody i czarnego psa, trudnym jest ustalić rok naszej ery, ponieważ te nazwy powtarzają się w każdym 60-letnim cyklu.

Dla wykorzystania formułki koniecznym jest podanie określonego cyklu ognia i zająca.

Dla zupełnej ścisłości przy zamianie dat na naszą erę potrzebna jest też liczba i miesiąc kalendarza turecko-mongolskiego. Następnie ważnym jest to, że początek każdego miesiąca turecko-mongolskiego przypada na nów. Należy więc to uwzględnić, mając podaną liczbę porządkową miesiąca w obrębie roku (pierwszy miesiąc, drugi miesiąc itd.) i wskazane miejsce w obrębie pory roku (pierwszy miesiąc letni, drugi miesiąc zimowy itd.). Pierwszy miesiąc roku przypadał na nów w drugiej połowie stycznia lub pierwszej połowie lutego.

Przy rachubie według pór roku należy brać pod uwagę, że pierwszą porą roku podług kalendarza Juliańskiego była wiosna, drugą — lato, trzecią — jesień i czwartą — zima. Długość pory roku wynosiła trzy miesiące.

W wypadku podziału miesiąca na dwie połowy, nową i starą należy przyjąć, że średnia długość miesiąca księżycowego wynosi około 25,5 dób. Dla ułatwienia zamiany dat można nieco zaokrąglić tę liczbę do 30.

Zaleta turecko-mongolskiego kalendarza polega na tym, że on ustala określony związek pomiędzy rokiem słonecznym i miesiącem księżycowym oraz wyklucza możliwości błądzenia w określeniu początku roku w obrębie dat kalendarza Juliańskiego jak to ma miejsce, np. w kalendarzu muzułmańskim.

Całkiem widocznym się staje, że dla dokładnej zamiany dat systemu turecko-mongolskiej chronologii na naszą, koniecznym jest ustalenie przede wszystkim momentu nowiu dla każdego miesiąca kalendarza Juliańskiego, ponieważ początek nowiu kalendarza Juliańskiego odpowiada początkowi odnośnego miesiąca turecko-mongolskiego.

Za pomocą tablicy nr 3 ustalamy potrzebne nam terminy.

Tablica ta ułożona na zasadzie dziewiętnastoletniego cyklu daje porównanie kalendarza Juliańskiego z turecko-mongolskim. Według tego systemu po upływie każdych 19-tu lat fazy księżyca przypadają na te same liczby roku słonecznego.

Nowie księżyca

Nr porządkowy roku w cyklu księżycowym	Miesiące roku według kalendarza Juliańskiego											
	styczeń	luty	marzec	kwiecień	maj	czerwiec	lipiec	sierpień	wrzesień	październik	listopad	grudzień
1	13	11	13	11	11	9	9	7	6	6	4	4
2	2	1	2	1230	30	28	28	26	25	24	23	22
3	21	20	21	20	19	18	17	16	14	14	12	12
4	10	9	9	8	8	6	6	4	3	2	1230	30
5	28	27	28	27	26	25	24	23	22	21	20	19
6	18	16	18	16	16	14	14	12	11	10	9	8
7	7	6	7	6	5	4	3	2 i 31	30	29	28	27
8	26	24	25	24	23	22	21	20	18	18	16	16
9	14	13	14	13	12	11	10	9	8	7	6	5
10	4	2	4	2	2 i 31	30	29	28	26	26	24	24
11	23	21	23	21	21	19	19	17	16	15	14	13
12	12	10	11	10	9	8	7	6	4	4	2	2 i 31
13	30	28	30	28	28	26	26	25	23	23	21	21
14	19	18	19	18	17	16	15	14	12	12	10	10
15	9	7	9	7	7	5	5	3	2	1 i 31	29	29
16	27	26	27	25	25	23	23	21	20	19	18	17
17	16	14	16	14	14	12	12	11	9	9	7	7
18	5	4	5	4	3	2	1 i 31	29	28	27	26	26
19	24	23	24	23	22	21	20	19	17	17	15	15

Posługiwać się tablicą nr 3 należy w sposób następujący: W pierwszej lewej kolumnie znajdują się liczby porządkowe 19-letniego cyklu. W linii poziomej na prawo od każdej liczby porządkowej podane są liczby nowiu dla każdego z 12 miesięcy tych lat, które zajmują pewne miejsce porządkowe w obrębie cyklu księżycowego.

Rachuba cykliczna zaczyna się od pierwszego roku naszej ery, czyli że mając resztę od podziału daty przez 19 i po otrzy-

maniu w ten sposób liczby porządkowej w obrębie cyklu, znajdujemy na tablicy wszystkie 12 dat nowiu w roku.

Zgodność dat nowiu raz na lat 19 nie uwzględnia pewnej rozbieżności w godzinach i minutach.

Po upływie pewnego czasu rozbieżność ta staje się dość znaczna i wykazuje odchylenie, obliczane już na dobę.

Przy korzystaniu z tablicy trzeba brać pod uwagę rozbieżność na 1—2 dni.

Dla wprowadzenia ścisłości w obliczeniach dat nowiu, należy wnieść poprawki wg tablicy nr 4.

Tablica nr 4

Poprawki przy obliczeniach dat nowiu według stuleci.

Dla	IV—VI	stulecia	zmniejszyć	datę	o	1
„	VII—IX	„	„	„	„	2
„	X—XII	„	„	„	„	3
„	XIII—XV	„	„	„	„	4
„	XVI—XVIII	„	„	„	„	5
„	XIX—XX	„	„	„	„	6

Rozpowszechnienie Islamu wśród narodów turecko-mongolskich nie pozostało bez wpływu na chronologię turecko-mongolską. Zaczęły się ukazywać dokumenty datowane według kalendarzy turecko-mongolskiego i muzułmańskiego jednocześnie.

Tego rodzaju kombinowana rachuba czasu ustąpiła później miejsce kalendarzowi muzułmańskiemu. Pomimo wpływów urzędowych kalendarzy w przeciągu wielu stuleci niektóre ludy Azji używają kalendarza turecko-mongolskiego dotychczas.

Według relacji obecnego dyrektora Archiwum Państwowego w Wilnie, Hanifa Salimowa który od 1942 do 1944 r. przebywał w Jakucku, ludność kraju Jakutów obok kalendarza europejskiego dotychczas posługuje się częściowo kalendarzem turecko-mongolskim. Kirgizi również używają tego systemu rachuby czasu.

W. Kotwicz w swej rozprawie „O chronologii mongolskiej" Rocznik Orientalistyczny, t. IV. 1928, podaje, że również obecnie ten kalendarz ma zastosowanie wśród Burjatów.

Najbardziej na Zachód wysunięty naród, należący do grupy ludów tureckich, Karaimi, w swych kalendarzach drukowanych na Krymie, do r. 1876 podawali kalendarz turecko-mongolski cyklu zwierzęcego.

Bibliografia

Schiefner A.: Das dreizehn monatliche Jahr und die Monatsnamen der Sibirischen Völker.

Ginzel F. K.: Handbuch der mathematischen und technischen Chronologie II. 1911.

Kotwicz W. O Chronologii mongolskiej. Rocznik Orientalistyczny, t. II. 1925 i t. IV. 1928.

Czerepnin Ł. W.: Russkaja chronologia, 1944.

Jelnickij N.: Inorodcy Sibiri, 1908.

PRZEGLĄDY

MARCELI HANDELSMAN

PRZEMÓWIENIE NA AKADEMII W WARSZAWIE

Wśród tych, co przeżyli gehennę okupacji niemieckiej, zabrakło dobrego kolegi, wypróbowanego przyjaciela, niestrudzonego pracownika naukowego na polu historii powszechnej, wybitnego pedagoga i organizatora, dzielnego i ofiarnego obywatela Rzeczypospolitej. — Takim był Marceli Handelsman!

Szmat czasu się z Nim przeżyło, przepracowało, przewalczyło! Ludziom tego samego, co On pokolenia (rocznik 1882), Jego jasna i pogodna postać staje często przed oczami, przed myślą, przed sumieniem. — Złe moce wyrwały Go z naszych szeregów. Niepokoiliśmy się długo, dopytywaliśmy się, nasłuchiwaliśmy. — Od czasu do czasu nadchodziła jakaś wieść szeptana: — tu Go trzymają, — tam Go wywieźli. — W końcu zapadło groźniejsze od wieści milczenie. Rok już niemal upłynął, a o Nim głucho... Nie odezwał się, — nie wrócił...

Są ludzie, którzy późno wchodzą na właściwą drogę swego życia, którzy z trudem odnajdują samych siebie, którzy dochodzą do równowagi umysłowej i moralnej dopiero po ciężkich walkach i niebezpiecznych wykolejeniach. — Są inni od początku zrównoważeni i przeczuwający swoje powołanie. Marceli Handelsman należał do tych szczęśliwych natur, które wcześnie i z łatwością odkrywają swe gwiazdy.

Dopomogła do tego zapewne !a okoliczność, iż pochodził z rodziny o pięknej tradycji. Jego ojciec Julian w 1863 roku stanął do szeregu;— i syn Marceli będzie stawał do szeregu zarówno w 1905 roku, jak w 1920! W domu otaczała Go od dzieciństwa atmosfera życia umysłowego. Pierwszymi Jego krokami na polu studiów historycznych kierował Stanisław Posner. — Marceli Handelsman nie musiał walczyć z nędzą, jak tylu z naszej inteligencji. Miał środki, aby wyjechać po ukończeniu prawa na Imperatorskim Uniwersytecie w Warszawie do Berlina, a później, po przerwie, do Paryża, do Zurichu, aby tam bez troski studiować i prowadzić badania naukowe.

Tym może się tłumaczy, iż na tle nerwowego i zbolałego pokolenia On był pogodny i zrównoważony. — Ale te okoliczności zewnętrzne nie tłumaczą wszystkiego. I czynniki wewnętrzne musiały odegrać swoją rolę. Marceli Handelsman był szczęśliwie wyposażony przez przyrodę. Odkąd Go znam, — a pamiętam, gdy jeszcze chodził w granatowym mundurku ze srebrnymi guzikami do V Gimnazjum w Warszawie, — odznaczał się i wybitną inteligencją, i wielkimi zaletami charakteru. Był zrównoważony, pogodny i daleki od wszelkiego fanatyzmu. Miał umiar we wszystkim. A przy tym był naturą towarzyską, społeczną. Jego stosunek do człowieka był zawsze życzliwy. Lubił pomóc, dać dobrą radę, pouczyć, pokierować. Nie było w Nim przy tym nic z despoty-

zmu. Nie korzystał z przewagi moralnej, czy władzy, aby innym gwałtem coś narzucać. Wolał przekonywać i pociągać. W ten sposób często doprowadzał do tego, że większość sama chciała tego właśnie, co On uznawał za słuszne. To Go czyniło dobrym pedagogiem i organizatorem.

Marceli Handelsman nie należał do typu uczonych-samotników. Jego myśli dojrzewały we współpracy z kolegami, w obcowaniu z uczniami. Na seminariach, na kongresach naukowych, w towarzystwach badawczych czuł się w swoim żywiole. I z Nim było dobrze. W kraju i zagranicą ceniono Go i powoływano do współpracy. To też był członkiem licznych towarzystw naukowych polskich i zagranicznych, że tylko wymienię:—Towarzystwo Miłośników Historii, Towarzystwo Naukowe Warszawskie, Polskie Towarzystwo Historyczne, Polska Akademia Umiejętności, Akademia Nauk Moralnych i Politycznych w Paryżu, Królewskie Towarzystwo Historyczne w Londynie, Instytut Słowiański w Pradze i t.d.

Już w roku 1908 młody, bo zaledwie 26 lat liczący uczony, został powołany na członka zwyczajnego Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. W roku 1922 zostaje przewodniczącym Wydziału II tego Towarzystwa. Działalność jego na tym stanowisku przerwały dopiero wypadki wojenne. W ciągu 17 lat przedwojennych wydajność Jego pracy była wręcz imponująca. Przejrzałem Sprawozdania z posiedzeń Wydziału II. Nazwisko M. Handelsmana powtarza się w nich wielokrotnie. Bądź sam referuje, bądź przedstawia prace historyków nie będących członkami Towarzystwa, a prawie zawsze przewodniczy. Główne jednak zasługi M. Handelsmana na tym polu polegają na kierowaniu od 1912 roku Gabinetem Historycznym, oraz na organizowaniu i redagowaniu wydawnictw Wydziału II. Pod Jego okiem gromadziły się materiały do Bibliografii, stanowiącej dalszy ciąg znanej Bibliografii Estreichera i Finkla. On był od 1921 roku przewodniczącym Komisji Atlasu Historycznego. On wreszcie był redaktorem Rozpraw Historycznych od 1921 roku. Do roku 1939 wyszło około 20 tomów tych Rozpraw.

Wykładać historię powszechną rozpoczął Marceli Handelsman już w roku 1906 w Warszawie na Kursach Naukowych. W 1915 roku zastał profesorem historii powszechnej na Uniwersytecie Warszawskiem. Na tym stanowisku w przeciągu 24 lat pracował owocnie ucząc młodzież, sprawując wielokrotnie obowiązki dziekana i prowadząc badania naukowe. Z seminarium M. Handelsmana wyszło wielu historyków, obejmujących obecnie odpowiedzialne placówki naukowe. Praca Jego badawcza znalazła wyraz w licznych rozprawach i książkach. M. Handelsman był w Paryżu uczniem Gabriela Monod'a. Zdawało się, iż poświęci się badaniu wieków średnich. Z biegiem czasu rozszerzył on jednak zakres swoich zainteresowań, opracowując z równą znajomością rzeczy, tematy średniowieczne jak zagadnienie stosunków polsko-francuskich w epoce Napoleońskiej. Najcenniejszym Jego dziełem, jak można przewidywać, będzie wykończona już pod okupacją niemiecką trzytomowa monografia o ks. Adamie Czartoryskim.

Wszystko to wylicza się obecnie niemal jednym tchem. Kto jednak dotykał się podobnych spraw, ten wie, jakich przygotowań, jakich wysiłków trzeba było, aby to osiągnąć. Praca! — wytężona i owocna praca! — to trzeci czynnik, który urobił osobowość Marcelego Handelsmana. Tego czynnika nie zawdzięczał On już uśmiechom swego losu. Na to się złożyły Jego własne wysiłki. To On dał z samego siebie. Marceli Handelsman był niewyczerpany w pracy. Lubił pracować i umiał pracować. Praca Mu wypełniała życie aż do tragicznego, męczeńskiego końca.

O tym końcu udało się zebrać następujące wiadomości. Dnia 14 lipca 1944 roku został on aresztowany w Milanówku przez Gestapo radomskie. Przeszedł przez więzienia w Radomiu

i Częstochowie, aby dostać się do obozu Gross Rosen pod Wrocławiem. Kiedy tam poczęła się zbliżać zwycięska Armia Czerwona, wywieziono Go do obozu w Nordhausen. Po czterech dniach transportu na otwartej lorze podczas mrozu, bez ciepłego ubrania i jedzenia ciężko zachorował. Do izby chorych przeniesiono Go dopiero 21 lutego, i to jest ostatnia pewna wiadomość o Jego losach. Według niesprawdzonej pogłoski miał umrzeć w Nordhausen 20 marca 1945 roku.

E. Nawroczyński

CZŁOWIEK, KTÓRY BYŁ WZOREM PRACY

Przedwczesny zgon prof. Stanisława Kutrzeby u początku roku 1946 okrył żałobą naukę polską, nasze sfery intelektualne a w dużej mierze także i życie publiczne w Polsce ponownie Odrodzonej. Powszechne tej żałoby wyrazy wiązały się przede wszystkim z uznaniem wielkiej roli, jaką Stanisław Kutrzeba przez z górą lat czterdzieści odgrywał w rozwoju nauk historyczno-społecznych w Polsce, w organizowaniu nauki — jako inspirator i redaktor wydawnictw, przewódca zjazdów i towarzystw, niestrudzony sekretarz generalny Akademii, później jej prezes, a także w szeregu wystąpień o ogólno-państwowym znaczeniu. Że myślano o przeszłości, o dokonanym w nią wkładzie, którego się nie zapomina, to jasne. Ale zarówno w czasie uroczystości żałobnych, jak w prasie i w czasie zebrania, urządzonego staraniem Polskiej Akademii Umiejętności i Uniwersytu Jagiellońskiego — z myślą tą łączył się żal, że spośród naszej elity intelektualnej, tej właśnie, co z ducha i trudu powstaje, ubywa uczony i obywatel tego formatu.

Zarówno w wyścigu pracy naukowej, by możliwie szybko nadrobić nasze zapóźnienia wojenne i straty, które powstały w czasie okupacji, i dorównać innym narodom, które w szczęśliwszym były położeniu, — jak i w całości życia publicznego, gdy wobec tylu stajemy problemów, zagadnień i prądów o największej dla Polski doniosłości, musiano odczuć brak tego krytycznego racjonalizmu, który cechował zawsze prof. Kutrzebę. Niewielu jest ludzi, którzyby — używając słów Kartezjusza — myśleli równie „jasno i wyraźnie" — lub powtarzając bliższe nam chronologicznie wskazania naukowej organizacji pracy — którzyby tak „zdrowym i jasnym" odznaczali się sądem. A równocześnie siłą woli, odwagą osobistą i konsekwencją w działaniu. Niewielu z tych, na których można i powinno się liczyć, umiało w równy Stanisławowi Kutrzebie sposób przejść przez granice pojęć roku 914, czy powiedzmy 918, lub w końcu 1939 i wynieść z toku i głębi tamtej wojny, jak i ostatniej, tyle nowych doznań wewnętrznych, odbijających się dodatnio na całym światopoglądzie życiowym i naukowym. Nie darmo też nazwano Kutrzebę w jednym z artykułów „człowiekiem — drogowskazem" (Wł. Konopczyński). Z myślą więc o przeszłości i zasłudze, — z myślą o teraźniejszości i braku — łączyła się wskutek tego i łączy troska o to, co będzie z naszymi wszystkimi, używając słów Kutrzeby — czterema demokracjami: prawną, polityczną, gospodarczą i kulturalną, jak i całym rozwojem Narodu i Państwa. Bo przecież raz po raz stwierdzamy, brak ludzi. . . .

Drugi z rzędu numer „Kwartalnika Historycznego" przyniesie te wszystkie przemówienia, które wypowiedziano na akademii żałobnej, urządzonej w marcu br. w auli Uniwersytetu Jagiellońskiego. Znajdziemy tam możliwie pełny przegląd działalności Stanisława Kutrzeby jako jednego z najwybitniejszych rektorów U. J., wsławionego walką w r. 1933 na forum sejmowym w obronie autonomii szkół wyższych, oraz zasłużonego sekretarza ge-

neralnego Akademii, który był jej najlepszym gospodarzem i zapewnił tej instytucji przed wojną świetne podstawy finansowe i organizacyjne. Zagłębić się będziemy mogli w bujny i piękny plon pracy naukowej, który w roku jubileuszu czterdziestolecia, tj. w 1938, wyrażał się już w liczbie 424 pozycji z fundamentalną czterotomową „Historią ustroju Polski" oraz „Polską Odrodzoną" na czele, a także w życie publiczne, związane z takimi wydarzeniami, jak konferencja pokojowa w 1919, rokowania z Czechami w 1925, utworzenie rządu Jedności Narodowej w 1945, oraz ze stałym wpływem osobistym na szereg ludzi i zdarzeń współczesnych. Nie zabraknie tam sylwety niezapomnianego profesora i wychowawcy, wkładającego w pracę uniwersytecką wiele serdecznego trudu i opiekującego się najżyczliwiej adeptami wiedzy.

Poza powyżej omówionym materiałem, który przyniesie wspomniany numer 2 „Kwartalnika" szereg aspektów, związanych z osobą wybitnego uczonego i człowieka, jak i jego rolą i oddziaływaniem społecznym uchwycono już w licznych wspomnieniach pośmiertnych. A przecież nie jest to wszystko. Biorąc pod uwagę zadania i możliwości biografiki współczesnej, które kiedyś na łamach „Nauki Polskiej" przedstawił Jan Bronisław Richter, nasuwa się myśl, że wiele pobudek skłaniać może do zbierania tych wszystkich danych, a równocześnie ukazywania w dalszych szkicach tych wszystkich cech razem i z osobna, które pozwolą kiedyś na wyczerpujące studium monograficzne o Stanisławie Kutrzebie. Przemawia za tym zarówno historyczny punkt widzenia, związany z wyjątkowością postaci w świecie naszej nauki współczesnej, jak pedagogiczny, nakazujący zajmować się jednostkami, których „verba movent, exempla trahunt", których więc wzory kształcą i pobudzają do aktywności. Znajdzie w tym przypadku zastosowanie także kryterium emocjonalne, jako że zachęca ono do obierania za przedmiot biografii osobistości, w których życiu wyróżniają się momenty i linie działania szczególnie ciekawe i oddziaływujące silnie na naszą afektywność. U nas bardzo mało się wie na ogół o drodze życiowej, o pracy i częstej walce zarówno ze światem zewnętrznym, jak z sobą samym ludzi nauki, o powstawaniu hipotez naukowych, jak i obserwacji zjawisk i naukowej ich analizie, o twórczości naukowej i jej metodzie, a także o społecznej roli nauki. Monografia tak wyróżniającej się indywidualności, jak autora „Historii ustroju Polski" spełniłaby, sądzimy, dodatnio swą rolę także w sensie potrzeb ogólniejszych.

A wreszcie czwartym jest tu punkt widzenia czysto naukowy, który łączy się z założeniem, że przez poznanie reprezentatywnych jednostek docieramy do poznania epoki, do odtworzenia danego typu życia, przyzwyczajeń i kolei losu, związanych ze sprawą ogólną, do poznania związków zachodzących pomiędzy jednostką i grupą społeczną. „Zadaniem biografa jest — pisze Richter — poznać główną zasadę, dominantę w dziełach uczonego i uporządkować wyrażone poglądy w przejrzysty system, dalej wydobyć i uwypuklić momenty osobiste, uczuciowo-wolicjonalne; oczywiście także i sam przebieg życia może być w mniejszym lub większym stopniu interesujący..."

Przychodzi tu na myśl z innej zupełnie dziedziny wiedzy głęboko ujęta, najnowsza biografia Pasteura pióra prof. Henri Mondor. Autor zapewnił czytelnikowi kontakt z uczonym, tzn. dłuższą spędzoną z nim chwilę, z silną indywidualnością i talentem twórczym, jego prawością serca i niespotykaną energią.

Trudno powiedzieć, by była to dominanta w życiu i działalności prof. Kutrzeby, ale przecież jedną z naczelnych jego cech była zarówno wielka, niezmożona niczym pracowitość i aktywność, jak i — co jeszcze u nas rzadsze — niespotykana umiejętność organizacji pracy. I o to obecnie nam chodzi. W dobie tylu dyskusji i tylu polemik na temat wydajności pracy

oraz planowania i jego wartości, warto wspomnieć o Człowieku, który był wzorem pracy. Umiał wyrobić sobie doskonałe jej metody i innych do nich przyuczać. Doceniał znaczenie racjonalizacji, pod którą rozumiał wszelką czynność, poprawiającą istotnie dotychczasowy stan rzeczy i wyniki naszej działalności, niezależnie zresztą od stosowanych metod. Może niewielu było i jest ludzi w Polsce, których postępowanie było tak dalekie od zdań, które zbyt często się słyszy, że „jakoś tam będzie", co stanowi jaskrawe zaprzeczenie prawa przyczynności zjawisk, że „nie święci garnki lepią", choć wiadomo, że gdyby lepili je istotnie kwalifikowani garncarze, o tyle mniej byłoby marnotrawstwa czasu, energii i kapitału, itp. Był też Kutrzeba we wszystkich swoich pracach żywym zaprzeczeniem uświęconego częstokroć hasła: „mniej-więcej", które jest klęską dla sumień i charakterów, bo wymagał wiele od siebie i od innych.

Z odległości już pewnego czasu tym silniej łączyć musimy postępowanie Stanisława Kutrzeby z prawami i zasadami, które w ujęciu nauki Organizacji i Kierownictwa rządzą działalnością człowieka i grupy społecznej. Oczywiście „prawa" te są względne i „rządzą" w sposób względny; w studium o „Cywilizacji polskiej jako typie historycznym" wspomina prof. Kutrzeba, że kultura zachodnio-europejska „nie odmieniła natury" polskiej, ona więc stanowi czynnik najbardziej tu nie pewny. Nie mniej jednak trudności i przeszkody nie pozwalają na bierność i zacofanie. Z „praw" więc Naukowej Organizacji mogliśmy sprawdzać na przykładzie tego uczonego przydatność podziału pracy, który od czasu Xenofonta z IV wieku przed Chrystusem lub Adama Smitha z końca XVIII stulecia — dzisiaj dobrze jest na ogół rozumiany, ale wciąż jeszcze nie respektowany w dostateczny sposób. Prawo podziału zachęca, jak wiadomo, do rozumnego ograniczania zakresu działalności czy to grupowej czy indywidualnej i rozkładania jej na czynności najprostsze, by zwiększyć w sumie skutek użyteczny pracy. Można przyjąć, że zarówno w technice zbierania materiałów naukowych przez uczonego, a potem ich zręcznego wyzyskiwania, jak i — przykładowo biorąc — w technice pracy gospodarza naczelnego majątków rolnych Akademii Umiejętności — prawo podziału pierwszą stanowiło zasadę.

Z podziałem pracy łączy się jednak prawo koncentracji, które poucza, że przy wykonywaniu jednorodnych funkcji przez ten sam organ lub grupy organów, najlepiej do tych funkcji przystosowanych, osiąga się oszczędność wysiłku i zastosowanych środków. Stąd niechęć Kutrzeby do rozdrabniania się, do zdradliwej decentralizacji zajęć i zainteresowań, choć równocześnie nie był zwolennikiem zbyt ciasno pojętej specjalizacji, stąd zrozumienie i propagowanie planowych prac zespołowych przy wyzyskaniu optymalnych możliwości poszczególnych jednostek.

Trzecie z praw naukowej organizacji, prawo optymalnego działania, dotyczy stwierdzenia, że każdy rodzaj wysiłku wahać się może od minimum do maximum, lecz jeden jest tylko moment, w którym osiągnąć można odpowiednią skuteczność działania przy minimum wysiłku: piękno wyników. W ciekawy sposób charakteryzuje systematyczność pracy prof. Kutrzeby jego stały rozkład zajęć codziennych, a zwłaszcza fakt, że od szeregu lat miał stały zwyczaj pisania o oznaczonej porze dnia około 9 stron danego rękopisu, nie więcej, nie mniej, trzymając się już później bezwiednie tej ilości jako normy. Swoją drogą zapisywane były kartki manuskryptu omal bez poprawek jako wynik istotniejszej, jak mówił, pracy niż pisanie, a to konstrukcyjnej pracy myślowej.

I wreszcie prawo harmonii wskazuje na to, że ogólny skutek pracy zbiorowej zespołu ludzi nawet w pracy indywidualnej, która wymaga, powiedzmy, różnych umiejętności i wysiłków, zależy od tego organu, od tej czynności, która oznacza się najmniejszą wydajnością. Odnalezienie jednak

danych miejsc i przystosowanie do zasadniczych wymagań całokształtu pracy jest ważnym zadaniem dobrego organizatora. To ostatnie założenie łączy się zatem ze znajomością samego siebie i swych możliwości, jak i całego zespołu podwładnych i współpracowników. I znowu widzieliśmy to nie raz w postępowaniu Kutrzeby, jak i w ogóle zrozumienie, że bez zastosowania powyższych wskazań dochodzi do spotężnienia trudności, do wstrząsów i kryzysów.

Z odległości czasu odmalowują się wyraziście te właśnie m. inn. umiejętności prof. Kutrzeby. Realizowane przezeń hasło Marka Aurelego: „Pracuj nie jako nieszczęśliwy ani też jakobyś pożądał współczucia i podziwu" oddaje dobrze jego postawę psychiczną. W przemówieniu na bankiecie urządzonym w dniu jubileuszu w r. 1938 mógł żartować, że bynajmniej tak pracowitym nie jest, jak mówią, bo przecież ma tyle czasu na tyle rzeczy i wiele zainteresowań, poza zajęciami naukowymi i urzędowymi, ma zawsze czas m. inn. na teatr i beletrystykę, a lubi także się — wysypiać. Ale jako profesor, jako organizator nauki, sekretarz generalny Akademii, jako publicysta, jako wreszcie człowiek w życiu prywatnym umiał swe życie układać, kierować nim i wyzyskiwać jego możliwości w skali nie często spotykanej. Niewątpliwie wpływała na to wrodzona energia, wpływała jasność i wyrazistość myśli, oddziaływał występujący u niego, chrześcijański ład serca, ale w postępowaniu i działaniu Stanisława Kutrzeby godną uwagi i podziwu była także — metoda. Jeśli jednak tego rodzaju dary występują raczej sporadycznie u poszczególnych jednostek, to tym bardziej zrozumiałe się staje stałe dążenie Kutrzeby aż po ostatnie projekty, jak organizacji nauki polskiej po wojnie, jak nowej zupełnie, głęboko humanistycznej reorganizacji studiów prawniczych, by w poczynania zbiorowe, by w wychowanie społeczne wkładać jak najwięcej umiejętności pracy.

Bogusław Leśnodorski

STUDIA AKADEMICKIE W OBOZACH JENIECKICH W NIEMCZECH

(Studium Prawa dla oficerów polskich w obozie jeńców w Edelbachu)

W lipcu 1940 r., po klęsce francuskiej, grupa stu kilkudziesięciu oficerów polskich 1-szej i 2-giej Dywizji W. P. we Francji znalazła się w francuskim obozie jenieckim w Niemczech, w Edelbachu koło Göpfritz w Dolnej Austrii (Oflag XVII A). Od pierwszej niemal chwili, bo już w pierwszych tygodniach pobytu rozpoczęły się w najprymitywniejszych warunkach pracy, wytężone wysiłki w celu zorganizowania dla ogółu kolegów prac oświatowych i wykładów na poziomie akademickim. Po różnych próbach skrystalizował się ostatecznie plan zorganizowania kompletnego Studium Prawa, opartego na polskim programie studiów prawniczych w państwowych szkołach akademickich. Już więc począwszy od zimy 1940/41 rozpoczęły się planowe, normalne prace wykładowe i seminaryjne tego Studium, opartego organizacyjnie i personalnie o istniejący w obozie „Université française de captivité" (Centre d'Etudes de l'Oflag 17a). Na czele Studium stanął jako kierownik niżej podpisany, jedyny nauczyciel akademicki wśród Polaków w obozie; jego najbliższymi współpracownikami byli: w. r. 1940/41 Dr Marek Korowicz, wykładowca prawa narodów na Wyższym Studium Nauk Społ. i Gospod. w Katowicach (obec-

nie docent Uniw. Jagiell.), a po jego odejściu — w latach 1941/45 Dr Michał Sczaniecki, (obecnie docent i adiunkt Uniw. Poznańsk.). Do grona wykładających powołano: z pośród Francuzów Dra Karola Eisenmanna, profesora prawa narodów na Wydz. Prawa w Strassburgu, D-ra Jana Hemard, profesora prawa handlowego na Wydz. Prawa w Lille, D-ra Jerzego Vedel, profesora prawa publicznego na Wydz. Prawa w Tuluzie, D-ra Jana Le Vert, radcę Cour des Comptes w Paryżu, K Petot, wykładowcę statystyki na Wyższej Szkole Przysp. Zawod. przy Izbie Handl. w Paryżu i in. Z pośród Polaków: D-ra Jerzego Bylińskiego, adwokata w Krakowie, Stanisława Jankowskiego, sędziego Sądu apelacyjnego w Poznaniu, Tadeusza Augustyna, mgr praw i Insp. Dyr. Poczt. i Telegr. w Katowicach, Mgr Kazimierza Szczerbę-Likiernika, konsula gener. w Limie (Peru), Ks. D-ra Władysława Padacza, profesora Seminarium Duchown. Wyższ. w Warszawie, Jana Chlipalskiego, wiceprokuratora Sądu Okr., Kazimierza Pełczyńskiego, sędziego grodzkiego w Warszawie i in. Dzięki tej koleżeńskiej współpracy Francuzów z Polakami zdołano doprowadzić do zrealizowania polskiego programu studiów, uzupełnionego ponadto obowiązkowymi wykładami z zakresu socjologii, historii kultury, historii i organizacji sądowej, wymowy itd. prowadzonymi przez najwybitniejszych fachowców z pośród 4.000 oficerów francuskich w obozie. Około 50 oficerów polskich zapisanych było na studium prawa a ponadto uczęszczało obowiązkowo na szereg wykładów, pracującego równolegle francuskiego Wydziału Prawa, opartego na francuskim programie studiów prawniczych. W ten sposób zdołano zapewnić słuchaczom polskim w ciągu 5 blisko lat istnienia Polskiego Studium Prawa możliwie najwyższy poziom studiów, w oparciu o francuskie biblioteki i o prace francuskich prawników i profesorów akademickich. Życzliwość tych ostatnich i pełne poświecenia wysiłki zmierzające do niesienia nam pomocy zasługują na podkreślenie i najgłębszą wdzięczność. Dodatkową korzyścią słuchaczy polskich było gruntowne opanowanie języka francuskiego i wszechstronne zapoznanie się z francuską myślą prawniczą.

Studia, ich porządek, kolejność egzaminów i sposób ich prowadzenia, ilość godzin wykładowych i seminaryjnych oparte były ściśle o polskie przepisy i zwyczaje akademickie. Odchylenia , usprawiedliwione koniecznościami życia obozowego, szły w kierunku egzaminów kollokwialnych. Ilekroć egzaminatorem był profesor francuski, w składzie komisji egzaminacyjnej urzędował tłumacz. Wszystkie egzaminy odbywały się komisyjnie, zawsze przy współudziale kierownika Studium i jego zastępcy. Z każdego egzaminu spisywane były dwa formalne protokuły z wyszczególnieniem wszystkich pytań i klasyfikacji każdej odpowiedzi oraz noty ogólnej. Na każdym wykładzie prowadzona była lista obecności; nieusprawiedliwiona nieobecność na 3 wykładach powodowała skreślenie z listy słuchaczów. Dla słuchaczy organizowano różne prace specjalne (turnieje krasomówcze, wykłady polskie i francuskie ogólnokształcące, nadobowiązkowe ćwiczenia). Zaznaczyć przytem należy, że wszystkie prace Studium Polskiego były utajone przed niemiecką władzą obozową, która — zwłaszcza, w początkowych latach istnienia Studium — tolerowała (pod swoim nadzorem) prace Uniwersytetu francuskiego ale nie byłaby w żadnym razie zgodziła się na prowadzenie prac naukowych w ramach grupy polskiej.

Po 5 latach istnienia Studium dwudziestu absolwentów ukończyło studia prawnicze a kilkunastu innych studiowało na III i IV roku. W tym stadium studiów nastąpiło uwolnienie z niewoli w maju 1945 r.*)

*) Szczegółowe sprawozdanie ze Studium wraz z danymi statystycznymi jest opracowane i czeka na wydawcę.

W zimie 1944/45 uruchomiono poza Studium Prawa polską szkołę Nauk Polityczno-społecznych przy współudziale szeregu prelegentów polskich i francuskich oraz o bardzo obszernym programie wykładów . Uczęszczało na nie ponad 100 słuchaczy z pośród oficerów polskich. Wśród wykładowców figurowali m. in.: Francuzi: prof. Gaskon (geografia gospodarcza Z.S.R.R.), konsul Laporte z szeregiem współpracowników (historia dyplomatyczna Europy od 1815 do 1914), prof. Vedel (prawo wojny) ks. Dr Del Chiaro T. J. (chrześcijaństwo a komunizm), prof. Uniw. w Nancy Ruyor (Współczesne zagadnienia kulturalne) prof. Fourniol (Polityka wewn. Francji współczesnej) i w. in.; Polacy: radca M.S.Z. Fr. Zaleski (Historia Rosji), Mgr Tadeusz Pientak (nauka organizacji), Dr Bryliński (Propedeutyka umiejętności prawniczych) i w. in.

Po powrocie do kraju nastąpiła weryfikacja omówionych wyżej studiów prawnych w trybie rozp. Min. Ośw. z 9 maja 1946 o weryfikacji studiów akademickich. W szczególności Uniwersytet Jagielloński uznał zasadę równowartości tych studiów ze studiami na Wydziałach prawnych polskich uniwersytetów państwowych i dokonał w r. akadm. 1945/46 wymiany kilku dyplomów ukończenia Studium Prawa w Edelbachu na dyplomy magistrów praw jak również dopuścił pewnych b. słuchaczów Studium do studiowania bezpośrednio na wyższych latach studiów z zaliczeniem odbytych w niewoli egzaminów.

Współpracownicy tego skromnego dzieła zdają sobie sprawę z ilościowej nikłości włożonego weń wysiłku, atoli nie wątpią, że przyczyniło się ono do podtrzymania ducha wśród zainteresowanej grupy młodzieży w czasie jej 5-letniego pobytu za kolczastymi drutami obozu i że w jego wyniku pewna ilość niewątpliwie wykwalifikowanych prawników wchodzi w polskie życie w chwili, w której ich najbardziej potrzeba.

Dr Jerzy St. Langrod
profesor prawa administracyjnego U.J.

KSIĄŻKA DLA WSZYSTKICH

Jerzy Eugeniusz Płomieński: „W kręgu polskiej irredenty" (o Edwardzie Dembowskim, Jakubie Szeli i rzezi galicyjskiej) Państw. Instytut Wydawniczy, Warszawa 1946 str. XIV i 119+9 z 2 ilustracjami i skorowidzem nazwisk.

Polska literatura popularno-historyczna miała dotychczas zasadniczą wadę: była zbyt szczupła. Zaś literatura naukowa, mimo prac niekiedy wręcz świetnych, była i jest strawna jedynie dla czytelników bądź z wyższym wykształceniem bądź specjalnie zamiłowanych. Ukazywały się wprawda, od czasu do czasu, książki historyczne, naukowe na pograniczu popularności, jak np. Szajnochy „Jadwiga i Jagiełło", czy Askenazego „Książę Józef Poniatowski", ale było ich również niewiele. Ostatnio przed II-gą wojną światową zaczęły pojawiać się książki historyczne pisane przez uczonych, ale językiem niemal z literatury pięknej (np. „Dzieje Polski nowożytnej" W. Konopczyńskiego) dzięki temu dostępniejsze dla ogółu. Były to jednak jeszcze prace za wielkie i za trudne. Jak odczuwano brak niewielkich, przystępnie napisanych książek naukowych, może świadczyć o tym powodzenie „Biblioteki Wiedzy" Trzaski Everta i Michalskiego, oraz fakt stworzenia przed wojną wydawnictwa, które miało na celu opublikowanie kilkuset małych monografii historycznych dla uczniów liceów w Polsce. Pierwsze tomiki tego pożytecznego wydawnictwa, pisane przez wybitnych specjalistów ukazały się w latach 1938—1939 w księgarniach i były nader chętnie czytywane przez młodzież i dorosłych. Wojna przerwała słuszną działalność

wspomnianego wydawnictwa, należy wszakże żywić nadzieję, że przedwojenna inicjatywa ministerialna odżyje i dalsze tomiki zaczną znowu wychodzić. Jest to tym konieczniejsze, że prócz wzmożonych potrzeb szkolnych szerokie masy ludowe łakną strawy umysłowej, podanej przystępnie, prawdziwie i ciekawie.

W poszukiwaniu dla tego zamówienia społecznego książek, któreby mogły być przydatne dla wszystkich, a przy tym dotyczyły *nowszej* historii — naprawdę trudnoby wyliczyć jednym tchem więcej, niż kilka pozycyj. Zwłaszcza, jeżeli chodzi o literaturę ostatnich dziesiątków lat. Z tym więc większą ciekawością bierze się do ręki książkę J. E. Płomieńskiego pt. „W kręgu polskiej irredenty", która porusza wypadki dość wstydliwie omawiane w szkole przedwojennej i wprowadza czytelnika w sposób łatwy i bezpretensjonalny w przebieg wydarzeń galicyjskich z przed stu laty.

Książka Płomieńskiego tematycznie dzieli się na dwie części ujęte w dziesięć rozdziałów (Przed wybuchem powstania krakowskiego w 1846 r.; epoka Edwarda Dembowskiego; dzieciństwo i lata warszawskie Edwarda Dembowskiego; Edward Dembowski w Księstwie Poznańskim; osobowość Edwarda Dembowskiego; filozof i teoretyk społeczny; historiografia austriacko-niemiecka o Edwardzie Dembowskim, — ironia dokumentów. Na marginesie rozprawy M. Janika pt. „Zesłanie J. Szeli na Bukowinę"—Fałszerz prawdy dziejowej — Rzeź galicyjska i biurokracja austriacka w świetle sądów i głosów austriacko-niemieckich). Z tych pierwsze siedem rozdziałów dotyczą Edwarda Dembowskiego, a trzy końcowe Szeli i rzezi galicyjskiej. Ani pierwsza, ani druga część, nie są, w ścisłym tego słowa znaczeniu, monografią Dembowskiego lub Szeli. Słusznie więc autor dał podtytuł, wskazując przez to, iż nie chce wyczerpać tematu, a jedynie rzucić pewne światło na postacie Dembowskiego i Szeli. Oczywiście, łatwo daje się sformułować zarzut, że cudzoziemiec, lub ktoś, kto nie zna historii Polski, potrzebowałby pewnych uzupełnień do książki Płomieńskiego. Zarzut ten jest częściowo słuszny, lecz łagodzi go fakt, że autor nie zamierzał objąć całości zagadnień związanych z epoką, ale dał ich raczej pewną selekcję. Ponadto Płomieński opracował w latach 1936—40 wyczerpującą monografię Edwarda Dembowskiego, wszelako jedyny egzemplarz tej monografii uległ zniszczeniu w czasie warszawskiego powstania. „Książka niniejsza — pisze Płomieński w przedmowie — której pierwsza redakcja, zniszczona podczas powstania warszawskiego, dawała pełny obraz epoki i osobistości Dembowskiego, w redakcji obecnej, wydatnie uproszczonej, ma być w zamiarze autora (w związku z setną rocznicą powstania krakowskiego oraz bohaterskiej śmierci Edwarda Dembowskiego) częściowym przewodnikiem po obszarze słabo naogół opracowanej w historiografii polskiej, problematyki z tego mało znanego społeczeństwu polskiemu okresu polskich dziejów porozbiorowych, zanim autor będzie mógł zrekonstruować pełny tekst swojego zarysu monograficznego". To stanowisko autora usprawiedliwia poniekąd taką, a nie inną formę jego pracy. Cóż bowiem wiedzą dziś o Dembowskim niespecjaliści epoki: przeciętny inteligent, przeciętny nauczyciel, urzędnik, kupiec, robotnik, rolnik, artysta, filozof, czy nawet rewolucjonista? Nic, albo prawie nic: że był, że wystąpił w Krakowie, i, że padł na Podgórzu.

Słusznie Płomieński swoją pracę nazwał: „Zamiarem ekshumacji Edwarda Dembowskiego w świadomości społeczeństwa i ustalenia jego wagi, jako zjawiska historycznego". Edward Dembowski, człowiek niemal wszechstronny, badacz literatury, filozof kultury, estetyk, krytyk literacki i historyk literatury, teoretyk społeczny, filozof-heglista, prekursor materializmu dziejowego, niemal komunista, a przede wszystkim legendarny, nieuchwyt-

ny spiskowiec. Ideał emisariusza, który życie swoje i siebie oddał bezinteresownie sprawie ojczyzny, a zato — słowami Anczyca: — „W chwili skonania, chce tylko słyszeć dzwon zmartwychwstania". — Takiego Dembowskiego ogół nie zna i za ukazanie go winien jest J. E. Płomieńskiemu wdzięczność. Również potrzebne były uwagi autora o Jakubie Szeli zajmujące beznamiętne, a udokumentowane stanowisko zarówno wobec „ponurej o nim legendy szlacheckiej", jak i próby nowych legend pseudorzeczowych, stylizujących tego płatnego agenta austriackiego na ludowego herosa.

Wracając wszakże do wspomnianego wyżej zarzutu, należy przyznać, że skoro książka omawiana nie jest monografią dla specjalistów, skoro ma służyć najszerszym warstwom, jako przystępne, prawdziwie i ciekawie napisane studium o epoce roku 1846, to powinna jednak zawierać, chociażby w formie wstępu, krótkie podanie wypadków tej epoki, odrobinę chronologii i nazwisk, ujętych w kościec pacierzowy zarysu treści. Poza tym należałoby w najkrótszym chociażby ujęciu zestawić ważniejsze dotychczasowe poglądy na Dembowskiego i Szelę, nawet gdyby ujęte miały być tak krótko, jak wspomnienie o poemacie Brunona Jasieńskiego. Wiersz Anczyca, oraz spis treści, pasowałyby bardziej na końcu. Po uzupełnieniu tych drobnych usterek, książka Płomieńskiego może się stać naprawdę „dziełem dla wszystkich". Prócz ciekawej bowiem tematyki zawiera w sobie wszystkie dodatnie cechy pióra Płomieńskiego. Pisana jest jasno, odważnie, stylem łatwym i z poczuciem odpowiedzialności wobec czytelnika. Opiera się na źródłach autentycznych. Rzetelność krytyczna J. E. Płomieńskiego, którą już przed wojną podkreślali recenzenci tej miary co: prof. T. Grabowski, prof. M. Kridl, Karol Irzykowski, Kazimierz Czachowski, Jan Lorentowicz i in. nie zawiodła i tym razem. Należy życzyć, aby autor mógł jaknajszybciej zrekonstruować pełny tekst swego zarysu monograficznego o Edwardzie Dembowskim i roku 1846.

smk

Cena zeszytu pojedynczego	zł. 50,—
Prenumerata kwartalna	zł. 150,—
Prenumerata z przesyłką zwykłą	zł. 158,—
Prenumerata z przesyłką poleconą	zł. 167,—

Administracja „Nauki i Sztuki" prosi o kierowanie wpłat **do tysiąca złotych wyłącznie** na konto PKO VIII — 348 Wrocław; **powyżej tysiąca złotych** na konto „Nauki i Sztuki" w Narodowym Banku Polskim w Jeleniej Górze.

Rękopisów redakcja nie zwraca.

Wydawców i autorów uprasza się o nadsyłanie nowości do recenzji w dwu egzemplarzach.

Artykuły do druku muszą być pisane na maszynie, względnie zostaną przepisane na koszt autora.

Zakłady Graficzne W. I. N. W. — Oddział w Jeleniej Górze — F. 13207.

ZAKŁADY GRAFICZNE WOJSKOWEGO INSTYTUTU NAUKOWO-WYDAWNICZEGO
ZG W.I.N.W.